

ANDREA Camilleri



Sierpniowy żar



NOIR SUR BLANC

ANDREA CAMILLERI

SIERPNIOWY ŻAR

Przełożył
Stanisław Kasprzysiak

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Inne książki Andrei Camilleriego

Tytuł oryginału: LA VAMPA D'AGOSTO

Opracowanie redakcyjne: MAGDALENA HORNUNG

Korekta: JANINA ZGRZEMBSKA, ELŻBIETA JAROSZUK

Fotografia na okładce: Alamy/B&W

Opracowanie graficzne serii: OLGIERD CHMIELEWSKI

Skład i łamanie: DINKOGRAF

Copyright © 2006 Sellerio Editore, Palermo

For the Polish edition

Copyright © 2016, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-593-9

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

1

Spał tak mocno, że nie obudziłyby go nawet wystrzały armatnie. No tak, gdyby strzelano z armat, może spałby dalej, ale na pewno zerwałby się z łóżka, gdyby zadzwonił telefon.

W dzisiejszych czasach, w takim cywilizowanym kraju jak nasz (ha, ha!), kiedy człowiek słyszy przez sen strzały armatnie, jest pewnie przekonany, że rozpętała się burza albo że gdzieś na odpuście wiwatują na cześć świętego patrona, albo że na piętrze nad nim nieznośni sąsiedzi przesuwają w nocy meble, więc dalej sobie błogo śpi jak noworodek. Ale dzwonienie telefonu, marsz grany przez komórkę lub dzwonek do drzwi to całkiem inna sprawa. Takie dźwięki każą cywilizowanemu człowiekowi (ha, ha!) natychmiast oprzytomnieć, po prostu, kiedy je słyszy, nie ma innego wyjścia, musi wyrwać się nawet z najgłębszego snu i czym prędzej temu wezwaniu stawić czoło.

Toteż Montalbano wyskoczył z łóżka, spojrzął na zegarek, spojrzął w okno, uświadomił sobie, że beztriosko zasnął, pobiegł więc do jadalni, gdzie natarczywie dzwonił telefon.

– Co z tobą, Salvo, gdzie byłeś? Dzwonię od pół godziny.

– Przepraszam, Livio, byłem pod prysznicem, nie słyszałem.

Pierwszy blef, na jaki sobie tego dnia pozwolił.

Dlaczego tak się wykręcał? Dlaczego wstydził się powiedzieć Livii, że mocno spał, dlaczego sądził, że może ją dotknąć, jeśli się przyzna, że dopiero jej telefon go obudził? Nie wiadomo.

– Miałeś obejrzeć willę!

– Coś ty, Livio? Przecież dopiero ósma!

– Nie złość się na mnie, zrozum, że nie mogę się doczekać, kiedy sprawdzisz, czy wszystko jest w porządku...

Sprawa tej willi wynikała jakieś dwa tygodnie temu, kiedy komisarz miał zawiadomić Livię, że w pierwszej połowie sierpnia, wbrew temu, co zaplanowali, nie będzie mógł ruszyć się z Vigaty, ponieważ Mimì Augello musiał pomóc w kłopotach teściom i wziął urlop wcześniej. Livia nie zareagowała na tę zmianę tak burzliwie, jak się spodziewał. Lubiła Bebę, żonę Mimiego, a i jego także. Jak zwykle trochę ponarzekła, ale Montalbano nabrał pewności, że wszystko na tym się zakończy. Jednak mylił się, i to grubo. Wczoraj wieczór, przez telefon, Livia zaatakowała go z niespodziewanej strony.

– Musisz poszukać jak najprędzej domu z dwiema sypialniami i salonem, gdzieś tu, w pobliżu, nad samym morzem.

– A po co? Dlaczego mamy się gdzieś przenieść z Marinelli?

– Głupi jesteś, Salvo, i tyle. Zwłaszcza kiedy próbujesz udawać głupiego! Miałam na myśli dom dla Laury, jej męża i dziecka.

Laura była serdeczną przyjaciółką Livii i to jej Livia zwierzała się ze wszystkiego, z tego, co ją cieszyło, i z tego, co ją cieszyło trochę mniej.

– Właśnie tu chcą przyjechać?

– Jak na to wpadłeś? Masz coś przeciwko temu?

– Skądże. Dobrze wiesz, że lubię Laurę i jej męża, tylko że...

– Zaraz, wytłumacz mi to „tylko że”.

No, teraz się zacznij.

– Myślałem, że wreszcie będziemy trochę dłużej sami...

– Ha, ha, ha, ha, ha!

Śmiech godny więdźmy z *Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków*.

– Z czego tak się śmiejesz? Przepraszam...

– Śmieję się, bo doskonale wiesz, że to ja, rozumiesz, ja będę trochę dłużej sama? Bo ty i tak po całych dniach, a może i po nocach, będziesz siedział w komisariacie z jakąś kolejną ofiarą morderstwa!

– Zapomnij o tym, Livio, tutaj w sierpniu, w tym wściekłym upale, chyba nawet mordercy poczekają do jesieni.

– To miał być dowcip? Mam się śmiać?

No i tego dnia zaczęły się długie poszukiwania domu na letnisko, z pomocą, nieskuteczną, gorliwego Catarelli.

– Panie komisarzu, ja już mam lokal, jakiego pan komisarz szuka, i jest ono na osiedlu Pezzodipane.

– Przecież stamtąd do morza będzie z dziesięć kilometrów.

– Święta prawda, ale za to pan komisarz ma tam lokalizację jak z bajki.

Albo innym razem:

– Livia, znalazłem mieszkanie naprawdę miłe w jednej kamienicy, która się znajduje...

– Mieszkanie? Czy ja ci nie mówiłam wyraźnie, że to ma być dom?

– Mieszkanie to nie dom? Tylko co – namiot?

– Nie, mieszkanie to nie jest dom. Wiem, wam, Sycylijczykom, przedstawiało się w głowach i nazywacie mieszkanie domem, ale kiedy ja mówię „dom”, to mam na myśli dom. Jak mam ci to jaśniej wyklarować? Masz szukać willi jednorodzinnej.

W agencji mieszkaniowej w Vigacie zwyczajnie go wyśmiano.

– Wyobraża pan sobie, że szesnastego lipca znajdzie pan willę nad morzem wolną od pierwszego sierpnia? Ależ wszystko już wynajęte!

Kazano mu zostawić numer telefonu – jeśli jakimś cudem ktoś w ostatniej chwili odwoła rezerwację, to zostanie zawiadomiony. I właśnie taki cud na szczęście się zdarzył, kiedy komisarz stracił już wszelką nadzieję.

– Halo! Komisarz Montalbano? Tu agencja „Aurora”. Zwolniła się willa, jakiej pan szuka. Nad morzem, tuż przy Montereale, na osiedlu Pizzo. Ale musiałby pan natychmiast do nas przyjechać, bo już zamykamy.

Przerwał przesłuchanie i popędził do agencji. Sądząc z fotografii, willa była taka, o jaką Livii chodziło. Umówił się z panem Callarą, właścicielem agencji, że następnego dnia rano, około dziewiątej, podjedzie po niego i razem obejrzą willę, leżącą istotnie tuż przy Montereale, niecałe dziesięć kilometrów od Marinelli.

Montalbano pomyślał, że dziesięć kilometrów drogi z Marinelli do Montereale w pełni letniego sezonu może oznaczać równie dobrze pięć minut, jak i dwie godziny jazdy samochodem, bo nie da się przewidzieć natężenia ruchu. Trudno, Livia i Laura muszą się zadowolić tym, co jest.

Pan Callara, ledwo wszedł do auta, zaczął mówić i już nie przestawał ani na chwilę. Zaczął od willi, wyjaśnił, jak i kiedy wynajął ją niejakiemu Jacolinowi, urzędnikowi z Cremony, który wpłacił należny zادةk. Ale właśnie wczoraj wieczór ten Jacolino zadzwonił do agencji i powiedział, że matka jego żony miała wypadek i w związku z tym nie może się tego lata ruszyć z Cremony. Dlatego agencja mogła porozumieć się od razu z Montalbanem.

Następnie pan Callara cofnął się w czasie, to znaczy opowiedział z najdrobniejszymi szczegółami, jak i dlaczego willa została zbudowana. Sześć lat wcześniej, pewien starszy, siedemdziesięcioletni pan, który nazywał się Angelo Speciale i mimo że urodził się w Montereale, całe życie spędził w Niemczech, bo tam znalazł pracę, postanowił zbudować sobie willę tutaj, żeby na stare lata wrócić w swoje rodzinne strony razem z żoną Niemką. Ta żona Niemka nazywała się Gudrun, była wdową i miała dwudziestoletniego syna, który miał na imię Ralf. To chyba jasne? Jasne. Angelo Speciale, który przyjechał do Montereale razem z pasierbem Ralfem, przez cały miesiąc rozglądał się za odpowiednim miejscem, a kiedy już je znalazł, zaraz je kupił, zamówił u technika budowlanego Spitaleriego projekt willi i czekał ponad rok, aż ten zakończy budowę. Ralf był cały czas z nim.

Potem obaj wyruszyli do Niemiec po meble i resztę dobytku, żeby już na stałe przenieść się do Montereale. Ale wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Ponieważ Angelo Speciale nie lubił latać samolotami, pojechali z Montereale pociągiem. Kiedy przybyli na dworzec w Kolonii, pan Speciale stwierdził, że pasierba, który w wagonie sypialnym miał łóżko nad nim, nie ma. Walizka Ralfa była w przedziale, ale po nim ani śladu. Konduktor oświadczył, że nie widział, żeby ktoś w nocy wysiadał na jakiegokolwiek stacji. Krótko mówiąc, Ralf tej nocy zniknął.

– Odnalazł się potem?

– Nie, panie komisarzu, ulotnił się. Od tamtego czasu nikt nigdy już nic o tym młodzieńcu nie słyszał.

– A pan Speciale przyjechał i zamieszkał w nowej willi?

– I to jest właśnie najdziwniejsze, panie komisarzu! Nigdy w niej nie zamieszkał! Biedny pan Speciale, w niecały miesiąc po powrocie do Kolonii, spadł ze schodów, rozbił sobie głowę i już było po nim. Miał pecha.

– A pani Gudrun, która po raz drugi owdowiała, przyjechała do Pizzo?

– Cóż by tu miała do roboty nieszczęsna Niemka bez męża i syna? Zadzwoiła do nas trzy lata temu, żeby willę wynajmować. I nasza agencja ją wynajmuje, ale tylko w lecie.

– Nie można jej wynająć na cały rok?

– Nie, panie komisarzu, stoi na zbyt wielkim odludziu. Sam pan zobaczy.

Willa rzeczywiście znajdowała się na odludziu. Żeby do niej dojechać, trzeba było skręcić z głównej szosy i wspinać się wyboistą polną drogą, przy której stał tylko jeden wiejski domek, drugi trochę mniej wiejski, a na końcu drogi – willa. Wokół niej nie rosły ani trawa, ani krzewy, ziemię doszczętnie wypaliło słońce. Ale kiedy się podjeżdżało pod samą willę, usytuowaną jakby na wielkim tarasie, widok zupełnie się zmieniał. Stawał się piękny jak marzenie! Poniżej, po prawej i lewej stronie ciągnęła się złota plaża, poznaczona z rzadka letnimi parasolami, a dalej falowało bezmierne morze, jasne, otwarte, przyzywające. Willa, w całości parterowa, miała upragnione dwie sypialnie, jedną wielką dla małżonków i drugą mniejszą z łóżeczkiem dla dziecka, a przez wielkie prostokątne okna salonu widać było tylko morze i niebo, w czym nie przeszkadzał nawet stojący tu ogromny telewizor. Kuchnia była obszerna, z wielką lodówką. Mieszkanie miało też dwie łazienki. A przede wszystkim taras, wręcz bezcenny, bo wieczorami można tu było jadać kolację.

– Odpowiada mi – stwierdził komisarz. – Ile by to kosztowało?

– Panie komisarzu, prawdę mówiąc, nigdy nie wynajmujemy willi tylko na dwa tygodnie, ale tym razem, ze względu na pana...

I rzucił zabójcą sumę, jakby strzelił z karabinu. Montalbano zniósł ten

cios z godnością, bo Laura była bądź co bądź dość zamożna i mogła lekką ręką trochę wesprzeć ubogie Południe.

– W porządku – odparł.

Widząc, że sprawy wzięły dobry obrót, pan Callara poczuł w sobie ducha zaradności i postanowił uszczknąć jeszcze więcej:

– Naturalnie, osobno trzeba w tym przypadku doliczyć...

– Naturalnie, osobno nic nie będzie się już doliczać – uciął Montalbano, nie chcąc wyjść na żalostnego pocziwca.

– Tak, tak, dobrze, w takim razie dobrze.

– Którędy schodzi się na plażę?

– Nic łatwiejszego. Wychodzi pan przez furtkę na tarasie, idzie dziesięć metrów przed siebie i trafia na schody wykute w tufie. Pięćdziesiąt stopni prosto w dół – i już pan jest na plaży.

– Zechce pan poczekać na mnie z pół godzinki?

Pan Callara spojrział na komisarza zaniepokojony.

– Jeśli tylko pół godzinki...

Montalbano zapragnął popływać w morzu, ledwo je zobaczył. Wszedł do wody w bokserkach.

Kiedy wracając, pokonywał pięćdziesiąt stopni, słońce całkiem go osuszyło.

Pierwszego sierpnia rano Montalbano pojechał na lotnisko do Punta Raisi po Livię, Laurę i trzyletniego Bruna. Guido, mąż Laury, miał dojechać pociągiem, przywożąc w wagonie transportowym samochód i resztę bagaży. Bruno był dzieckiem, które nie umiało usiedzieć spokojnie nawet dwóch minut. Laura i Guido byli już trochę niespokojni, ponieważ chłopiec jeszcze nie mówił i porozumiewał się tylko gestami. Nigdy niczego nie rysował, jak inne dzieci w jego wieku, za to był mistrzem w graniu na nerwach całemu światu.

Przyjechali do Marinelli, gdzie gospoia Adelina przygotowała obiad dla wszystkich. Ale w domu już jej nie było, bo w stosownym czasie zabrała się

stamtąd, i Montalbano dobrze wiedział, że nie zobaczy jej przez dwa tygodnie, czyli tak długo, jak długo Livia zatrzyma się w Marinelli. Adelina szczerze nie znosiła Livii, zresztą z wzajemnością.

Guido dotarł na pierwszą. Zjedli i Montalbano zaraz wsiadł z Livią do auta, żeby pokazać drogę rodzinie Guida. Laura, zachwycona willą, z impetem uściskała Montalbana. Bruno także dał na migi do zrozumienia, że chce, by komisarz wziął go na ręce. A kiedy tylko się znalazł na wysokości jego twarzy, plunął mu w oko cukierkiem, który właśnie ssał.

Ustalili, że co rano Livia będzie jeździć do Laury samochodem Salva, żeby spędzać z rodziną Guida całe dni, a Montalbana będzie ktoś codziennie zabierać z Marinelli samochodem służbowym. Wieczorem po pracy może go ktoś odwozić do Pizzo, gdzie już razem będą decydować, gdzie pojechać na kolację.

Komisarz uznał taki plan za idealny, bo w ten sposób mógł w południe wpadać do traktierni Enza i rozkoszować się tym, na co mu przyjdzie ochota.

Kłopoty w willi w Pizzo zaczęły się już od samego rana trzeciego dnia. Kiedy Livia przyjechała do przyjaciółki, zobaczyła istne pobojuwisko: ubrania były powywalane z szaf i rozrzucone w stertach na wszystkich krzesłach na tarasie, ściągnięte z łóżek materace stały bokiem pod oknami sypialni, a sprzęt kuchenny leżał rozsypany na posadzce pod drzwiami wejściowymi. Golusieńki Bruno, z węzłem ogrodniczym w ręku, podlewał obficie wszystkie ubrania, materace i pościel. Chciał też oblać wodą Livię, kiedy ją zobaczył w drzwiach, ale Livia za dobrze go znała i zdążyła mu się wymknąć. Laura leżała biernie na leżaku pod balustradą tarasu, z mokrą chusteczką na czole.

- Co tu się dzieje?
- Wchodziłaś do środka?
- Nie.
- Zajrzyj z tarasu, ale uważaj, nie wchodź.

Livia weszła przez furtkę na taras i zajrzała do salonu. Najpierw

zauważyła, że posadzka jest prawie cała czarna. A potem zobaczyła, że się rusza czy raczej przesuwa w różne strony.

Więcej już nic nie widziała, bo zrozumiałszy, co to jest, z histerycznym krzykiem uciekła z tarasu.

– Przecież to karaluchy! Tysiące karaluchów!

– Dzisiaj bardzo wcześnie – opowiadała zduszonym głosem Laura, z trudem łapiąc powietrze – zbudziłam się i poszłam po szklankę wody do kuchni, i od razu je zobaczyłam, chociaż jeszcze nie było ich tak dużo... Obudziłam Guida, próbowaliśmy jakoś ratować przed nimi, co się dało, ale wkrótce zabrakło nam sił. Wyłaziło ich coraz więcej przez szpary w posadzce salonu...

– A gdzie jest Guido?

– Pojechał do Montereale, wcześniej dzwonił do burmistrza, który okazał się bardzo uprzejmy... niedługo wróci.

– A nie mógł zadzwonić do Salva?

– Uznał, że nie ma sensu wzywać policji do plagi karaluchów.

Kwadrans później Guido wrócił, a za nim jechał samochód służb miejskich z czterema sprzętaczkami zaopatrzonymi w butle i miotły.

Livia zabrała Laurę z Brunem do Marinelli, a Guido został w Pizzo, żeby dopilnować dezynsekcji i oczyszczenia domu. Przyjechali do Marinelli o czwartej po południu.

– Wychodziły z tej szpary w posadzce. Wtrysnęliśmy do środka dwie butle środka owadobójczego i zamurowaliśmy solidnie cały otwór.

– A innych szpar nie ma? – zapytała Laura, wciąż jeszcze wstrząśnięta tym, co się stało.

– Nie musisz się martwić, sprawdziliśmy wszędzie, sprawa zakończona – zapewnił ją stanowczo Guido. – To się już nie powtórzy. Możemy tam spokojnie wracać.

– Tylko dlaczego nagle wyszło ich tyle z tej szpary...? – wtrąciła się Livia.

– Jeden z pracowników z magistratu wyjaśnił mi, że willa zeszłej nocy musiała się w niewyczuwalny sposób poruszyć, bo fundamenty jeszcze

osiadają i dlatego posadzka pękła. No a karaluchy, których pod domem zawsze pełno, weszły na górę zwabione zapachem jedzenia czy po prostu samą naszą obecnością. Nic w tym dziwnego.

Piątego dnia nastąpiła druga plaga. Tym razem pojawiły się myszy. Kiedy Laura wstała, zobaczyła, że pełno ich w domu, naliczyła chyba piętnaście, wszystkie takie szybciotkie i nawet dość miłe. Uciekły błyskawicznie przez drzwi na taras, kiedy Laura ruszyła w ich stronę. Były także w kuchni, gdzie żywiły się okruszkami chleba. Na Laurze, w przeciwieństwie do wielu kobiet, myszy nie robiły większego wrażenia. Guido znowu zadzwonił do burmistrza, pojechał do Montereale i wrócił z dwoma pułapkami na myszy, kawałkiem ostrego sera i rudym kotem, bardzo miłym i tak łagodnym, że nawet nie miał za złe, kiedy Bruno na przywitanie próbował mu wykłuć oko.

– Jak to rozumieć, że wkrótce po karaluchach pojawiły się myszy? – spytała Livia Montalbana, kiedy już leżeli w łóżku.

Montalbano, mając przy sobie nagą Livię, nie miał bynajmniej ochoty rozmawiać o myszach.

– W tym domu przez cały rok nikt nie mieszkał, więc nie można się dziwić... – zbył ją.

– Może trzeba było przed przyjazdem Laury zająć się wszystkim, dom dobrze wysprzątać, wymieść w każdym kącie, wydezynfekować... – myślała głośno Livia.

– Mnie także przydałoby się coś takiego – przerwał jej Montalbano.

– Co masz na myśli? – spytała zaskoczona Livia.

– Żeby się ktoś mną zajął...

Objęli się.

Ósmego dnia pojawiła się trzecia plaga. Laura znowu wstała pierwsza i pierwsza dostrzegła, co się dzieje w kuchni. Kątem oka zobaczyła tylko jeden okaz i od razu skoczyła w górę i osunęła się na stół w kuchni, zamykając z całej siły oczy. Kiedy poczuła się trochę pewniej, cała drżąca

i spocona uniosła powieki i popatrzyła na posadzkę.

A po niej spokojnie spacerowało może ze trzydzieści pajaków – doborowa reprezentacja swoich gatunków: jeden był duży i kosmaty, drugi chyba miał samą kulistą głowę i długie, cienkie jak nitki nogi, trzeci, płaski, pełzał jak krab, czwarty wyglądał jak słynna przerażająca czarna wdowa z ilustracji w podręczniku...

Laura, na której karaluchy nie robiły wielkiego wrażenia i która nie brzydziła się myszy, na widok pajaków całkiem traciła głowę. Cierpiała na dolegliwość, która nosi naukową nazwę arachnofobia i objawia się irracjonalnym i niedającym się opanować lękiem przed pajakami. Z wielkim krzykiem i ze zjeżonymi włosami osunęła się z kuchennego stołu na posadzkę. Rozbiła sobie głowę, która zaraz zaczęła krwawić.

Guido, nagle obudzony, zerwał się z łóżka i pobiegł żonie na pomoc. Ale nie zauważył Ruggera – bo tak nazwano kota – który właśnie wyskoczył z kuchni, wystraszony najpierw krzykiem Laury, a potem jej nagłym upadkiem. Tak więc Guido przeleciał nad posadzką i zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy jego głowa zderzyła się z lodówką.

Livia, która przyjechała o zwykłej porze, żeby razem z przyjaciółmi zejść nad morze, zobaczyła przed sobą szpital połowy.

Laura i Guido mieli obandażowane głowy, a Bruno lewą stopę, bo wstając z łóżeczka strącił z nocnej szafki szklankę z wodą, szklanka się rozbiła i chłopiec stanął na kawałku szkła. Przerażona Livia zauważyła, że nawet kot Ruggero trochę kulał po zderzeniu z biegnącym Guidem.

Skończyło się to, jak poprzednio, przyjazdem sprzątaczy ze służb miejskich, przysłanych przez burmistrza, który już na dobre zaprzyjaźnił się z pechową rodziną. Kiedy Guido dyrygował sprzątaniem, Laura, wciąż jeszcze niespokojna, oświadczyła Livii podniesionym głosem:

- Ten dom nie chce nas znać.
- Daj spokój! Dom to tylko dom, nie może kogoś lubić czy nie.
- Powtarzam ci, że ten dom ma nas dość!
- Nie unoś się!

– To jest chyba dom przeklęty! – upierała się Laura z błyszczącymi oczami, jakby miała gorączkę.

– Lauro, zastanów się, nie wmawiaj sobie takich głupstw. Rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale...

– Przyznam ci się, że nawet zaczęłam sobie przypominać te rozmaite filmy o przeklętych domach albo o domach, gdzie zagnieździły się piekielne zjawy.

– To przecież tylko wymyślne fantazje!

– Przekonasz się, że miałam rację.

Następnego dnia od samego rana mocno się rozpadało. Livia i Laura pojechały do muzeum w Montelusie, a Guido, którego burmistrz zaprosił na zwiedzanie kopalni soli, zabrał ze sobą Bruna. W nocy deszcz zmienił się w trwałą ulewę.

Od rana dziesiątego dnia lało już nieprzerwanie. Laura zatelefonowała do Livii, żeby jej powiedzieć, że muszą zawieźć dziecko do szpitala, bo rana na stopie zamiast się goić, zaczęła ropieć. Livia wobec tego wykorzystwała ten dzień na uporządkowanie rzeczy Salva. Późnym wieczorem deszcz ustał i wszyscy sobie wmawiali, że następny dzień będzie już piękny i słoneczny, idealny na kąpiel w morzu.

2

Nie mylili się. Morze z szarego stało się takie jak trzeba, piasek, jeszcze mokry, był brązowawy, ale po dwu godzinach wielkiego upału znowu lśnił jak złoto. Woda może była jeszcze odrobinę chłodna, ale w południe od tego żaru, który zaczął się o szóstej rano, stała się ciepła jak zupa. Miała więc taką temperaturę, jaką lubiła Livia, a na jaką Montalbano krzywił się z odrazą, bo zdawało mu się, że wchodzi nie do morza, tylko do wanny w ośrodku kuracyjnym, i po takiej kąpieli czuł się wyczerpany i osłabiony.

O wpół do dziesiątej Livia przyjechała do Pizzo i usłyszała, że tym razem poranek przebiegł normalnie, nie wypełzły znikąd ani karaluchy, ani myszy, ani pająki, nie pojawiły się też żadne skorpiony i nie zdarzyły się jakieś inne przykre wypadki. Laura, Guido i Bruno byli już gotowi do zejścia na plażę.

Kiedy schodzili z tarasu, usłyszeli telefon. Guido, który był inżynierem w firmie budującej mosty i którego już od dwu dni wzywano pilnie do Genui z jakiejś, całkiem niezrozumiałej dla komisarza przyczyny, powiedział:

– Schodźcie na dół, zaraz do was dołączę.

I zawrócił do domu, żeby podnieść słuchawkę.

– Muszę jeszcze wpaść na chwilę do toalety – powiedziała Laura do Livii.

Poszła do willi, a Livia ruszyła w ślad za nią. Jak wiadomo, wycieczki do toalety są zaraźliwe, ledwo ktoś się tam wybierze, zaraz pędzą za nim inni. Livia poszła więc do drugiej łazienki. Potem znowu spotkali się na tarasie. Guido zamknął drzwi wejściowe, zamknął furtkę na taras, zarzucił sobie na ramię parasol, bo jako mężczyzna nie mógł się od tego trudu uchylić i wszyscy skierowali się w stronę kamiennych schodków prowadzących na plażę. Zanim zaczęli schodzić, Laura nagle rozejrzała się na prawo i na lewo i spytała:

– A gdzie Bruno?

– Może już schodzi na dół, nie czekając na nas – powiedziała Livia.

– O Boże, Bruno sam nie zejdzie, zawsze muszę go trzymać za rękę! – zaniepokoiła się poważnie Laura.

Wychylili się, żeby zobaczyć, co się dzieje niżej. Ale widać było tylko kilkanaście stopni, a potem schodki skręcały w bok. Bruna nigdzie nie było.

– Niemożliwe, żeby zszedł jeszcze niżej – powiedział Guido.

– Zejdz i zobacz, na litość boską! Może spadł! – krzyknęła Laura, która już nie panowała nad sobą.

Obie, Laura i Livia, patrzyły wymownie na Guida, więc zbiegł kilka schodków niżej, zniknął za zakrętem, ale po pięciu minutach wyłonił się z powrotem.

– Zbiegłem na sam dół. Bruna nie ma. Wracajcie sprawdzić w domu, może zamknęliśmy go w środku – mówił podniesionym głosem, łapiąc powietrze.

– Jak mamy wrócić? To ty masz klucze – powiedziała Laura.

Guido, zdyszany i spocony, pobiegł w stronę willi, otworzył furtkę na taras, otworzył drzwi do domu i rozpoczęło się chóralne wołanie:

– Bruno! Bruno!

– Ten nieznośny dzieciak potrafi się schować pod łóżko i tkwić tam cały dzień, byle tylko zrobić nam na złość – stwierdził Guido, który także zaczął już tracić cierpliwość.

Szukali go w całym domu, pod wszystkimi łózkami, w szafach, pod szafami, w schowku na szczotki – bez skutku. W pewnej chwili Livia zauważyła:

– Ruggera też nigdzie nie ma...

Rzeczywiście, kot, który ciągle plątał się pod nogami, o czym tak dotkliwie przekonał się Guido, również gdzieś zniknął.

– Ruggero, kiedy go się woła, zawsze szybko przychodzi albo miauczy. Spróbujmy go zawołać – podsunął Guido.

Pomysł miał ręce i nogi, zwłaszcza że Bruno i tak nie mówił, więc jedyną istotą, która mogła się odezwać był kot.

– Ruggero! Ruggero!

Ale kot nie dawał o sobie znać.

– Chyba Bruno musi być gdzieś na zewnątrz – stwierdziła Laura.

Wobec tego wszyscy wyszli i rozbiegli się wokół domu, zaglądając także do dwu zaparkowanych aut – i nic.

– Bruno! Ruggero! Bruno! Ruggero!

– Może ruszył przed siebie tą drogą, którą dojeżdża się do szosy – zasugerowała Livia.

Laura się przeraziła:

– O Boże, jeśli tam poszedł... Na szosie taki straszny ruch!

Wobec tego Guido wsiadł do samochodu i przejechał najwolniej jak potrafił całą polną drogę prowadzącą do szosy, rozglądając się na wszystkie strony. Dojechał do skrzyżowania z szosą, zawrócił i jadąc z powrotem, zobaczył, że przed wejściem do wiejskiego domku kręci się chłop, biednie ubrany, w wytłuszczonym kaszkiecie na głowie, który wypatrywał czegoś na ziemi tak uważnie, jakby chciał zliczyć wszystkie mrówki pod swoimi butami.

Guido zatrzymał się i wychylił przez okno samochodu.

– Proszę pana...

– Czego? – chłop podniósł głowę, mrugając, jakby dopiero przed chwilą się obudził.

– Nie przechodził tędy mały chłopiec? Nie widział pan?

– Jak?

– Chłopiec, trzyletnie dziecko.

– Dlaczego?

Cóż to za pytanie? – pomyślał Guido, któremu już nerwy puszczały. Jednak odpowiedział uprzejmie:

– Dlatego, że nie możemy go znaleźć.

– Ojoj! – odpowiedział chłop, a jego twarz nagle zrobiła się zmartwiona, chociaż zaraz odwrócił się w stronę domu.

Guido nie wytrzymał.

– Co znaczy to pańskie „ojoj!””, proszę pana?

– Ojoj znaczy ojoj i tyle. Ja tego malca nie widziałem, nic o nim nie wiem i wcale nie chcę nic wiedzieć o tej historii – odpowiedział energicznie chłop, wchodząc do domu i zamykając za sobą drzwi wejściowe.

– Zaraz! Proszę pana! – zawołał rozżalony Guido. – Tak się nie robi! Pan jest źle wychowany!

Miał ochotę wdać się z chłopem w kłótnię i trochę sobie ulżyć. Wsiadł z samochodu, podszedł do drzwi, zapukał, a potem zaczął w nie walić pięściami, ale to nic nie dało, drzwi pozostały zamknięte. Zdyszany wsiadł do samochodu, ruszył, podjechał pod drugi dom, pod ten przyzwoiciej wyglądający, w którym chyba jednak nie było nikogo, więc pojechał dalej i wrócił do willi.

– I nic?

– Nic.

Laura objęła Livię i zaczęła płakać.

– Sami widzicie. Od początku mówiłam, że ten dom jest przeklęty.

– Uspokój się, Lauro, z łaski swojej – zwrócił się do niej mąż.

Ale efekt był taki, że Laura zaczęła płakać jeszcze głośniej.

– Co robić? – spytała Livia.

Guido znalazł rozwiązanie.

– Idę dzwonić do Emilia, do burmistrza.

– Po co ci burmistrz?

– Przyśle mi swoich sprzątaczy. Albo jakiegoś strażaka. Jak będzie nas więcej do szukania, to może jakoś sobie poradzimy. Nie sądzisz?

– Poczekaj. Nie lepiej zadzwonić do Salva?

– Może masz rację.

Dwadzieścia minut później Montalbano przyjechał służbowym wozem, prowadzonym przez Galla, który popisywał się szybkością godną toru

w Indianapolis.

Kiedy wysiadł, wyglądał na umęczonego i przybitego, ale tak wyglądał zawsze, kiedy wychodził z samochodu prowadzonego przez Galla.

Livia, Guido i Laura zaczęli mu na wyścigi opowiadać, co się stało, tak że Montalbano zdołał coś z tego zrozumieć tylko dlatego, że zdobył się na najwyższe skupienie, a potem już tamtych troje przestało mówić i zaczęło z kolei czekać, co on im powie, na jego, w ich przekonaniu, decydujące słowa, wpatrując się w niego z nadzieją pielgrzymów, błagających o łaskę Matkę Bożą z Lourdes.

– Dacie mi szklankę wody? – tak niestety zabrzmiała wyczekiwana wypowiedź komisarza.

Chciał się naprzód jakoś pozbierać, bo upał i wyczyny Galla zmąciły mu myśli. Kiedy Guido nalewał komisarzowi wody, kobiety patrzyły na niego zawiedzione.

– Jak myślisz, gdzie on może być? – spytała Livia.

– Skąd mogę wiedzieć, Livio? Nie jestem jasnowidzem! Zaraz się w tym wszystkim rozejrzę, ale musicie się trochę uspokoić, bo w takim zamieszaniu na nic się wam nie przydam.

Guido podał mu szklankę wody, komisarz wypił całą.

– Możecie mi wyjaśnić, czemu sterczymy na tym skwarze? – spytał. – Brak nam tylko udaru słonecznego. Zabieramy się do domu. Ty, Gallo, razem z nami.

Gallo wysiadł z wozu i wszyscy posłusznie poszli za komisarzem.

Ledwo weszli do salonu, Laurze puściły nerwy. Najpierw przejmująco jęknęła, jakby nagle odezwała się syrena straży pożarnej, a potem zanosła się rozpaczliwym płaczem. Olśniła ją nowa myśl:

– Na pewno go porwali!

– Bądź rozsądna, Lauro – zawołał Guido.

– Któż miałby go porwać? – spytała Livia.

– Nie wiem. Cyganie, cyrkowcy, beduini? Czuję, że go porwali! Moje kochane, biedne dziecko...!

Komisarz pomyślał złośliwie, że gdyby ktoś wpadł na pomysł porwania tak okropnego dzieciaka jak Bruno, na pewno oddałby go jeszcze tego samego dnia. Spytał jednak Laurę:

– To dlaczego, jak ci się zdaje, porwali razem z nim także Ruggera?

Gallo omal nie spadł z krzesła. Wiedział, że tutaj zaginęło dziecko, bo mu o tym powiedział Montalbano, ale kiedy został w wozie, nie słyszał, co opowiedziano komisarzowi. Teraz nagle zrozumiał, że porwano dwoje dzieci. Spojrzał pytająco na przełożonego.

– Ruggero to kot, nie przejmuj się.

Napomknienie o kocie wypadło bardzo skutecznie, Laura trochę się uspokoiła. Montalbano już miał się wypowiedzieć, co mają zrobić, kiedy Livia zerwała się z krzesła, otworzyła szerzej oczy i wyszeptała:

– O Boże! O mój Boże!

Wszyscy spojrzeli na nią, śledząc jej wzrok.

W drzwiach do salonu stał spokojnie Ruggero i oblizywał sobie wąsy.

Laura znowu wydała z siebie odgłos strażackiej syreny i zaczęła szlochać.

– Sami widzicie, że mówiłam prawdę. Kot jest tutaj, a Bruna nie ma. Porwali mi go! Porwali!

I po tych słowach zemdląła.

Guido i Montalbano dźwignęli ją z posadzki, zanieśli do sypialni, położyli na łóżku. Livia pobiegła do lodówki po kostki lodu na głowę i butelkę octu pod nos, ale to nie pomogło, Laura nie otwierała oczu. Miała szarą twarz, zaciśnięte szczęki i cała była zlaną zimnym potem...

– Guido, jedźcie do Montereale do lekarza. A ty, Livio, zabierz się razem z nimi – powiedział Montalbano.

Ułożyli Laurę na tylnym siedzeniu tak, żeby miała głowę na kolanach Livii, Guido ruszył jak na torze wyścigowym, nawet Gallo patrzył za nim z podziwem. Potem komisarz z Gallem wrócili do salonu.

– Teraz, kiedy nam się tu nie płaczą – powiedział Montalbano – spróbujmy zrobić coś sensownego. Pierwszą sensowną rzeczą będzie rozebranie się do slipek kąpielowych. Bo inaczej ten upał nie pozwoli nam zebrać myśli.

– Nie mam przy sobie kąpielówek, komisarzu.

– Ja też nie mam. Ale Guido ma kilka par.

Znalazł je i zaraz się przebrali. Na szczęście slipki były z tkaniny dość elastycznej, bo gdyby nie to, komisarz cały by w nich utonął, a Galla natomiast można by było oskarżyć o publiczną obrazę moralności.

– Teraz zrobimy tak – zarządził Montalbano. – Dziesięć metrów od furtki zaczynają się schody wykute w tufie, które prowadzą na plażę. To jedyne miejsce, o ile mogłem coś zrozumieć w tym zamieszaniu, którego nikt nie sprawdził dokładnie. Zejdiesz na dół, zatrzymując się na każdym stopniu, bo dzieciak mógł spaść i stoczyć się gdzieś w zarośla.

– A pan, panie komisarzu, co będzie robił?

– Ja się zaprzyjaźnię z kotem.

Gallo popatrzył na komisarza zdumiony, ale nie odezwał się i odszedł.

– Ruggero! Ależ ty jesteś piękny! Śliczny kotek! Ruggero!

Kot zaczął się tarzać na grzbiecie z wyciągniętymi do góry łapami. Montalbano drapał go po brzuchu.

– Mrrr – mrucał Ruggero.

– Co byś powiedział, gdybyśmy zajrzeli do lodówki? Może coś tam w niej trzymają? – spytał go komisarz, idąc do kuchni.

Ruggera chyba ucieszyła kusząca propozycja, bo pobiegł za nim, a kiedy Montalbano otworzył lodówkę i wyjął z niej dwie sardynki, zaczął się ocierać o nogi komisarza i trącać je łepkiem.

Komisarz znalazł papierowy talerz, ułożył na nim sardynki, postawił na posadzce, poczekał, aż kot skończy jeść, a potem wyszedł na taras. Ruggero, jak było do przewidzenia, poszedł za nim. Skierowali się w stronę schodków i wkrótce zobaczyli wyłaniającą się z dołu głowę Galla.

– Nic tam nie ma, absolutnie nic, panie komisarzu. Mogę zaręczyć, że noga małego nie powstała na tych schodach.

– Wykluczasz, że potrafiłby zejść sam aż na plażę, a potem wejść do wody?

– Panie komisarzu, jeśli dobrze zrozumiałem, ten chłopczyk ma trzy lata. Nie mógł dotrzeć do wody, nawet gdyby puścił się biegiem.

– Może wobec tego trzeba dokładniej przejrzeć teren wokół willi. Nie widzę innej możliwości.

– Co by pan powiedział, panie komisarzu, gdybym zadzwonił do komisariatu i wezwał dwóch lub trzech naszych? Pomogliby nam.

Pot spływał po Gallu aż do stóp.

– Jeszcze troszkę zaczekajmy. Tymczasem idź pod prysznic, jakoś się pozbieraj. Tu na podwórzu jest też pompa.

– A pan tymczasem wszystko ułoży sobie w głowie i poczeka na mnie, tak?

Komisarz wyszedł na taras, gdzie leżały porozrzucone rzeczy plażowe, i wrócił z czerwonym kapeluszem Livii w kwieciste wzory.

– Niech pan to włoży. I tak tutaj nikt pana w tym nie zobaczy.

Kiedy Gallo odchodził, Montalbano zorientował się, że nie ma już przy nim kota. Wrócił do domu, wszedł do kuchni, zawołał go. Ale kot się nie pojawił.

Jeżeli nie było go tutaj, gdzie talerz po sardynkach zachęcał do zlizywania ich zapachu, to gdzie mógł się podziać? Wiedział od Laury i Guida, że kot i chłopiec nigdy się nie rozstawali. Bruno tak długo prosił, krzyczał, płakał, że w końcu pozwolili mu nawet na to, żeby kot spał z nim w łóżeczku.

Właśnie dlatego komisarz chciał się zaprzyjaźnić z Ruggerem. Intuicja podszeptowała mu, że coś to może dać. Kot na pewno znał miejsce, gdzie był teraz mały. Pomyślał więc od razu, że kot znowu zniknął, żeby wrócić tam, gdzie jest Bruno, bo chciał mu dotrzymać towarzystwa.

– Gallo!

Przybiegł natychmiast, zachlapując posadzkę wodą.

– Słucham, panie komisarzu!

– Wiesz co, musisz sprawdzić w każdym pokoju, czy gdzieś nie ma kota. Kiedy się upewnisz, że nigdzie go nie ma, pozamykaj drzwi i okna. Musimy mieć pewność, że kota nie ma w środku i że nie może się tu dostać.

Zdumiony Gallo nic z tego nie zrozumiał. Przecież przyjechali tutaj szukać dziecka, które zaginęło. Dlaczego więc komisarz upiera się tylko przy tym, żeby szukać kota?

– Panie komisarzu, przepraszam, ale co tu ma do rzeczy kot?

– Rób, jak ci mówię. Zostaw otwarte tylko drzwi wejściowe.

Gallo zaczął przeszukiwać pokoje, a Montalbano wyszedł za furtkę, podszedł aż do samego urwiska nad plażą, odwrócił się i z daleka przypatrywał się willi. Patrzył tak długo, aż nabrał przekonania, że to, co mu się wydawało, jednak się potwierdza, że nie jest tylko jego czystym wymysłem. Prawie niedostrzegalnie, najwyżej o parę milimetrów cała willa była przechylona w lewo.

Był to na pewno efekt drgnięcia tektonicznego sprzed paru dni, które też zostawiło po sobie szparę w posadzce salonu, a stamtąd wychodziły karaluchy, myszy i pająki.

Wrócił na taras, znalazł piłkę, którą Bruno schował za leżakiem, położył ją na posadzce. Piłka powolutku potoczyła się w stronę lewego murku. Właśnie tego dowodu potrzebował. Ale mogło to znaczyć wiele albo nic. Wyszedł znowu poza ogrodzenie, oddalił się dostatecznie daleko i zaczął przypatrywać się tym razem prawej ścianie willi. Wszystkie okna, które wychodziły na tę stronę, były pozamykane, co znaczyło, że w tej części domu Gallo już zakończył zadanie. Montalbano nie dopatrywał się tutaj niczego szczególnego.

Przeszedł wobec tego na stronę frontową, gdzie znajdowało się główne wejście do willi i placyk do parkowania. Drzwi wejściowe pozostały otwarte, jak to ustalił z Gallem. Tutaj także nie zauważył niczego niezwykłego.

Obchodził willę w dalszym ciągu, aż znalazł się po tej stronie, na którą willa w ten ledwo widoczny sposób się przechylała. Jedno z dwu okien było już zamknięte, drugie jeszcze otwarte.

– Gallo!

Gallo wychylił się z okna.

– I co?

– To już ostatnia łazienka, już kończę. Kota nie ma. Zostaje mi jeszcze

salon. Mogę tu pozamykać?

Kiedy Gallo zamykał okiennice, Montalbano zauważył, że rynna nad samym oknem jest uszkodzona. Utworzyła się w niej szpara szeroka na co najmniej trzy palce.

Musiło to być jakieś dawne pęknięcie, którego nikt dotąd nie naprawił. Kiedy padało, woda zamiast ściekać do pionowej rynny, która kierowałaby ją do studzienki przy ścianie tarasu, wypływała przez tę szparę na zewnątrz. Ktoś, chcąc uniknąć utworzenia się wielkiej kałuży tuż przy domu, od której mogłaby zawilgotnieć ściana, postawił w tym miejscu wielką beczkę po smole.

Montalbano zauważył jednak, że beczka nie stoi wprost pod dziurą w rynnie, tylko jest odsunięta co najmniej o metr od ściany.

„Jeżeli woda nie mogła spływać do beczki – rozumował Montalbano – to tutaj powinna powstać ogromna kałuża, wielka jak jezioro, skoro przez ostatnie dni tak solidnie lało. Tymczasem nie ma nawet śladu żadnej wody. Czym to można wytłumaczyć?”

Poczuł, jakby mu słaby prąd przebiegł wzdłuż całego kręgosłupa. Jak zawsze wtedy, kiedy trafiał na początek drogi, którą należało obrać. Podeszedł do beczki. Było w niej oczywiście trochę wody, ale nie tyle, ile wlałoby się z uszkodzonej rynny. Ta woda, którą widział, trafiła do beczki prosto z nieba.

Rzuciło mu się też w oczy, że woda, wypływająca przez dziurę w rynnie nieprzerwanie przez dwa dni i dwie noce, wydrążyła wręcz fosę tuż przy samej ścianie domu. Nie dostrzegano jej od razu, bo zasłaniała ją beczka. Była to fosa szerokości około metra, wydrążona w górnej warstwie miękkiej ziemi, która zakrywała jakąś podziemną wnękę, ale teraz osunęła się do niej pod naporem lejącego się z góry strumienia wody.

Montalbano zdjął kapelusz Livii i wyciągnął się na ziemi, wsadzając głowę wprost do fosy. Przesunął się i opuścił w głąb ramię, ale nie sięgnął dna. Zorientował się jednak, że fosa nie jest pozioma, tylko schodzi ukośnie w dół po nieznacznym spadku.

Nabrał absolutnej pewności, chociaż nie umiałby powiedzieć dlaczego, że mały wszedł do tej fosy i teraz nie umie się z niej wydostać.

Zerwał się, pobiegł czym prędzej do domu, wszedł do kuchni, otworzył lodówkę, wyjął sardynki, wrócił nad fosę, ukląkł i ułożył je dookoła wlotu.

W tym momencie nadszedł Gallo i zobaczył, że komisarz wkłada sobie na głowę damski kapelusz, pochyla się tuż nad ziemią i wpatruje uporczywie w zagłębienie przy murze, wokół którego leżą sardynki.

Gallo pomyślał, że oto wyszedł na durnia, spełniając rozkazy wydawane przez komisarza, który postradał rozum. Co miał robić? Czy nie powinien raczej ulegać jego zachciankom, bo tak zazwyczaj postępuje się z wariatami, żeby ich nie rozdrażnić?

– To świetny chwyt z tymi sardynkami – powiedział z przymilnym uśmiechem, jakby patrzył na dzieło sztuki współczesnej.

Montalbano władczy gestem kazał mu zamilknąć. Gallo go posłuchał w obawie, że łagodne zamięnienie umysłu może się zamienić u komisarza w atak furii.

3

Minęło pięć minut, a oni obaj trwali w bezruchu. Nawet Gallo zaczął się wpatrywać z przejęciem w fosę ozdobioną sardynkami, ulegając temu intensywnemu napięciu, z jakim ją śledził komisarz. Wyglądało na to, że ze wszystkich zmysłów zachowali tylko wzrok i nie byli już zdolni słyszeć szumu morza ani wdychać jaśminu, którego krzew rósł w pobliżu tarasu.

Po tych kilku minutach, które wydawały się wiecznością, z głębi fosy wynurzył się łepiek Ruggera. Kot popatrzył na Montalbana i z głośnym „mrau”, jakby mu dziękował, zabrał się do pierwszej z brzegu sardynki.

– Niech to szlag trafi! – krzyknął Gallo, pojmując wreszcie, o co chodzi.

– Głowę dam – powiedział ożywiony Montalbano – że dzieciak jest gdzieś w tej dziurze.

– Rozejrzę się za łopata! – zawołał Gallo.

– Nie pieprz głupstw, teren jest tu taki, że zaraz zaczniesz się obsuwać.

– To co robimy?

– Zostań tutaj i patrz, co robi kot. A ja zadzwonię z samochodu po Fazio. – Fazio?

– Słucham, panie komisarzu.

– Słuchaj uważnie. My z Gallem jesteśmy w Pizzo, koło Marina di Montereale.

– Znam to miejsce.

– Przypuszczam, że dziecko, syn naszych przyjaciół, wpadł do głębokiej fosy i nie może się z niej wydostać.

– Zaraz tam będziemy.

– Nie trzeba. Wezwij komendanta straży pożarnej z Montelusy. To sprawa dla nich. Powiedz mu, że teren jest bardzo sypki, muszą mieć ze sobą taki

sprzęt, żeby mogli kopać i jednocześnie umacniać brzegi wykopu. A przede wszystkim mają tu jechać bez syreny, bez rozgłosu, dziennikarze nie powinni o niczym wiedzieć. Nie chcę, żeby doszło do czegoś takiego jak w Vermicino.

– Ja też mam przyjechać?

– Nie musisz.

Wszedł do domu i zadzwonił do Livii na komórkę z telefonu w salonie.

– Co z Laurą?

– Pozbierała się, dali jej zastrzyk uspokajający. Zaraz wsiadamy do samochodu. A Bruno?

– Chyba już ustaliłem, gdzie jest.

– O Boże! Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że wlaźł głęboko do fosy i nie może się stamtąd wydostać.

– Ale... żyje?

– Nie wiem, mam nadzieję, że żyje. Za chwilę przyjedzie straż pożarna. Kiedy lekarze pozwolą Laurze odjechać, zawieź ją do nas, do Marinelli. Nie chcę, żeby tu była. Guido, jeśli chce, może przyjechać.

– Proszę cię, Salvo, zawiadom mnie od razu o wszystkim.

Wrócił do Galla, który nie ruszył się z nad fosy.

– I co zrobił kot?

– Zjadł wszystkie sardynki i wszedł do domu. Nie widział go pan?

– Nie. Musiał pójść do kuchni napić się wody.

Nie tak dawno Montalbano zorientował się, że nie słyszy najlepiej. Nic wielkiego, ale dawny czujny słuch, który jest jak ostrość widzenia, trochę się stępił. A kiedyś miał taki słuch, że mógł usłyszeć jak trawa rośnie! Niech diabli wezmą te podeszłe lata!

– A ty jak słyszysz? – spytał Galla.

– Nie narzekam, komisarzu.

– No to postaraj się coś tam usłyszeć.

Gallo położył się płasko na ziemi i wsadził głowę do fosy.

Montalbano wstrzymał oddech, nie chciał mu zakłócać nasłuchiwania. Cisza dokoła była wręcz absolutna, willa leżała naprawdę na odludziu, z dala od świata. Nagle Gallo wysunął głowę.

– Chyba coś usłyszałem.

Oślonił sobie rękami uszy, wciągnął głęboko oddech, wsunął raz jeszcze głowę do fosy. Po chwili ją wyjął, odwrócił się do komisarza. Widać było, że jest zadowolony.

– Usłyszałem płacz. Jestem pewien. Może coś się chłopcu stało, kiedy tu wpadł. Głos dochodzi z bardzo daleka. Jak głęboka może być ta fosa?

– Więc jak na razie nie wiemy, czy się poranił, ale mamy przynajmniej pewność, że żyje. A to już jest bardzo dobra wiadomość.

Tymczasem pojawił się Ruggero. Odezwał się tym swoim „mrau”, zszedł spokojnie do fosy i zniknął.

– Poszedł go odwiedzić – powiedział komisarz.

A ponieważ Gallo już zaczął się śmiać, Montalbano go powstrzymał:

– Zaczekaj. Posłuchaj raz jeszcze, czy chłopiec płacze.

Gallo starał się coś usłyszeć. Nasłuchiwał dość długo, wreszcie oznajmił:

– Już nic nie słyszę.

– Widzisz? Kiedy ma przy sobie Ruggera, jest mu różniej.

– I co teraz?

– Teraz idę do kuchni napić się piwa. Ty też masz ochotę na piwo?

– Nie, wolę oranżadę. Widziałem, że tam jest.

Obaj czuli się zadowoleni, choć zdawali sobie sprawę, że wydostanie chłopca z fosy nie będzie takie proste.

Montalbano wypił spokojnie butelkę piwa, a potem zadzwonił do Livii.

– Żyje.

I opowiedział jej o wszystkim. Na koniec Livia spytała:

– Mam o tym powiedzieć Laurze?

– Poczekaj. Wydaje mi się, że nie będzie łatwo go wydostać, a jeszcze

nawet nie ma strażaków. Lepiej nic na razie nie mów. Guido jest jeszcze z wami?

– Nie, tylko nas przywiózł do Marinelli, a teraz już jedzie do ciebie.

Od razu było widać, że dowódca oddziału strażaków, złożonego z ośmiu ludzi, zna się na swojej robocie. Montalbano wyjaśnił mu, co się jego zdaniem tutaj stało, powiedział mu o osunięciu się ziemi pod fundamentami, do którego musiało dojść parę dni temu, i podzielił się z nim także swoją obserwacją, że willa trochę się przechyliła. Dowódca straży wy dostał poziomice i pion i natychmiast to sprawdził.

– Ma pan rację. Przechyliła się.

Po czym zabrał się do pracy. Najpierw zbadał cały teren wokół willi tyczką zakończoną jakimś próbnikiem, potem sprawdzał wszystko wewnątrz budynku, szczególnie uważnie obejrzał szczelinę w salonie, z której wyłaziły karaluchy, i na koniec wrócił nad fosę. Wsunął do niej rodzaj metalowej, zwijanej miarki, długo ją wciskał, potem wyjął z powrotem i raz jeszcze wsunął i wyjął. Chciał ustalić, jak głęboko sięga fosa.

– To rodzaj równi pochyłej – powiedział, kiedy skończył swoje pomiary. – Zaczyna się jakby pod samym oknem małej łazienki, a kończy pod oknem sypialni, na głębokości mniej więcej trzech metrów.

– To by znaczyło, że fosa ciągnie się po tej stronie willi wzdłuż całej fasady?

– Na pewno – potwierdził dowódca straży. – I ma przebieg bardzo dziwny.

– Dlaczego? – dopytywał się Montalbano.

– Dlatego, że jeśli tę fosę utworzyła woda deszczowa w czasie ulewy, to pod ziemią musi być coś, co jej przeszkodziło wsiąkać w teren, który by ją całkiem wchłonał i nie pozwolił na spływanie w jednym tylko kierunku. Tymczasem woda od razu trafiła na jakąś trwałą przegrodę i musiała ściekać ukośnie w dół.

– Poradzicie sobie z tym? – spytał jeszcze komisarz.

– Musimy działać wyjątkowo ostrożnie – odpowiedział dowódca

strażaków – ponieważ teren wokół samego domu jest całkiem inny niż ziemia w pobliżu. Wystarczy chwila nieuwagi i sypki nasyp może się osunąć.

– Co to znaczy, że teren jest tu całkiem inny? – spytał Montalbano.

– Niech pan przejdzie ze mną parę kroków – zaproponował.

Oddalił się od willi jakieś dziesięć metrów, a Montalbano i Gallo podążyli za nim.

– Proszę się przyjrzeć, jaki kolor ziemia ma tutaj, a jaki trzy metry stąd, pod samą willą, bo tam struktura ziemi całkiem się zmienia. Tu, gdzie stoimy, to ziemia tutejsza, a tamta, jaśniejsza, żółtawa, to sypki grunt który tutaj specjalnie zwieziono.

– Ale po co?

– Hm, trudno powiedzieć. Może ktoś chciał, żeby willa odcinała się wyraźniej od terenu, żeby wyglądała bardziej reprezentacyjnie. No, mamy wreszcie koparkę.

Zanim ją uruchomiono, dowódca strażaków chciał zmniejszyć ciężar sypkiej ziemi, która pokrywała koryto fosy. Trzej strażacy z łopatami zaczęli odrzucać jej warstwę wzdłuż całej fasady willi. Ładowali ją na trzy taczki, które ich koledzy odwozili parę metrów dalej i tam wysypywali.

Usunęli w ten sposób około trzydziestocentymetrową warstwę, pod którą czekała ich niespodzianka. Na tej głębokości powinny się już zaczynać fundamenty willi, a tymczasem jej ściana szła dalej w dół i była idealnie otynkowana. Żeby wilgoć nie niszczyła tynku, obłożono ją grubą folią plastikową.

Słowem, wyglądało na to, że willa ciągnie się w dół, starannie opakowana materiałem izolacyjnym.

– Kopcie wszyscy pod oknem małej łazienki – zarządził dowódca strażaków.

I tak łopata za łopata zaczęła się odsłaniać górna część okna położonego dokładnie pod oknem nadziemnym. Nie miało stolarki – był to tylko prostokątny otwór w murze zasłonięty dwiema warstwami folii.

– Tutaj, pod ziemią, jest drugie mieszkanie! – zawołał zdumiony Guido.
I teraz Montalbano wszystko zrozumiał.

– Dość, przestańcie kopać! – zarządził.

Wszyscy przerwali kopanie i patrzyli na niego, czekając na wyjaśnienie.

– Czy ma ktoś latarkę? – spytał.

– Zaraz przyniosę! – krzyknął jeden ze strażaków.

– Przetnijcie folię wzdłuż okna – zarządził komisarz.

Wystarczyły dwa ruchy łopata. Tymczasem strażak przyniósł latarkę.

– Zaczekajcie wszyscy tutaj – powiedział Montalbano, przestępując parapet.

Od razu się zorientował, że nie potrzebuje latarki, bo światło docierające przez okno było wystarczające. Znalazł się w małej łazience, identycznej jak ta na parterze piętro wyżej. Łazienka była również w każdym szczególe wykończona, z posadzką, glazurą na ścianach, prysznicem, umywalką, sedesem i bidetem. Kiedy uważnie rozglądał się dookoła, zadając sobie pytanie, co to wszystko znaczy, coś otarło mu się o nogę, aż podskoczył ze zdumienia.

– Mrau – odezwał się Ruggero.

– Cieszę się, że cię widzę – odpowiedział mu komisarz.

Trzymając przed sobą latarkę, poszedł za kotem, który zaprowadził go do przyległego pokoju. Tutaj ciężar ziemi i wody nadwerężył ochronną folię w oknie i cały pokój wypełnił się błotem.

Tutaj był Bruno. Siedział wciśnięty w kąt i miał mocno zaciśnięte oczy. Na czole widać było świeże zranienie, cały drżał, jakby miał wysoką gorączkę.

– Bruno, to ja, Salvo – wyszeptał do niego komisarz.

Chłopiec otworzył oczy, poznał komisarza i podbiegł do niego z szeroko rozłożonymi ramionami. Montalbano go objął i dopiero wtedy Bruno się rozplakał.

Do pokoju wszedł wkrótce Guido, który miał już dość czekania na zewnątrz.

– Livia! Bruno się znalazł!

– Jest ranny?

– Ma przecięte czoło, ale to nic poważnego, zaręczam ci. W każdym razie Guido wiezie go na pogotowie do Montereale. Powiedz Laurze albo jak chcesz, zawieź ją tam. Ja będę na was wszystkich czekał tutaj.

Dowódca strażaków wszedł przez to samo okno, co komisarz. Nie mógł się nadziwić.

– Przecież to identyczne mieszkanie jak tamto wyżej, na parterze. Tu jest nawet taras przykryty deskami! Wystarczy założyć okna i drzwi, które stoją w salonie, i już można tutaj zamieszkać. Niesłychane, nawet podłączyli wodę. Wszystko jest też gotowe pod instalację elektryczną! Nie mogę pojąć, dlaczego to wszystko zostało ukryte pod ziemią!

Montalbano jednak pojmował to doskonale.

– Chyba rozumiem dlaczego. Na pewno było pozwolenie na budowę willi, ale z zastrzeżeniem, że nie można później nadbudować piętra. Właściciel dogadał się jednak z projektantem i kierownikiem robót, zbudowali więc taką willę, jaką tu widzimy. Potem obsypali ją dookoła warstwą ziemi, a nad terenem widoczne było tylko piętro zamienione w ten sposób na parter.

– Pewnie tak, ale dlaczego to zrobili?

– Czekali na ustawę o tak zwanej amnestii budowlanej. Gdyby rząd ją przyjął, właścicielowi wystarczyłaby noc na usunięcie ziemi zakrywającej niższą kondygnację, żeby móc wnieść o zatwierdzenie stanu faktycznego. W przeciwnym razie ryzykowaliby, że każą mu zburzyć samowolnie dobudowane piętro willi, chociaż prawdę mówiąc u nas coś takiego jest praktycznie niemożliwe.

Dowódca strażaków zaczął się śmiać.

– Jakie tam zburzenie! U nas przecież są całe osiedla samowolnie zbudowane!

– Tak, tylko że właściciel tej willi mieszkał w Niemczech. Może dlatego

zapomniał, jakie zwyczaje panują u nas i obawiał się, że tutaj przepisy prawa są tak samo rygorystycznie przestrzegane jak w Kolonii.

Strażaka to nie w pełni przekonywało.

– Zgoda, ale przecież ten nasz rząd stale wydaje ustawy, które zatwierdzają wszystko, co komu wygodne! Więc chyba nie warto było...

– Dowiedziałem się, że właściciel już od kilku lat nie żyje.

– Co jeszcze mamy tu do roboty? Zasypujemy z powrotem?

– Nic z tych rzeczy, zostawcie wszystko, jak jest. Chyba że to niebezpieczne.

– Dla wyższego piętra? W żadnym razie.

– Muszę pokazać tę piękną robotę właścicielowi agencji, która nam wynajęła willę.

Kiedy już został sam, poszedł pod prysznic, osuszył się na słońcu i ubrał. Wypił drugą butelkę piwa. Ale w dalszym ciągu chciało mu się pić. Dlaczego jeszcze tu nie dotarli?

– Livia? Jeszcze jesteście na pogotowiu?

– Nie, już jedziemy. Brunowi nic nie jest.

Rozłączył się i wybrał numer traktierni Enza.

– Tu Montalbano. Wiem, że jest późno i już zamykacie. Ale założmy, że jeszcze przyjedziemy do was, we czwórkę z dzieckiem gdzieś za pół godziny, to coś się dla nas znajdzie?

– Dla pana komisarza zawsze jest u nas otwarte.

Jak to często bywa, zażegnane niebezpieczeństwo wywołało we wszystkich tak wielką wesołość i wzbudziło tak wielki apetyt, że Enzo, słysząc, że goście ciągle się zaśmiewają i pochłaniają jedzenie, jakby przez tydzień pościli, podszedł zapytać, z jakiej okazji dzisiaj świętują. Bruno szalał jak zwykle: zrzucił na ziemię naprzód całe swoje nakrycie, potem szklanę, która na szczęście się nie rozbiła, a na koniec wylał komisarzowi na spódnie butelkę oleju. Montalbano nawet przez moment żałował, że za

wcześnie wydostał go spod ziemi. Potem z kolei żałował, że tak pomyślał. Kiedy skończyli jeść, Livia z przyjaciółmi wróciła do Pizzo, a komisarz pospieszył do Marinelli, żeby zmienić spodnie, po czym udał się do komisariatu popracować.

Pod wieczór spytał Fazia, czy jest ktoś, kto mógłby go podwieźć.

– Jest Gallo, panie komisarzu.

– A nie ma kogoś innego?

Nie chciał przeżywać po raz drugi wyścigu w Indianapolis, jak dzisiejszego ranka.

– Nie, nikogo już nie ma.

Kiedy wsiedli do samochodu, od razu wolał się zabezpieczyć.

– Gallo, tym razem nie ma pośpiechu. Jedź wolniutko.

– Proszę mi powiedzieć, panie komisarzu, z jaką szybkością.

– Najwyżej trzydzieści.

– Trzydzieści?! Panie komisarzu, ja trzydziestką nie umiem jechać. Narazimy się na jakiś wypadek. Mogę jechać pięćdziesiąt-sześćdziesiąt?

– Jedź, trudno.

Jechali spokojnie, dopóki nie skręcili na wyboistą polną drogę prowadzącą do willi. Na wysokości chłopskiego domku przebiegał pies. Żeby go nie potrącić, Gallo skręcił i mało brakowało, a uderzyłyby prosto w drzwi chałupy. Jednak rozbił tylko wazon, który stał obok.

– Patrz, co narobiłeś! – powiedział Montalbano.

Kiedy wychodzili z wozu, drzwi domku otworzyły się i stanął w nich chłop, może pięćdziesięcioletni, biednie ubrany, w wytłuszczonym kaszkiecie na głowie.

– Co jest? – spytał, zapalając światło nad wejściem.

– Rozbiliśmy panu wazon i chcemy za tę szkodę zapłacić – powiedział Gallo nie w dialekcie, tylko poprawnie po włosku.

I wtedy stało się coś dziwnego. Chłop rzucił okiem na samochód policyjny

i zaraz się odwrócił, zgasił światło, wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Gallo zaniemówił ze zdumienia.

– Zobaczył, że jesteśmy z policji, a najwidoczniej jej nie lubi – powiedział Montalbano. – Zapukaj do drzwi.

Gallo zapukał. Chłop mu nie otworzył.

– Halo! Jest pan tam?

Chłop nie odpowiedział.

– Niech się pocałuje w dupę – zakończył tę scenkę komisarz.

Laura i Livia nakryły do stołu na tarasie. Wieczór był tak piękny, że budził rzewne uczucia, całodzienny skwar w cudowny sposób zmienił się w odświeżający chłodek. Księżyc na niebie świecił tak jasno, że można było jeść kolację, nie zapalając światła. Panie przygotowały coś lekkiego do jedzenia, niedawno przecież wrócili od Enza, gdzie objedli się bez umiaru.

Kiedy siedzieli przy stole, Guido opowiedział, co mu się przydarzyło rano z tym chłopem, który mieszkał nieopodal willi.

– Powiedziałem mu, że zaginęło dziecko, a on mi na to: „ojoj”, zawrócił i zamknął drzwi. Pukałem, ale mi nie otworzył.

„To znaczy, że nie tylko z policją ma porachunki” – pomyślał komisarz. Ale nie wspomniał, że sam dopiero co został tak samo potraktowany.

Potem Guido i Laura zaproponowali, żeby przejść się brzegiem morza w świetle księżyca. Livia i Montalbano nie mieli na spacer ochoty. Bruno na szczęście poszedł z rodzicami.

Chwilę odpoczywali na leżakach, nie odzywając się do siebie. A w ciszy było słycać tylko „mrrr” kota Ruggera, który umościł się komisarzowi na brzuchu. W końcu Livia powiedziała:

– Pokażesz mi to miejsce, gdzie znalazłeś Bruna? Nie wiem czemu, ale od kiedy wróciliśmy, Laura nie pozwalała mi zejść i zobaczyć, gdzie to wszystko się stało.

– Dobrze, zejdziemy. Tylko wezmę latarkę z samochodu.

– Guido także musi tu jakąś mieć. Zaraz poszukam.

Spotkali się niebawem pod oknem zasypanej kondygnacji, każde z latarką w ręku. Montalbano wszedł do środka pierwszy, rozejrzał się, czy nie ma gdzieś myszy, a potem pomógł Livii wejść przez parapet okna łazienki. Naturalnie Ruggero wskoczył do środka razem z nimi.

– Niesłychane! – stwierdziła Livia, oglądając łazienkę.

Powietrze było tu gęste i wilgotne, jedyne okno, przez które mogło dostać się trochę świeżego powietrza, było za małe, żeby przewietrzyć całe mieszkanie. Skierowali się do pokoju, w którym komisarz znalazł Bruna.

– Lepiej tu nie wchodzić, Livio, tu za dużo błota.

– Biedne dziecko, jak bardzo musiało się bać! – stwierdziła Livia, wchodząc do salonu.

W świetle latarek zobaczyli zasłonięte folią puste otwory okienne. Montalbano zauważył stojący pod ścianą wielki kufer. Zaciekawilo go, co w nim może być, a ponieważ kufer nie był zamknięty na kłódkę czy łańcuch, podszedł bliżej i go otworzył.

Przypominał w tym momencie Cary'ego Granta w scenie filmu *Arszenik i stare koronki*. Energicznie podniósł wieko i zaraz się wyprostował. Kiedy Livia skierowała latarkę na niego, uśmiechnął się sztucznie jak automat.

– Dlaczego się uśmiechasz?

– Ja?! Ależ nie, wcale się nie uśmiecham.

– To dlaczego masz taki dziwny wyraz twarzy?

– Jakiej twarzy?

– Co jest w tym kufrze? – pytała dalej Livia.

– Nic nie ma, kufer jest pusty.

Nie mógł jej przecież powiedzieć, że leżą w nim zwłoki.

4

Kiedy Laura i Guido wrócili z romantycznej przechadzki brzegiem morza w świetle księżycy, minęła już jedenasta.

– Było wspaniale – wołała zachwycona Laura. – Jak bardzo było mi to potrzebne po takim dniu jak dzisiejszy!

Guida ta przechadzka mniej zachwycała, ponieważ w połowie drogi Bruna ogarnęła wielka senność i ojciec musiał go nieść na rękach.

Komisarza natomiast, kiedy już zwiedził z Livią mieszkanie widmo i mógł się znowu usadowić na leżaku, dręczyło hamletowskie pytanie: powiedzieć czy nie powiedzieć?

Gdyby oznajmił, że piętro niżej leżą czyjeś zwłoki, z całą pewnością wywołałby niesłychane zamieszanie i w nocy byłoby tu piekło albo co najmniej czyściec. Laura nie chciałaby ani chwili dłużej pozostawać pod jednym dachem z nieznanym zmarłym i domagałaby się, żeby spać gdzie indziej. Ale gdzie? W mieszkaniu w Marinelli nie było pokoju gościnnego. Musieliby coś zaimprovizować. Jak? Zastanawiał się, jak by się urządzili: Laura, Livia i Bruno zajęliby podwójne łóżko w sypialni, Guido poszedłby na kanapę, a jemu pozostałby fotel. I to go zniechęciło.

Nie, to by nie miało sensu, lepiej pójść spać do hotelu. Jednak gdzie w środku nocy znaleźć w Vigacie otwarty hotel? Może szukać w Montelusie? A to by znaczyło, że trzeba zasiąść do telefonu, wydzwaniać, gdzie tylko się da, potem pojechać do Montelusy, usłudźnie odwieźć gości, wrócić z powrotem i po tym wszystkim ponieść nieuchronną karę, jaką będzie sprzeczka z Livią, która potrwa do samego rana:

- Nie mogłeś wynająć innej willi?
- Livio droga, skąd mogłem wiedzieć, że w tej leży trup?
- Nie mogłeś wiedzieć, tak? I uważasz się za dobrego policjanta?

Nie, lepiej na razie nikomu nic nie mówić. Dla zmarłego nie ma to znaczenia, kto wie, jak długo już przeleżał w kufrze, więc czy przyjdzie mu leżeć dzień krócej, czy dzień dłużej, i tak nie zrobi mu to różnicy. A z dochodzeniem także nie ma gwałtu.

Pożegnali się z przyjaciółmi i odjechali do Marinelli.

Kiedy Livia poszła pod prysznic, Montalbano z werandy porozumiał się przez komórkę z Faziem. Mówił ściszym głosem:

– Fazio? Tu Montalbano.

– O co chodzi, komisarzu?

– Nie mam czasu ci wyjaśniać. Zadzwoń do mnie do Marinelli za trzy minuty i powiedz, że koniecznie potrzebujecie mnie na komisariacie.

– Dlaczego? Nie rozumiem.

– Nie szkodzi. Nie pytaj. Zrób, jak ci mówię.

– A co potem?

– Potem rozłączysz się i będziesz spał dalej.

Po pięciu minutach Livia wyszła z łazienki, a wszedł komisarz. Kiedy mył zęby, usłyszał telefon. Jak słusznie przewidział, Livia podniosła słuchawkę. Dzięki temu ten przygotowany przez niego teatr wydał się bardziej wiarygodny.

– Salvo, Fazio do ciebie dzwoni!

Wszedł do jadalni jeszcze ze szczoteczką w ustach, z wargami białymi od pasty, i mamrotał coś, żeby udobruchać Livię, która się w niego wpatrywała.

– Cóż to takiego, że nie można spokojnie odpocząć nawet w środku nocy?

Chwycił z udaną złością słuchawkę:

– O co chodzi?

– Musi pan, komisarzu, natychmiast przyjechać do komisariatu.

– Nie radzicie sobie sami? Nie? Trudno, jadę.

Cisnął słuchawką z całej siły, udając poirytowanego.

– Czy ci moi chłopcy nigdy nie dorosną? Ciągłe potrzebują taty. Przepraszam, Livio, ale niestety muszę...

– Tak, tak, zrozumiałam – odpowiedziała Livia głosem zimniejszym od polarnego lodowca. – ja idę do łóżka.

– Nie zaczekasz na mnie?

– Nie.

Ubrał się, wyszedł, wszedł do samochodu i ruszył do Marina di Montereale. Jechał bardzo powoli, ponieważ chciał, aby minęło dużo czasu, bo to dawało mu pewność, że Laura i Guido już zasnęli.

Kiedy w Pizzo dojechał na wysokość drugiego domu, tego niezamieszkanego, ale dobrze utrzymanego, zatrzymał się i wysiadł z auta, zabierając ze sobą latarkę. Resztę drogi przeszedł pieszo, tłumacząc sobie, że warkot samochodu w ciszy nocnej na pewno by przyjaciół obudził.

Przez żaluzje w oknach nie prześwitywało światło, co oznaczało, że Laura i Guido już sobie podróżowali przez krainę snów.

Podszedł na palcach do tego podziemnego, teraz już odsłoniętego okna, które zamieniło się w drzwi, przelazł przez parapet, dostał się do środka i dopiero tam zaświecił latarkę i poszedł do salonu.

Podniósł wieko kufra. Zwłoki były niezbyt dobrze widoczne, ponieważ zostały owinięte wiele razy folią, służącą do izolacji ukrytego mieszkania, a ponadto były wielokrotnie okręcone taśmą samoprzylepną, tą brązową, której używa się do paczek. Zwłoki wyglądały trochę jak mumia, a trochę jak bagaż przygotowany do wysyłki.

Przybliżając latarkę, zdołał się zorientować, że ciało, sądząc przynajmniej z tego, co mógł dostrzec, było dość dobrze zachowane, pewnie folia, dokładnie oklejona, utworzyła wokół zwłok rodzaj próżni. W każdym razie z tego opakowania nie wydzieliał się żaden odór pośmiertnego rozkładu. Starał się zaobserwować coś więcej i zauważył wokół głowy jasne, długie włosy, twarzy jednak nie było widać, bo dwa pasy taśmy całkiem ją zasłaniały.

Była to kobieta, tego w każdym razie mógł być pewien.

Nic więcej nie zdołał już zrobić ani zobaczyć. Zamknął wieko, wydostał się z tego podziemnego mieszkania, wszedł do samochodu i wrócił do

Marinelli.

Livia była już w łóżku, ale jeszcze nie spała. Czytała książkę.

– Kochanie, załatwiłem wszystko, jak tylko mogłem najszybciej. Pójdę pod prysznic, bo wcześniej nie zdążyłem, a potem...

– Dobrze, idź, pospiesz się. Nie trać więcej czasu.

Kiedy Livia nazajutrz rano – a była już dziewiąta – wyszła z łazienki, zastała Montalbana siedzącego na werandzie.

– Co się dzieje? Jeszcze tu jesteś? Mówiłeś, że z samego rana pojedziesz do komisariatu w sprawie tej wczorajszej historii!

– Rozmyśliłem się, wezmę sobie pół dnia wolnego. Pojadę z tobą do Pizzo i posiedzę razem z wami.

– Tak się cieszę!

Laura, Guido i Bruno byli już gotowi do zejścia na plażę. Laura przygotowała kanapki, bo postanowili przesiedzieć nad morzem cały dzień.

„Kiedy i jak powiedzieć im o tej pięknej niespodziance?” – Komisarz z niepokojem zadawał sobie raz po raz to pytanie. Dopomógł mu niechcący sam Guido.

– Wezwałeś tych ludzi z agencji, żeby im powiedzieć o podziemnym mieszkaniu?

– Jeszcze nie.

– Ale dlaczego?

– Boję się, że właściciel podniesie wam stawkę, skoro macie do dyspozycji dwa mieszkania.

Chciał wszystko obrócić w żart, ale zaraz wtrąciła się Livia.

– Nie wygłupiaj się, na co czekasz? Chcę zobaczyć, jaką minę zrobi ten osobnik, który wynajmował ci willę.

„A ja chcę go widzieć tam, na dole, chwilę później” – pomyślał Montalbano. Ale odpowiedział:

– Jest jednak jeszcze pewien poważny problem.

– Jaki?

– Możesz gdzieś odesłać Bruna? – powiedział komisarz szeptem do Laury. Laura popatrzyła na niego zaniepokojona, ale zrobiła, o co prosił.

– Bruno, mamusia cię prosi, pobiegnij do kuchni i przynieś z lodówki butelkę wody mineralnej.

Wszystkich ta dziwna prośba komisarza bardzo zaniepokoiła.

– O co chodzi? – spytał Guido.

– No więc... znalazłem tutaj zwłoki. Zwłoki kobiety.

– Gdzie? – spytał Guido.

– W tym dolnym mieszkaniu. W salonie. Leżą w kufrze.

– Oczywiście żartujesz? – miała nadzieję Laura.

– Nie, Salvo nie żartuje – wtrąciła się Livia. – Dobrze go znam. Odkryłeś to wczoraj wieczór, kiedy zeszliśmy na dół?

Bruno wrócił z butelką w ręku.

– Idź po jeszcze jedną – powiedzieli chórem.

Chłopiec postawił butelkę i poszedł z powrotem do kuchni.

– I pozwoliłeś – rzuciła Livia, która zaczęła sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji – żeby oni spali tu w jednym domu ze zmarłą?

– Daj spokój, Livio, przecież ona leży na innym piętrze! I nie można się od niej niczym zarazić!

Nagle Laura znowu wydała z siebie przenikliwy głos syreny strażackiej, jakby już była w tym nieźle wprawiona.

Ruggero, który wylegiwał się na słońcu wyciągnięty na murku, zerwał się i szybko uciekł. Wrócił Bruno, postawił butelkę na ziemi i pobiegł po następną, chociaż nikt go już o nią nie prosił.

– Zrobiłeś nam świństwo! – zawołał ze złością Guido.

I poszedł za żoną, która z płaczem uciekła do sypialni.

– Przecież zrobiłem to dla ich dobra! – próbował wytłumaczyć się Montalbano przed Livią.

Ona jednak popatrzyła na niego z pogardą.

– W nocy, kiedy Fazio do ciebie zadzwonił, to było ukartowane, żebyś mógł wyjść z domu, prawda?

– No tak.

– I wróciłeś tutaj, żeby lepiej zobaczyć te zwłoki?

– Tak.

– A potem kochałeś się ze mną! Ty bydlaku!

– Przecież najpierw wziąłem prysznic, żeby nic...

– Jesteś wstrętny!

Zerwała się, zostawiła go i poszła do przyjaciół. Wróciła po pięciu minutach i jej głos brzmiał lodowato.

– Pakują się.

– Wyjeżdżają?! A bilety?

– Guido postanowił, że nie będą czekać ani chwili. Wracają samochodem. Zawieź mnie do Marinelli, spakuję się i pojedę razem z nimi. Tutaj nie zostanę.

– Livio, poczekaj, zastanów się!

– Nie chcę słyszeć ani słowa więcej!

Nie było wyjścia. Przez całą drogę do Marinelli Livia nie wymówiła ani jednego słowa, a Montalbano nie odważył się do niej odezwać. Kiedy przyjechali, Livia szybko się spakowała i obrażona poszła na leżak na werandzie.

– Zrobię ci coś do jedzenia, chcesz?

– Tobie w głowie tylko dwie rzeczy.

Nie wymieniła tych dwu rzeczy, ale Montalbano i tak wiedział, co ma na myśli.

Okolo pierwszej Guido przyjechał do Marinelli po Livię. W samochodzie był także Ruggero, z którym Bruno najwyraźniej nie chciał się rozstać. Guido oddał klucze od willi komisarzowi, ale nie podał mu ręki. Laura odwróciła głowę w drugą stronę. Bruno kichnął, Livia nawet na niego nie spojrzała.

Montalbano, ten niegodziwiec, mógł tylko ze smutkiem patrzeć, jak

odjeżdżają.

Pierwsze, co zrobił, to zadzwonił do Adeliny.

– Adeli, Livia musiała wracać do Genui. Może pani przyjść jutro do mnie?

– Pewnie, że mogę. Jak pan chce, przyjdę za dwie godziny.

– Nie, nie spieszy się.

– To nic, i tak przyjdę. Wyobrażam sobie, jaki chlew zostawiła po sobie panienka Livia.

W kuchni było trochę wyschniętego chleba. Zjadł jedną kromkę z pastą pomidorową, która stała w lodówce. Potem położył się na łóżku i zasnął.

Zbudził się o czwartej. Zrozumiał, że Adelina już przyszła, bo z kuchni dochodził szcęk talerzy i naczyń.

– Adeli, zrobisz mi kawy?

– Już robię.

Przyniosła mu kawę i widać było, że jest szczerze oburzona.

– Matko święta! Talerze były tłuste, a w łazience znalazłam nawet brudne majtki!

Tylko że chyba nie było na świecie drugiej kobiety, która by dbała z taką maniacką pedanterią o czystość jak Livia. Ale według Adeliny Livia uwielbiałaby mieszkać w chlewie.

– Przecież mówiłem pani, że musiała wyjechać niespodziewanie.

– Już się jej znudziło? Odczepiła się?

– Nie, jeszcze nie. Nie rozstaliśmy się.

Adelina wyglądała na rozczarowaną i wróciła do kuchni.

Montalbano wstał i podszedł do telefonu.

– Agencja „Aurora”? Tu komisarz Montalbano. Chciałbym rozmawiać z panem Callarą.

– Zaraz połączę – odpowiedział mu kobiecy głos.

– Pan komisarz? Dzień dobry, czym mogę panu służyć?

– Zastanę pana w agencji?

- Tak, siedzę tu aż do zamknięcia. A o co chodzi?
- Wstąpię za pół godzinki i oddam panu klucze od willi.
- Jak to?! Mieli przecież zatrzymać się do...
- Tak, ale musieli wyjechać już dziś rano, ktoś im zmarł, nie mogli czekać dłużej.
- Panie komisarzu, z pewnością czytał pan umowę.
- Przerzuciłem ją. A o co chodzi?
- W umowie wyraźnie piszemy, że w przypadku wcześniejszego wyjazdu klient nie może się domagać zwrotu pieniędzy.
- Ale czy ktoś coś takiego sugeruje, panie Callara?
- Aha, rozumiem. W takim razie nie warto, żeby się pan fatygował i przyjeżdżał tutaj, pošlę kogoś po klucze do pana.
- Nie, muszę porozmawiać z panem osobiście, a potem chcę coś panu pokazać.
- Może pan tu przyjechać, kiedy pan chce.

- Catarella? Tu Montalbano.
- Ja pana rozpoznałem, panie komisarzu, bo to był głos pana komisarza, a nie kogoś innego.
- Jest coś nowego?
- Nie, panie komisarzu, nic nowego nie ma. Oprócz tego jednego, że Filippo Ragusano, co pan komisarz go zna, to jest ten, co ma sklep z butami koło kościoła, strzelał do swojego szwagra Manzelli Gasparina.
- Zabił go?
- Nie, panie komisarzu, wycelował blisko niego i po nim przejechał.
- A dlaczego do niego strzelał?
- Dlatego, że powiedział na Manzellę Gasparina i do niego, że go za bardzo zirytował, bo był wtedy wielki skwar i mucha mu chodziła po głowie i chodziła, a to mu dokuczało i wtedy do niego strzelił.
- Jest Fazio?

– Nie ma Fazia, panie komisarzu. Poszedł koło żelaznego mostu, bo jakiś rozbił tam głowę żony.

– No dobrze. Chciałem ci powiedzieć...

– Ale tutaj była jedna sprawa, która się zdarzyła.

– Tak mówisz? A ja zrozumiałem, że nic się nie działo. Więc co się wydarzyło?

– No, to tak się zdarzyło, że wiceinspektor Virduzzo Alberto, jak udał się do miejsca wyłoczonego, to tam się poślizgnął na dwie nogi, z których jedną sobie złamał. Gallo już go zawoził do szpitala.

– Posłuchaj, chciałem ci powiedzieć, że przyjdę późno.

– To pan tutaj rządzi, panie komisarzu.

Pan Callara miał u siebie klienta. Wobec tego Montalbano wyszedł na dwór, by zapalić papierosa. Był taki skwar, że asfalt się roztopiał i trochę lepił do butów. Kiedy klient poszedł, Callara wyszedł z biura, żeby poprosić komisarza do siebie.

– Proszę wejść do mnie, komisarzu, w moim biurze jest klimatyzacja.

Montalbano nie znosił klimatyzacji. No, trudno.

– Zanim pana stąd zabiorę i coś panu pokażę...

– A dokąd chce mnie pan zabrać?

– Do willi, którą pan wynajął moim przyjaciółom.

– Dlaczego? Coś było nie w porządku, coś się popsuło?

– Nie, nie, wszystko tam jest jak trzeba. Jednak lepiej, żeby pan tam ze mną pojechał.

– Jak pan sobie życzy...

– O ile dobrze zapamiętałem, kiedy pokazywał mi pan willę, wspomniał pan, że zbudował ją człowiek, który był emigrantem w Niemczech, Angelo Speciale, i który ożenił się tam z wdową, Niemką. Jej syn, chyba Ralf, przyjechał tu z ojczymem, ale w drodze powrotnej w niezrozumiały sposób zaginął. Tak było?

Callara popatrzył na niego zdumiony.

– Ależ świetną ma pan pamięć! Tak było.

– A pan oczywiście zna dokładnie dane, adres i telefon pani Speciale?

– Oczywiście. Zaraz poszukam. To pani Gudrun.

Montalbano coś sobie zapisał na skrawku papieru, co zaciekało Callarę.

– W jakim jednak celu...

– Zrozumie pan później. Czy dobrze pamiętam, że wymienił pan, zdaje się, nazwisko technika budowlanego, który zaprojektował willę i nadzorował jej budowę?

– Tak. Michele Spitaleri. Mam panu dać jego telefon?

– Poproszę.

To także sobie zapisał.

– Przepraszam, panie komisarzu, ale może mi pan powiedzieć dlaczego...

– Wszystko powiem panu po drodze. Tu ma pan klucze, proszę je wziąć ze sobą.

– To dłuższa sprawa?

– Tego nie wiem.

Callara patrzył na komisarza z niepokojem. Ale Montalbano przybrał obojętny wyraz twarzy.

– Może lepiej dam o tym znać sekretarce.

Pojechali samochodem komisarza, który po drodze cierpliwie opowiedział panu Callarze, jak zaginął mały Bruno, jak go bez skutku szukano i jak go w końcu znaleziono i wydostano z pomocą strażaków.

Pan Callara martwił się tylko o jedno:

– Nie narobili szkód?

– Kto?

– Strażacy. Nie uszkodzili czegoś w willi?

– Nie, w środku nie naruszyli niczego.

– Na szczęście. Bo kiedyś w jednym domu, który wynajmowaliśmy, zapaliła się kuchnia, a strażacy zniszczyli znacznie więcej niż sam ogień.

Ale ani słowa o mieszkaniu ukrytym pod ziemią.

– Zamierza pan zawiadomić panią Gudrun?

– Oczywiście, to zrozumiałe. Ona jednak na pewno nie ma o niczym pojęcia, tę sprawę wymyślił Angelo Speciale, a teraz wyszło na to, że ja sam muszę się tym wszystkim zająć.

– Złoży pan wniosek o zatwierdzenie stanu faktycznego?

– Czy ja wiem, może...

– Proszę posłuchać, panie Callara, jestem funkcjonariuszem państwowym. Nie mogę udawać, że nic o tym nie wiem.

– A jeżeli – tylko hipotetycznie – zawiadomię Spitaleriego i każę mu przywrócić stan pierwotny...

– Wtedy ja złożę doniesienie na pana, na panią Gudrun i na technika Spitaleriego, że działacie samowolnie.

– Jeżeli sprawa tak wygląda...

– Taka sama! Taka sama! – wykrzykiwał z podziwem pan Callara, kiedy wszedł przez okno do łazienki i zobaczył, że jest taka, jak tamta na parterze i gotowa do użytku. Montalbano z zaświeconą latarką przeprowadził go przez inne pomieszczenia.

– Takie same! Takie same!

Na koniec weszli do salonu.

– Taki sam! Taki sam!

– Proszę popatrzeć, nawet ramy okienne są już przygotowane. Wystarczy je rozpakować.

– Takie same! Takie same!

Komisarz, jakby przypadkiem skierował na chwilę światło latarki na kufer pod ścianą.

– A co to takiego? – spytał pan Callara.

- Chyba kufer. Na to wygląda.
- Co w nim jest? Patrzył pan?
- Nie, a po co? Miałem otworzyć?
- Proszę mi dać latarkę.
- Proszę bardzo.

I wszystko się odbyło, jak komisarz przewidział.

Pan Callara podniósł wieko kufra, skierował światło latarki do środka, nie powiedział „Takie samo! Takie samo!”, tylko odskoczył do tyłu.

- O Boże! O Boże!

Światło latarki trzęsło się razem z jego ręką.

- Co się stało?
- Przecież... no, przecież... tam w środku... leży... ktoś zmarły!
- Naprawdę?

5

W ten sposób, kiedy obecność zwłok została oficjalnie stwierdzona, komisarz wreszcie mógł się tą sprawą zająć. Prawdę mówiąc, naprzód musiał się zająć panem Callarą, który w panice rzucił się do okna i wydostał na zewnątrz. Wymiotował tak długo, że chyba wyzbył się nawet tego, co zjadł tydzień temu.

Montalbano otworzył mieszkanie na parterze, położył pana Callarę dręczonego zawrotami głowy na kanapie i przyniósł mu szklanekę wody.

– Mogę już wrócić do domu?

– Chyba pan żartuje! Jakże mogę w tej sytuacji pana odwozić?

– Zadzwonię, żeby syn po mnie przyjechał.

– Mowy nie ma! Musi pan poczekać na prokuratora! Przecież to pan odkrył zwłoki, prawda? Chce pan jeszcze wody?

– Dziękuję, jest mi teraz zimno.

Zimno w taki upał?

– Przyniosę panu pled, mam w samochodzie.

Odegrał do końca rolę dobrego Samarytanina i dopiero wtedy zadzwonił do komisariatu.

– Catarella? Jest Fazio?

– Już zaraz właśnie będzie, panie komisarzu.

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że on zatelefonował tutaj i tak powiedział, że dokładnie za pięć minut przyjedzie. Czyli to znaczy, że przyjedzie. A ja nie, bo ja już przyjechałem.

– Posłuchaj uważnie: ponieważ odkryto zwłoki, powiedz mu, żeby natychmiast do mnie zadzwonił na ten numer, który ci podaję.

I podał mu numer telefonu w willi.

– Hi, hi!

– Ty się śmiejesz czy płaczesz?

– Ja się śmieję, panie komisarzu.

– A z czego się śmiejesz?

– Bo to ja zawsze powiadamiałem pana komisarza, że jakiegoś trupa gdzieś znaleźli, a dzisiaj to pan komisarz mnie powiadamia, że jakiegoś trupa gdzieś znaleźli.

Już pięć minut później odezwał się telefon.

– Co się stało, panie komisarzu? Odkrył pan zwłoki?

– Odkrył je właściciel tej agencji, która wynajęła willę moim przyjaciołom. Oni na szczęście wyjechali już z rana i nie dowiedzieli się o tej niespodziance.

– Ten ktoś zmarł niedawno?

– Nie sędę. A nawet całkiem to wykluczam. Na razie musiałem zająć się nieszczęsnym panem Callarą, który odkrył zwłoki, więc tylko zdążyłem na nie rzucić okiem, nic więcej.

– Ale chodzi o tę samą willę, do której posyłałiśmy strażaków?

– Tak. Marina di Montereale, osiedle Pizzo, ostatni dom na końcu drogi gruntowej. Weź kogoś ze sobą i przyjeżdżaj. Zawiadom prokuratora, sądówkę i doktora Pasquano, ja wolę się tym nie zajmować.

– Zaraz tam będę.

Fazio przyjechał z Galluzzem, włożył rękawiczki i spytał Montalbana:

– Mogę zejść i zobaczyć?

Komisarz leżał wygodnie na leżaku i wpatrywał się w zachodzące słońce.

– Oczywiście. Tylko nie zostaw odcisków palców.

– A pan ze mną nie zejdzie?

– Nie mam tam nic do roboty.

Pół godziny później zaczęło się jednak jak zwykle okropne zamieszanie.

Pierwsi przyjechali eksperci, a ponieważ w podziemnym salonie było ciemno jak w piwnicy, stracili pół godziny na prowizoryczne podłączenie światła.

Potem przyjechał karetką doktor Pasquano ze swoimi asystentami. Od razu zorientował się, że to jeszcze nie jego kolej, więc rozłożył sobie leżak obok komisarza i zapadł w drzemkę.

Po godzinie, kiedy już słońce niemal całkiem zaszło, podszedł jeden z asystentów i spytał:

– Panie doktorze, ciało jest w całości opakowane, co mamy robić?

– Rozpakować – odpowiedział lakonicznie Pasquano.

– No tak, ale kto ma to zrobić, my czy pan?

– Lepiej sam się tym zajmę – westchnął zrezygnowany Pasquano.

– Fazio! – zawołał Montalbano.

– Tak, komisarzu, słucham?

– Przyjechał już prokurator Tommaseo?

– Jeszcze nie, panie komisarzu, dzwonił, że nie może tu być wcześniej niż za godzinę.

– To wiesz, co ci powiem?

– Nie wiem.

– Że pójdę coś zjeść, a wrócę później. Coś mi się zdaje, że to potrwa jeszcze bardzo długo.

Przeszli do salonu, gdzie pan Callara spoczywał nieruchomo na kanapie. Komisarzowi zrobiło się go żal.

– Zabiorę pana stąd, wrócimy do Vigaty. Sam przedstawię prokuratorowi Tommaseo, jak to było.

– Dziękuję! Bardzo panu dziękuję! – powiedział Callara, oddając komisarzowi pled.

Wysadził pana Callarę pod jego zamkniętą już agencją.

– Przypominam, że nie może pan nikomu mówić o tej historii ze zwłokami.

– Drogi panie komisarzu, czuję, że mam gorączkę, ze czterdzieści stopni. Ciężko mi nawet oddychać, gdzież w takim stanie mógłbym coś komuś mówić!

Idąc do Enza, Montalbano straciłby pewnie za dużo czasu, więc pojechał do siebie, do Marinelli.

W lodówce znalazł solidną porcję caponaty i duży kawałek sera ragusańskiego. Adelina zadbała też, żeby miał świeży chleb. Był tak głodny, że na ten widok zaświeciły mu się oczy. Jadł spokojnie i długo, może z godzinę, popijając obficie winem. Potem ochłodził sobie twarz, wsiadł do samochodu i wrócił do Pizzo.

Ledwo przyjechał, zaraz podbiegł do niego prokurator Tommaseo, który stał na placyku przed willą, żeby się trochę rozluźnić.

– Chyba to było zabójstwo na tle seksualnym.

Błyszczały mu oczy, wpadł w nastrój niemal uroczysty. Taki już był prokurator Tommaseo: każde przestępstwo związane z namiętnością, morderstwo za zdradę albo z pożądania wyraźnie go ekscytowało. Montalbano nabrał przekonania, że prokurator jest autentycznym maniakiem seksualnym, mimo że tym swoim obsesjom dawał upust tylko w rozpalonej wyobraźni.

Kiedy przesłuchiwał piękną kobietę, ślinił się jak niemowlę, ale nikomu nie było wiadomo o jakichś jego związkach lub kontaktach z kobietami.

– Doktor Pasquano jest tam jeszcze?

– Jest.

W podziemnym mieszkaniu brakowało powietrza. Za dużo ludzi wchodziło tu i wychodziło, za wiele ciepła biło od wielkich reflektorów. I tak ciężkie powietrze, jakie było tu przedtem, stało się nie do zniesienia, gdy doszedł do tego jeszcze ostry zaduch męskiego potu, no i wyczuwalny już

odór trupiego rozkładu.

Zwłoki zostały wydobyte z kufra, odwinęte z folii, ale niecałkowicie, bo jej resztki były jeszcze przyklejone do skóry, w którą pewnie się wtopiły. Ciało ułożono, całkiem nagie, na noszach i doktor Pasquano, sapiąc, kończył je badać. Montalbano zorientował się, że byłoby niestosowne zadawanie mu w tej chwili pytań.

– Wezwijcie mi tutaj prokuratora – nakazał nagle poirytowany doktor.

Do salonu wszedł więc zaraz Tommaseo.

– Panie prokuratorze, nic z tego. Tutaj sobie nie poradzę, tu jest za gorąco, ciało rozkłada się błyskawicznie. Możemy je wynieść na zewnątrz?

Tommaseo popatrzył niepewnie na szefa sądówki.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedział Arquà.

Vanni Arquà i Montalbano szczerze się nie znosili. Nie kłaniali się sobie, a jeżeli już wypadło im zamienić kilka słów, decydowali się na to tylko w skrajnych przypadkach.

– Wobec tego wynieście stąd zwłoki, a okno już opieczętujcie – zarządził Tommaseo.

Pasquano spojrział na Montalbana. A komisarz odwrócił się i nie żegnając się z nikim, wszedł do górnego mieszkania, wyjął z lodówki butelkę piwa, jeszcze z zapasów Guida, i wyszedł na taras wyciągnąć się na tym samym leżaku, co poprzednio. Doszedł go odgłos odjeżdżających samochodów.

Po dobrej chwili na tarasie pojawił się także Pasquano i usiadł na drugim leżaku.

– Widzę, że czuje się pan w tym domu jak u siebie. Mógłbym dostać butelkę piwa?

Kiedy stał pochylony przy lodówce, zobaczył, że szukają go Fazio i Galluzzo.

– Panie komisarzu, możemy już odjechać?

– Możecie. Zabierz tę karteczkę. Jest na niej numer telefonu technika budowlanego, niejakiego Michele Spitaleriego. Poszukaj go, nie odkładaj tego, trzeba się z nim koniecznie skontaktować i powiedzieć mu, że jutro

rano, punktualnie o dziewiątej czekam na niego w komisariacie. Dobranoc.

Przyniósł butelkę zimnego piwa doktorowi Pasquano i opowiedział mu, skąd i dlaczego zna tę willę. A potem zagadnął:

– Panie doktorze, wieczór jest taki piękny, że nie powinienem pana męczyć. Proszę mi jednak szczerze powiedzieć, czy zniesie pan kilka pytań?

– No ze cztery, najwyżej pięć.

– Udało się panu ustalić wiek?

– Udało się. Miała piętnaście albo szesnaście lat. To pierwsze pytanie.

– Tommaseo stwierdził, że to przypadek zabójstwa na tle seksualnym.

– Tommaseo to zboczony kutas. To już drugie pytanie.

– Jak to – drugie? Tego nie może pan uważać za pytanie! Proszę nie oszukiwać! To się liczyło w ramach tego pierwszego!

– No dobrze.

– Teraz drugie: została zgwałcona?

– Nie potrafię na to odpowiedzieć. Może nawet po sekcji nie będę mógł. Zakładam jednak, że tak.

– Trzecie: jak została zabita?

– Ma poderżnięte gardło.

– Czwarte: jak dawno temu?

– Pięć lub sześć lat. Dobrze się zakonserwowała, bo dobrze ją zapakowano.

– Piąte: zamordowano ją tutaj, na miejscu, czy gdzie indziej?

– O to musi pan zapytać tych z sądówki. Tak czy inaczej Arquà znalazł wiele śladów krwi na posadzce.

– Szóste...

– Nie, już dość! Czas minął, piwo się skończyło. Dobranoc.

Wstał i wyszedł. Montalbano także wstał, ale tylko po to, by pójść do kuchni po kolejne piwo.

Nie miał ochoty rozstawać się z tym tarasem w taką noc jak ta. Poczuł nagle, że brak mu Livii. Jeszcze do wczoraj siedzieli tutaj razem, spędzili

razem noc... Pewnie dlatego wydało mu się, że nagle zrobiło się chłodno.

Fazio był już w komisariacie o ósmej rano, a Montalbano przyjechał pół godziny później.

– Panie komisarzu, niech pan wybaczy, ale ja w to nie wierzę.

– W co nie wierzysz?

– Że z tym odkryciem zwłok było tak, jak pan mówi.

– A jak miało być? Pan Callara przypadkiem zobaczył kufer, podniósł wieko...

– Panie komisarzu, chyba to pańska sprawka, że pan Callara przypadkiem odkrył zwłoki.

– Dlaczego miałbym coś takiego wykombinować?

– Dlatego, że pan już te zwłoki zobaczył dzień wcześniej, kiedy zszedł pan tam i wy dostał dzieciaka. Pan komisarz jest jak pies myśliwski! Więc czy to możliwe, że pan wtedy nie otworzył kufra! Ale nie powiedział pan o tym od razu, żeby rodzina pańskiego znajomego mogła wyjechać w świętym spokoju.

A więc Fazio wszystko zrozumiał. Wprawdzie nie odbyło się to dokładnie, jak się domyślał, ale z grubsza biorąc, jednak trafił.

– Posłuchaj, Fazio, myśl sobie jak chcesz. Czy znalazłeś Spitaleriego?

– Dzwoniłem do niego, żona dała mi numer jego komórki, ale on początkowo nie odpowiadał, bo był zajęty i odezwał się dopiero po godzinie. O dziewiątej będzie tutaj.

– Wyszukałeś jego dane?

– Oczywiście, panie komisarzu.

Wyjął z kieszeni kartkę i zaczął czytać.

– Spitaleri Michele, syn Bartolomea i Finocchiaro Marii, urodzony w Vigacie 6 listopada 1960 roku, zamieszkały tamże przy ulicy Lincolna 44, żonaty z...

– Wystarczy – powiedział Montalbano. – Dałem się wyżyć twojej pasji

ewidencyjnej, bo dzisiaj jestem w dobrym humorze, ale już wystarczy.

– Dzięki za łaskawość – odgryzł się Fazio.

– Powiedz mi lepiej, kim jest ten Spitaleri.

– Spitaleri, ponieważ jego siostra wyszła za Alessandra – to nazwisko, nie imię, Pasquale Alessandro od ośmiu lat jest burmistrzem Vigaty – został w ten sposób szwagrem burmistrza.

– To elementarne, Watsonie!

– Z tej właśnie racji, mając trzy firmy i będąc technikiem budowlanym, wygrywa dziewięćdziesiąt procent przetargów na budowy.

– Tak sobie po prostu wszystko wygrywa?

– Pewnie, że wygrywa, ponieważ płaci łapówki zarówno rodzinie Cuffaro, jak i rodzinie Sinagra. Oczywiście, płaci też swojemu szwagrowi.

W ten sposób, skoro Cuffaro i Sinagra to dwie najsilniejsze rodziny mafijne, technik budowlany czuje się bezpieczny.

– A koszt końcowy każdego przetargu i tak jest zawsze dwa razy wyższy od kosztu ustalonego na początku.

– Drogi panie komisarzu, ten biedaczek Spitaleri nie może postępować inaczej, bo by tracił, a nie zyskiwał.

– Co jeszcze?

Fazio zrobił tajemniczą minę.

– Reszta to plotki.

– Dobrze, ale jakie?

– Przepada za nieletnimi.

– Jest pedofilem?

– Nie wiem, panie komisarzu, jak to trzeba nazywać, ale faktem jest, że podobają mu się dziewczynki czternasto- czy piętnastoletnie.

– A szesnastoletnie już nie?

– Chyba już nie. Są dla niego podstarzałe.

– To jeden z tych, co jeżdżą za granicę na erotyczne wycieczki?

– Jeździć jeździ. Ale i u nas znajduje kandydatki do takich zabaw.

Pieniądzy mu nie brakuje. Mówią, że kiedyś rodzice takiej wykorzystanej przez niego małoletniej chcieli złożyć doniesienie, ale Spitaleri wcisnął im do ręki miliony i się wykręcił. Innym razem za pozbawienie dziewictwa zapłacił nowym mieszkaniem.

– I znajduje rodziców gotowych sprzedać mu córkę?

– Panie komisarzu, przecież teraz mamy wolny rynek. A czyż wolny rynek nie jest przejawem demokracji, wolności i postępu?

Montalbano popatrzył na Fazio rozgoryczony.

– Dlaczego pan mnie tak mierzy wzrokiem?

– Bo to, co ty mi mówisz, ja chciałem powiedzieć tobie...

Zadzwoił telefon.

– Panie komisarzu, tutaj przyszedł i jest pan Spitaleri i on mówi, że miał...

– Tak, wprowadź go.

– Powiedz, Fazio, wyjaśniłeś mu, dlaczego został wezwany?

– To żart? Wiadomo, że nic mu nie mówiłem.

Spitaleri, opalony na brąz, w zielonej marynarce, dopasowanej jak jaszczurcza skóra, włosy do ramion, rolex na ręce, złota bransoletka, złoty krzyżyk na owłosionej piersi, w niedopiętej koszuli i żółtych mokasynach. Był najwyraźniej poirytowany wezwaniem na komisariat. Wystarczyło zobaczyć, jak się sadowił na skraju krzesła. Zaczął mówić pierwszy.

– Przyjechałem, jak pan sobie życzył, ale proszę mi wierzyć, w głowie mi się nie mieści...

– Ale się panu zmieści.

Dlaczego od razu wzbudził w komisarzu tak gwałtowną antypatię? Montalbano zdecydował się uciec do swego ulubionego teatru gry na zwłokę.

– Fazio, skończyłeś już z Franceschinim?

Nie było żadnego Franceschiniego, ale chłopak wiedział, o co chodzi, miał już w tym wprawę.

– Jeszcze nie, panie komisarzu.

– Pomogę ci, załatwimy wszystko w pięć minut.

A zawracając się do Spitaleriego:

- Chwilkę cierpliwości, zaraz do pana wrócę.
- Ale ja, panie komisarzu, jestem bardzo zajęty i nie mogę...
- Rozumiem pana.

Wyszli do pokoju Fazia.

– Powiedz Catarelli, żeby mi zaparzył kawy w mojej maszynie, ty też się napijesz?

- Dzięki, komisarzu.

Montalbano spokojnie wypił kawę, a potem wypalił papierosa na parkingu. Spitaleri przyjechał pod komisariat nowiutkim ferrari. A to tylko wzmogło antypatię komisarza do technika budowlanego. Ferrari w takim miasteczku jak Vigata, to jak lew w łazience zwykłego mieszkania.

Kiedy wrócili obaj z Faziem do gabinetu komisarza, zastali Spitaleriego z komórką przy uchu, w trakcie jakiejś rozmowy.

– ...do Filiberta. Zadzwoń do ciebie później – rzucił szybko do słuchawki, widząc wchodzących policjantów.

I schował telefon do kieszeni.

– Widzę, że pan stąd dzwonił – powiedział surowo Montalbano, pozwalając sobie na improwizację godną weneckiej commedii dell'arte.

– A o co chodzi? Nie wolno? – spytał nastawiony bojowo technik budowlany.

- Powinien był pan mnie uprzedzić.

Spitaleri poczerwieniał ze złości.

– Ja nie muszę nikogo o niczym uprzedzać! Dopóki mi się czegoś nie dowiedzie, jestem wolnym obywatelem! Jeśli ma mi pan coś...

- Niech się pan uspokoi, panie Spitaleri. Może się pan grubo mylić.
- W niczym się nie mylę. Traktuje mnie pan, jak bym był już zatrzymany!
- Ależ kto mówi o zatrzymaniu!
- Żądam wezwania mojego adwokata.

– Panie Spitaleri, proszę wysłuchać, co mam panu do powiedzenia,

a potem zdecyduje pan, czy wzywać adwokata, czy nie.

– Słucham.

– Otóż to. Gdyby mnie pan uprzedził, że chce do kogoś zadzwonić, musiałbym pana oficjalnie poinformować, że każda rozmowa telefoniczna we włoskim komisariacie odbyta lub odebrana, nawet przez komórkę, jest nagrywana i odsłuchiwana.

– Co takiego?!

– No, tak już jest. Tak musi być. To najnowsze zarządzenie ministerstwa. Rozumie pan, w ramach walki z terroryzmem...

Spitaleri zrobił się blady jak trup.

– Żądam udostępnienia nagrania!

– Pan ciągle czegoś żąda! Adwokata, nagrania...

Fazio wybuchnął śmiechem.

– Coś takiego! Chce nagrania!

– Tak, chcę nagrania. I nie widzę powodu do śmiechu.

– Podam panu ten powód – wtrącił się Montalbano. – My tutaj nie mamy żadnych taśm czy nagrań. Podśluch prowadzi bezpośrednio centrala antymafii i antyterrorystów w Rzymie drogą satelitarną. I tam sobie wszystko nagrywają. Żeby uniknąć ingerencji, skasowania, zafałszowań. Rozumie pan?

Spitaleri pocił się obficie, wyglądał jak fontanna.

– I co się dzieje potem?

– Jeżeli odsłuchując nagranie, orientują się, że może być w nim coś podejrzanego, zawiadamiają nas o tym z Rzymu i wtedy my tutaj zaczynamy śledztwo. Ale pan, proszę wybaczyć, nie ma chyba powodów, żeby się tym niepokoić. Nie był pan nigdy sądzony, jeśli dobrze wiem, nie jest pan terrorystą, nie należy pan też do mafii...

– Skądże, jednak...

– Jednak co?

– Widzi pan... trzy tygodnie temu na jednej z moich budów w Montelusie zdarzył się wypadek...

Montalbano spojrział na Fazio, a ten zrobił taką minę, jakby pierwszy raz o tym słyszał.

- Wypadek? Jaki wypadek?
- Jeden z robotników... Arab...
- Zatrudniony nielegalnie?
- Chyba tak... ale zapewniono mnie, że...
- ...że legalnie.
- Tak. Ponieważ trwało jeszcze...
- ...wyrabianie mu dokumentów.
- Wie pan w takim razie o wszystkim!
- Zgadł pan – powiedział Montalbano.

6

I z przebiegłym uśmiechem potwierdził:

– Ta sprawa jest nam doskonale znana.

– Nie tylko nam! – dorzucił Fazio, uśmiechając się znacząco.

Był to blef wielki jak kamienica czynszowa. Obaj o tej sprawie słyszeli przecież po raz pierwszy.

– Spadł z rusztowania, z wysokości... – zaryzykował komisarz.

– ...trzeciego piętra, tak, proszę pana – uściślił Spitaleri, tonąc we własnym pocie. – To się wydarzyło, jak panu wiadomo, w sobotę. Pod koniec pracy, nikt tego nie widział, wszyscy myśleli, że robotnik poszedł już do domu. Zorientowaliśmy się dopiero w poniedziałek, kiedy weszliśmy na plac budowy.

– O tym także wiem, zaraz dał nam o tym znać...

– ...komisarz Lozupone z Montelusy, który bardzo dokładnie prowadził śledztwo – dokończył Spitaleri.

– Tak, Lozupone, dobrze pan pamięta. Nawiasem mówiąc, jak nazywał się ten Arab, bo w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć?

– Ja także nie pamiętam.

„Może – pomyślał Montalbano – trzeba by mu postawić okazały pomnik, jak to Vittoriano w Rzymie, poświęcone Nieznanemu Żołnierzowi. Przypominałby o nieznanym robotnikach, którzy padli na polu pracy za kawałek chleba”.

– No tak, ale widzi pan, ta sprawa zabezpieczeń na rusztowaniach...

Drugi śmiały blef.

– Bariereki ochronne były, panie komisarzu, na pewno były! Zaręczam panu! Pański kolega widział je na własne oczy! Rzecz jednak w tym, że ten

Arab był kompletnie pijany, przelazł przez barierkę i spadł.

– Zna pan wyniki sekcji?

– Kto? Ja? Nie, nie znam.

– We krwi nie było śladów alkoholu.

Jeszcze jeden bluff. Montalbano strzelał na oślep.

– Ślady były za to na jego ubraniu – dodał Fazio z tym swoim niepokojącym uśmiechem.

On także strzelał na oślep, albo uda się trafić, albo nie.

Spitaleri nie odezwał się, nawet nie udawał, że go to zaskoczyło.

– Z kim pan przed chwilą rozmawiał? – spytał komisarz.

– Z kierownikiem robót.

– I co mu pan powiedział? Zwracam panu uwagę, że nie musi mi pan na to pytanie odpowiadać. Jednak w pańskim interesie...

– Najpierw powiedziałem mu, że zostałem przez pana wezwany, z pewnością w sprawie tego Araba, a potem...

– Tyle mi wystarczy, panie Spitaleri, proszę nic więcej nie mówić – oświadczył wielkodusznym tonem komisarz. – Mam obowiązek chronić pańską prywatność, wie pan o tym? I czynię to nie po to, żeby być w zgodzie z prawem, ale z głębokiego szacunku do ludzi. Jeżeli z Rzymu dadzą mi o czymś znać, wezwę pana raz jeszcze do komisariatu i przesłucham.

Żeby rozładować napięcie, Fazio udał, że bije brawo na znak podziwu dla słów Montalbana.

– Czy teraz mogę już iść?

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Proszę pana, nie wezwałem pana tutaj w sprawie śmierci robotnika, ale z całkiem innego powodu. Otóż czy to panu powierzono zaprojektowanie i budowę willi w Pizzo koło Marina di Montereale?

– Tej dla Angela Speciale? Tak.

– Wobec tego muszę przedstawić panu zarzut o popełnienie przestępstwa.

Odkryliśmy samowolnie zbudowane piętro.

Spitaleri westchnął z wielką ulgą, a potem wybuchnął śmiechem. Czyżby się spodziewał oskarżenia znacznie poważniejszego?

– Odkryliście? Szkoda waszego czasu. To jest z przeproszeniem główniane odkrycie. Drogi panie komisarzu, u nas samowolne budownictwo jest wręcz obowiązkowe, bo inaczej wychodzi się na idiotę w oczach innych. Wszyscy muszą radzić sobie w ten sposób! Wystarczy, że teraz Speciale złożą podanie o zatwierdzenie stanu faktycznego...

– To jednak pana nie wybiela, ponieważ pan jako budowniczy i kierownik robót nie przestrzegął tego, co zostało wyraźnie określone w pozwoleniu na budowę.

– Ależ, panie komisarzu, powtórzę panu raz jeszcze, że to głupi drobiazg!

– Który jest przestępstwem.

– Mówi pan o przestępstwie? Ja uważam, że to najwyżej drobna pomyłka, taka jak te szkolne, które podkreślano nam czerwonym ołówkiem. I naprawdę, proszę mi wierzyć, nie opłaca się panu składać na mnie doniesienia.

– Czyżby mi pan niechcący groził?

– Nigdy nie zrobiłbym tego przy świadku. Jednak jeśli złożą pan na mnie doniesienie, wyśmieje pana całe miasto, zostanie pan skompromitowany.

Nabrał odwagi, nędzny pyszałek. Kiedy szło o telefon z komisariatu, o mało nie narobił w portki, a jak idzie o nielegalną budowę, pozwala sobie na śmiech.

Montalbano postanowił go więc usadzić.

– Może ma pan, niestety, rację, ale ja mimo to będę musiał zająć się tym samowolnie dobudowanym mieszkaniem.

– Może mi pan wyjaśnić dlaczego?

– Dlatego, że w środku znaleźliśmy zwłoki.

– Zwłó... jak to zwłoki?! – zachnął się technik budowlany.

– Tak. Zwłoki piętnastolatki. Nieletniej. Prawie dziecka. Ktoś się z nią

bestialsko obszedł, poderżnął jej gardło.

Specjalnie dobierał stopniowo coraz mocniejsze słowa, mówiąc o zamordowanej, aż Spitaleri wyrzucił przed siebie ramiona, jakby się chciał oprzeć napierającej na niego sile. Potem próbował się wyprostować, ale nogi się pod nim ugięły, zabrakło mu powietrza i osunął się na krzesło.

– Wody – wybełkotał.

Podali mu szklankę wody, a nawet posłali do baru po kieliszek koniaku.

– Już lepiej?

Spitaleri, który jeszcze nie był w stanie mówić, dał znak ręką, że już prawie się pozbierał.

– Niech pan słucha, Spitaleri. Teraz ja będę mówił, a pan będzie kiwał głową na tak lub nie. Zgoda?

Technik budowlany opuścił głowę, co miało oznaczać, że zrozumiał.

– Do zamordowania tej dziewczyny musiało dojść dzień przed zakończeniem budowy lub właśnie tego dnia, kiedy ostatecznie zasypaliście podziemne mieszkanie. Jeżeli stało się to dzień wcześniej, zabójca musiał gdzieś ukryć zwłoki i zniósł je pod ziemię następnego dnia, kiedy to mieszkanie było już niedostępne. To zrozumiałe – prawda?

Głowa Spitaleriego pochyliła się na znak potwierdzenia.

– Jeśli natomiast do zabójstwa doszło ostatniego dnia, morderca zostawił sobie tylko jakieś przejście, przez które wprowadził dziewczynę, a w środku zgwałcił ją, poderżnął jej gardło i ciało umieścił w kufrze. Po wszystkim wyszedł z mieszkania i to pozostawione przejście ostatecznie zasypał. Mam rację?

Spitaleri rozłożył ramiona na znak, że nie wie, co powiedzieć.

– Nadzorował pan budowę aż do ostatniego dnia?

Technik budowlany zaprzeczył ruchem głowy.

– Jak to?

Spitaleri znów rozłożył ramiona i wydobył z siebie tylko jakieś dudniące:

– Oooooooooo...

Naśladował odlot samolotu?

– Odleciał pan gdzieś?

Potwierdził ruchem głowy.

– Ilu robotników zasypywało podziemne mieszkanie?

Spitaleri pokazał dwa palce.

Jednak nie dało się prowadzić tak dalej przesłuchania. Zamieniało się w żalną komedię.

– Panie Spitaleri, wkurza mnie, jak pan odpowiada w ten sposób. A poza tym wygląda mi na to, że bierze nas pan za kretynów i chce się za łatwo wyłgać.

Po czym zwrócił się do Fazia.

– Czy nie wygląda na to, twoim zdaniem?

– Owszem. Też to zaobserwowałem.

– Wiesz, co trzeba zrobić? Weź go do łazienki, każ mu się rozebrać do naga, wsadź pod prysznic, żeby się wreszcie pozbierał.

– Żądam adwokata! – zawołał Spitaleri, odzyskując nagle w cudowny sposób siły.

– Czy opłaca się panu, żeby ta sprawa nabrała rozgłosu?

– W jakim sensie?

– W takim, że jeśli pan wezwie adwokata, ja zwołam dziennikarzy. A chyba ma pan już za sobą jakieś incydenty z nieletnimi... Dziennikarze mogą naciskać, żeby zrobić panu proces doraźny, bo to potrafią, a wtedy już po panu. Jeśli więc zechce pan ze mną współpracować, za pięć minut będzie pan wolny.

Trupio blady technik budowlany zaczął się nagle trząść, jakby mu było zimno...

– Co pan jeszcze chce wiedzieć?

– Przed chwilą dał mi pan znak, że nie mógł zajmować się robotami przy willi do samego końca, ponieważ gdzieś pan poleciał samolotem. Ile dni

wcześniej?

– Wyleciałem w dniu zamknięcia budowy.

– Pamięta pan, kiedy to było?

– Dwunastego października.

Fazio i Montalbano wymienili spojrzenia.

– Wobec tego, chyba może mi pan powiedzieć, czy w salonie oprócz opakowanych w folię okien, znajdował się także kufer?

– Owszem, był.

– Jest pan pewien?

– Jak najbardziej. Stał pusty. Kazał go tam wnieść pan Speciale. Przywiózł w nim wcześniej swoje rzeczy z Niemiec. Ponieważ już go nie potrzebował, to choć był mocno podniszczony, zamiast go wyrzucić, kazał znieść do salonu. Powiedział, że może mu się jeszcze przydać.

– Poproszę o nazwiska tych dwu murarzy, którzy pracowali do końca.

– Nie pamiętam, kto to był.

– Wobec tego lepiej niech pan wezwie adwokata – powiedział Montalbano – ponieważ muszę pana oskarżyć o współudział w tym...

– Ale ja ich nazwisk naprawdę nie pamiętam!

– Żal mi pana, jednak...

– Mogę zadzwonić do Dipasqualego?

– Kto to?

– Kierownik budowy.

– Ten, do którego dzwonił pan stąd już przedtem?

– Tak. Ten sam. Dipasquale kierował budową całej willi pana Speciale.

– Dobrze, proszę dzwonić, ale raz jeszcze pana uprzedzam, żeby nie mówił pan niczego, co mogłoby być wykorzystane przeciwko panu. Rozmowy są nagrywane, proszę pamiętać.

Spitaleri wyjął z kieszeni komórkę, wybrał numer.

– Halo, 'Ngilino? To ja. Może pamiętasz, którzy murarze pracowali sześć lat temu na budowie willi w Pizzo koło Marina di Montereale? Nie

pamiętasz? Co mam w takim razie zrobić? Pyta mnie o to komisarz Montalbano. Aha, prawda, masz rację. Przepraszam cię.

– Panie Spitaleri, póki pamiętam, czy mógłby mi pan podać numer telefonu Angela Dipasquale? Zapisz, Fazio.

Spitaleri podyktował ten numer.

– No więc? – nalegał Montalbano.

– Dipasquale nie pamięta nazwisk murarzy. Ale na pewno znajdę je w swoim biurze. Pojadę i przywiozę.

– Niech pan jedzie.

Technik budowlany zerwał się i wprost rzucił do drzwi.

– Chwileczkę. Fazio pojedzie z panem i przywiezie mi te nazwiska i adresy. A pan pozostanie u siebie, do mojej dyspozycji.

– Jak mam to rozumieć?

– Nie może pan wyjeżdżać poza Vigatę i jej okolice. Jeżeli będzie pan musiał pojechać gdzieś dalej, wcześniej zawiadomi mnie pan o tym. I jeszcze jedno: pamięta pan, dokąd pan poleciał dwunastego października?

– Do... no, do Bangkoku.

– Więc to prawda, że jest pan amatorem świeżej zwierzyny łownej, co, panie Spitaleri?

Kiedy Spitaleri z Faziem wyszli, komisarz natychmiast zadzwonił do kierownika robót. Nie chciał, żeby technik go uprzedził i żeby z nim uzgodnił, co ma w tej sprawie mówić.

– Dipasquale? Tu komisarz Montalbano. Ile czasu panu trzeba, żeby przyjechać z placu budowy do Vigaty?

– Najwyżej pół godziny. Ale na próżno pan pyta, bo ja i tak teraz nie mógłbym przyjechać, muszę być tutaj, w pracy.

– Ja także jestem w pracy. A moja praca polega na tym, żeby kazać panu przyjechać.

– Powtarzam panu, że nie mogę.

– Woli pan, żebyśmy przysłał po pana nasz radiowóz na sygnale i żeby

zwinęli pana na oczach pańskich murarzy?

– Ale czego pan ode mnie chce?

– Zaspokoję pańską ciekawość, jak tylko pan tu przyjedzie. Ma pan dwadzieścia pięć minut.

Dojechał w niecałe dwadzieścia dwie minuty. Żeby nie tracić czasu, nawet się nie przebrał, był w kombinezonie zachlapanym świeżym wapnem. Dipasquale miał około pięćdziesiątki, całkiem siwe włosy, ale wąsy kruczoczarne. Był niski, krępy, nigdy nie patrzył w oczy temu, z kim rozmawiał, a kiedy już patrzył, to spode łba, ponuro.

– Nie rozumiem, dlaczego najpierw dzwoni do mnie pan Spitaleri w sprawie tamtego Araba, a teraz pan komisarz chce mnie pytać o tę willę w Pizzo.

– Nie wezwałem pana w sprawie willi w Pizzo.

– Ach, nie? A w jakiej?

– Chodzi o śmierć Araba. Jak się nazywał?

– Nie pamiętam. Ale to był nieszczęśliwy wypadek! On był kompletnie pijany. Oni wszyscy upijają się codziennie od samego rana, a co dopiero w sobotę! Więc komisarz Lozupone stwierdził na miejscu...

– Dajmy spokój stwierdzeniom mojego kolegi. Proszę mi powiedzieć, jak to wyglądało naprawdę.

– Opowiadałem to już sto razy – prokuratorowi, komisarzowi...

– To opowie pan to jeszcze po raz sto pierwszy.

– No cóż. W tamtą sobotę skończyliśmy pracę o wpół do szóstej i rozeszliśmy się do domów. A w poniedziałek rano...

– Zaraz, zaraz. Nie zauważyliście, że Araba nie ma?

– Nie. Mam im może robić apel?

– Kto zamyka plac budowy?

– Stróż. Filiberto. Filiberto Attanasio.

Przecież kiedy weszli do gabinetu i przyłapali Spitaleriego na

telefonowaniu, wymieniał właśnie nazwisko Filiberta!

– Po co wam stróż? Nie płacicie za ochronę?

– Zawsze może się trafić jakiś gówniarz, jeden z tych narkomanów, którzy...

– Rozumiem. Gdzie mam szukać stróża?

– Filiberta? Stróżuje także na budowie, na której jesteśmy teraz. Pewnie tam też sypia.

– Pod gołym niebem?

– Nie, tam jest barak z falistej blachy.

– Proszę mi dokładnie wyjaśnić, gdzie się znajduje wasza budowa.

Dipasquale podał adres.

– I co dalej?

– Już panu powiedziałem wszystko, co wiem! W poniedziałek rano znaleźliśmy Araba, ale już nie żył. Spadł z rusztowania, z trzeciego piętra. Przeszedł poza barierkę ochronną, bo był aż tak pijany! To było nieszczęście, nic innego, mówię panu!

– Na razie na tym poprzestaniemy.

– Mogę już iść?

– Za chwilę. Był pan przy tym, kiedy kończono prace?

Dipasquale obruszył się.

– Przecież budowa w Montelusie jeszcze się nie skończyła!

– Mówię teraz o willi w Pizzo.

– Powiedział pan, że zostałem wezwany w sprawie Araba.

– Ale zmieniłem zamiar. Nie odpowiada to panu?

– Musi mi odpowiadać.

– Pan naturalnie wie, że w Pizzo zostało samowolnie zbudowane całe dodatkowe piętro?

Dipasquale nie był ani zaskoczony, ani zmieszany.

– Wiem, oczywiście. Ale ja tylko robiłem, co mi kazano.

– Zna pan znaczenie słowa „współdział”?

– Znam.

– I co pan na to?

– Powiem tylko tyle, że współdział współdziałowi nierówny. Jeżeli to ma być współdział, że się pomaga komuś w budowie nieprzewidzianego umową piętra, to trzeba by nazywać śmiertelną raną zwykłe ugryzienie przez pająka.

Pan kierownik budowy był biegły w dialektyce.

– Czy zatrzymał się pan w Pizzo aż do zakończenia prac?

– Nie. Pan Spitaleri przeniósł mnie do Feli na cztery dni przed końcem, żebym mu tam zorganizował początek nowych robót. Ale wtedy już prawie wszystko w Pizzo było zakończone. Należało jeszcze osłonić dolną kondygnację folią i zasypać ziemią. To już była łatwa praca i nie wymagała nadzoru. Pamiętam, że wyznaczyłem do niej dwu murarzy, tylko nie przypominam sobie, jak się nazywali. Ale już mówiłem panu Spitaleriemu, że to można znaleźć, kiedy się przejrzy...

– Tak, technik Spitaleri pojechał to sprawdzić. A pamięta pan, czy Speciale, właściciel willi, został do zakończenia budowy?

– Póki ja tam byłem, on też był. Był też z nim ten wariat, jego pasierb, ten Niemiec.

– Dlaczego nazywa go pan wariatem?

– Bo był wariatem.

– Niech mi pan powie, w czym się to objawiało.

– Na przykład stawał na głowie, z nogami w górze, i tak stał całą godzinę. Albo jadł trawę, udając, że chodzi na czterech nogach jak owca.

– Tylko tyle?

– Kiedy go przypiliło, to spuszczał spodnie i załatwiał się przy wszystkich bez żadnego wstydu.

– Takich jak on jest teraz wielu, wie pan? Twierdzą, że kochają naturę, a więc... Nie wydaje mi się, żeby ten Niemiec był takim strasznym wariatem.

– To jeszcze panu coś powiem. Pewnego dnia na plaży, gdzie było pełno ludzi, zachciało mu się rozebrać do naga i z kutasem na wierzchu zaczął się dobierać do jakiejś dziewczynki.

– I jak się to skończyło?

– Tak się skończyło, że na plaży byli też inni chłopcy, chwycili go i porządnie go załatwili.

Może Ralf chciał być takim faunem, jak u Mallarmego. Jednak to, co opowiedział kierownik budowy, wydawało się nader interesujące.

– Czy coś podobnego jeszcze się kiedyś powtórzyło?

– No pewnie. Mówili mi, że tak samo dobierał się do innej nastolatki, którą spotkał na tej drodze, co prowadzi do szosy do Pizzo.

– Co wtedy zrobił?

– Kiedy ją zobaczył, od razu się rozebrał i zaczął się do niej dobierać.

– Jak się ta dziewczyna wtedy od niego uwolniła?

– Uwolnił ją pan Spitaleri, bo właśnie nadjeżdżał tamtą drogą.

Odpowiedni człowiek w odpowiednim miejscu i czasie! Komisarzowi zaraz się przypomniały inne utarte powiedzonka tego rodzaju: z deszczu pod rynnę, między młotem a kowadłem... Zły był na siebie, że tylko takie banalne skojarzenia przychodzą mu do głowy.

– Jak pan myśli, czy ojczym, pan Speciale, wiedział o tych wyczynach pasierba?

– Jakże mógł nie wiedzieć!

– I jak reagował?

– Nijak? Śmiał się. Mówił, że w Niemczech pasierbowi też tak odbijało. Że on nic złego nie robi. Że chce tylko te dziewczynki całować. Tak nam pan Speciale to wyjaśniał. Ale ja powiadam: chłopcze kochany, po cóż ty się rozbierasz do naga, jak chcesz się tylko całować?

– Otóż to. Dobrze, może pan iść. Ale proszę pozostawać do mojej dyspozycji.

Dipasquale nieświadomie ofiarował mu głowę Ralfa na srebrnej tacy,

nawet na złotej. Zwłaszcza, że kierownik budowy jeszcze nie wiedział o zamordowanej dziewczynie. Komisarz miał więc niezły wybór: aż dwóch maniaków seksualnych – technika Spitaleriego i Ralfa. Były tylko dwa drobne problemy w tych dociekaniach: młody Niemiec zaginął podczas powrotu do ojczyzny, a Spitaleri tamtego feralnego dwunastego października był w podróży.

Dla zabicia czasu, czekając, aż Fazio wróci, Montalbano postanowił zadzwonić do sądówki.

– Chciałbym mówić z doktorem Arquà. Tu komisarz Montalbano.

– Proszę się nie rozłączać.

Wystarczyło mu czasu, żeby sobie powtórzyć tabliczkę mnożenia na sześć, siedem, osiem i dziewięć.

– Komisarz Montalbano? Przykro mi, ale doktor Arquà jest chwilowo bardzo zapracowany.

– A kiedy nie będzie?

– Prosi, żeby się pan zgłosił do niego za jakieś dziesięć minut.

Zapracowany czy może się zaprasowany. Na sztywno. Ten nędzny pajac chce, by go błagać, podbija sobie cenę. Czy takie typy mają jakąkolwiek cenę i czy można ją podbijać?

Wstał, wyszedł z gabinetu, przeszedł obok Catarelli.

– Idę na kawę do portu. Zaraz wracam.

Kiedy wyszedł na ulicę, od razu uznał, że zrobił błąd. Żar na parkingu wprost buchał jak z rozpalonego kominka. Dotknął klamki u drzwi samochodu i sparzył sobie palce. Zirytował się i wrócił z powrotem. Catarella popatrzył na niego zdziwiony, a potem rzucił okiem na zegarek. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że komisarz poszedł do portu, wypił kawę i zdążył tak szybko wrócić.

– Catarella, zaparz mi kawę.

– Panie komisarzu, drugą? Nie wypił pan już niedawno jednej w porcie? Za dużo kawy to nic dobrego dla pana komisarza.

– Masz rację. Nie zaparzaj.

– Chciałbym rozmawiać z doktorem Arquà, jeśli już nie jest zapracowany. Tu ciągle ten sam Montalbano.

– Proszę się nie rozłączać.

Tym razem nie bawił się tabliczką mnożenia, tylko próbował sobie podśpiewywać jakąś melodię, chyba Rolling Stonesów, potem inną, może Beatlesów, ale obie wyszły mu prawie jednakowo, bo komisarz nie miał wybitnego słuchu.

– Komisarz Montalbano? Doktor Arquà jest jeszcze zapracowany. Proszę uprzejmie spróbować...

– ...za dziesięć minut, wiem.

To się w głowie nie mieści, żeby tracić tyle czasu na durnia, który teraz pewnie zaciera ręce z radości, że każe na siebie czekać. Zmiął dwie kartki papieru, w kulę i włożył ją sobie do ust. Potem zacisnął nos klipsem do papieru i raz jeszcze wybrał numer sądówki. Mówił z lekkim akcentem toskańskim.

– Tu minister pełnomocny i generalny inspektor Gianfilippo Maradona. Proszę mnie pilnie połączyć z doktorem Arquà.

– Tak jest, ekscelencjo.

Montalbano wypluł kulę papieru, odpiął pęsetę. Za niecałą minutę usłyszał głos doktora Arquà.

– Dzień dobry, ekscelencjo, słucham pana.

– Nie rozumiem, dlaczego nazywasz mnie ekscelencją. Jestem Montalbano.

– Właśnie mi powiedziano, że...

– Możesz dalej mówić do mnie ekscelencjo, nawet mi się to podoba.

Arquà nie odzywał się przez chwilę. Czuło się, że ma ochotę przerwać połączenie. Potem się rozmyślił.

– Czego chcesz?

- Masz mi coś do powiedzenia?
- Mam.
- To mów.
- Mówi się: z łaski swojej.
- Z łaski swojej.
- No to pytaj.
- Gdzie została zamordowana?
- Tam, gdzie została znaleziona.
- A ściślej mówiąc?
- Przy wyjściu z salonu na taras.
- Jesteś pewien?
- Zaręczam.
- Skąd ta pewność?
- Po prostu tam utworzyła się wielka kałuża krwi.
- A gdzie indziej?
- Krwi ani śladu.
- Tylko ta jedna kałuża?
- I smugi na posadzce. Ofiara była wleczona w kierunku kufra.
- Znaleźliście narzędzie zbrodni?
- Nie.
- A odciski palców?
- Tysiące.
- Także na folii, w którą było zawinięte ciało?
- Nie, tam nie ma żadnych.
- Znaleźliście coś jeszcze?
- Rulon taśmy do paczek. Tej samej, którą oklejono folię.
- Na nim też nie ma odcisków?
- Ani jednego.

– I nic więcej?

– Nic.

– To pocałuj się w dupę.

– I ty też.

Piękny dialog. Lakoniczny, oschły, godny tragedii Vittoria Alfieriego. Ale przynajmniej jedno wyszło na jaw: zabójstwa dokonano tego ostatniego dnia, kiedy murarze jeszcze pracowali.

Montalbano nie mógł wytrzymać w swoim gabinecie. Miał głowę jak słoik miodu, w którym myśli poruszały się z trudem, grzęzły i nieruchomiały.

Czy w swoim gabinecie komisarz policji może chodzić rozebrany, z gołym torssem? Czy są jakieś przepisy, które by tego zabraniały? Nie ma. Ale wystarczy, że ktoś obcy nagle wejdzie...

Wstał, podszedł zamknąć żaluzje w oknie, przez które nie wchodziło powietrze, tylko lał się słoneczny żar. Zrobiło się ciemno, więc zapalił światło i zdjął koszulę.

– Catarella!

– Melduję się!

Kiedy Catarella zobaczył go bez koszuli, powiedział tylko:

– Pan komisarz jest szczęściarzem, bo pan komisarz może sobie tak zrobić.

– Słuchaj, żebyś tutaj nikogo nie wprowadzał, zanim mnie nie uprzedzisz. I jeszcze jedno: zadzwoń do sklepu, gdzie sprzedają wentylatory i każ jeden do nas przysłać, możliwie jak największy.

Ponieważ Fazio wciąż się nie pojawiał, zadzwonił pod jeszcze jeden numer.

– Doktor Pasquano? To ja, komisarz.

– Nie uwierzy pan, ale właśnie potrzebowalem kogoś, kto mi zechce zepsuć humor na cały dzień.

– Jak pan widzi, zaraz to wyczułem i gotów jestem pana zadowolić.

– Czego pan chce, do cholery?

To była ta wyszukana, arystokratyczna uprzejmość doktora Pasquano.

– Nie wie pan?

– Tą małą zajmę się dopiero dziś po południu. Może pan do mnie zadzwonić jutro z rana.

– A może dziś wieczór?

– Dziś wieczór jestem w klubie, będzie poważny poker i nie ma mowy o żadnym molestowaniu gracza...

– Rozumiem. A nie rzucił pan chociaż pobieżnie okiem na zwłoki?

– Całkiem pobieżnie.

Z tonu, jakim to powiedział, komisarz się domyślił, że doktor już coś zdążył zaobserwować. Powie, trzeba go tylko potraktować we właściwy sposób.

– Do klubu wybiera się pan na dziewiątą, prawda?

– Zgadł pan. A o co chodzi?

– Pytam, bo koło dziesiątej ja także pokażę się w klubie z dwoma moimi agentami i zrobię taki burdel, że ten cały poker weźmie w łeb.

Usłyszał, że Pasquano chichoce.

– No więc, co mi pan powie?

– Potwierdzam, że mogła mieć najwyżej szesnaście lat.

– A jeszcze?

– Morderca poderżnął jej gardło.

– Czym?

– Takim nożykiem, który nosi się przy sobie w kieszeni, ale który jest wyostrzony jak brzytwa firmy Opinel.

– Może pan stwierdzić, czy był mańkutem?

– Oczywiście. Kiedy już napatrzę się do woli w szklaną kulę u jakiejś wróżki.

– To takie trudne do ustalenia?

- Dość trudne. A nie chciałbym się zbłąźnić.
- Wystarczy, że ja muszę ciągle się zbłąźniać. Niech się pan także chociaż raz poświęci.
- No tak, ale uprzedzam pana, że to tylko przypuszczenia. Morderca moim zdaniem nie był mańkutom.
- Z czego pan to wnosi?
- Tak mi się wydawało z samej pozycji.
- Z jakiej znowu pozycji?
- Nie kartkował pan nigdy *Kamasutry*?
- Proszę mi to lepiej wyjaśnić.
- Panie komisarzu, znowu muszę powtórzyć, że to tylko moje przypuszczenie. Ten mężczyzna namawia dziewczynę, żeby z nim zeszła na to piętro niemal w całości zakryte ziemią. Kiedy już tam są, tylko dwie myśli mu w głowie. Pierwsza, żeby się do niej dostać, druga, by wyczuć stosowny moment, kiedy ma ją zabić.
- Zakłada pan więc zabójstwo z premedytacją, a nie jakiś nagły napad szału czy coś w tym rodzaju?
- Ja tylko przedstawiam panu swoje hipotezy.
- Ale dlaczego chciał ją zabić?
- Może wcześniej coś ich łączyło i ta mała zaczęła się domagać od niego kupy forsy za milczenie. Musi pan pamiętać, że chodzi o nieletnią, a mężczyzna mógł być żonaty. Czy taki motyw panu wystarczy?
- Nie twierdzę, że nie wystarczy.
- Mam mówić dalej?
- Oczywiście.
- Mężczyzna ją rozbiera, sam może również zrzuca z siebie wszystko, a potem każe się jej oprzeć rękami o ścianę i gwałci ją od tyłu. W pewnej chwili...
- Sekcja może ustalić, czy doszło do stosunku?
- Po sześciu latach? Pan żartuje. No więc, jak mówiłem, że w pewnej

chwili...

– To znaczy kiedy?

– Kiedy dziewczyna już się w to wciągnęła i nie mogła błyskawicznie zareagować.

– No i...

– ...wyjmuje nożyk.

– Stop. Skąd go wyjmuje, skoro jest nagi?

– A chuj go wie skąd! jak mi pan będzie ciągle przerywał, to zmienię bajeczkę i opowiem panu tylko o Królownie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach.

– Przepraszam. I co dalej?

– Chwyta nożyk, a skąd, to sam pan musi odgadnąć, podrzyna jej gardło, równocześnie popycha ją do przodu, a sam odskakuje do tyłu i czeka, żeby się wykrwawiła. Na koniec rozściela na ziemi folię, której tam nie brak...

– Chwileczkę, zanim zabierze się do folii, wkłada lateksowe rękawiczki.

– Dlaczego?

– Dlatego, że na tej folii nie ma odcisków palców. Powiedział mi to doktor Arquà. Nie ma ich też na tej taśmie do paczek.

– Sam pan widzi, że robił wszystko z premedytacją! Przyniósł sobie nawet lateksowe rękawiczki. Mogę kontynuować?

– Oczywiście.

– ...owija ciało w folię, wkłada do kufra. Po skończonej robocie ubiera się. Chyba nie ma nawet jednej kropli krwi na swojej skórze.

– A sukienka, bielizna, buciki dziewczyny?

– Dzisiaj takie dziewczęta niewiele na sobie noszą. Temu mężczyźnie wystarczyła plastikowa torebka, żeby to wszystko stamtąd wynieść.

– No tak, ale dlaczego zabrał jej rzeczy ze sobą, a nie wrzucił ich do kufra?

– Tego nie wiem. Może to było nieprzemyślane, nie zawsze mordercy działają logicznie, pan wie o tym lepiej ode mnie. Wystarczy panu?

– Może wystarczy, może nie.

– Mógł to być zresztą fetyszysta, i teraz czasami wyjmuje sobie z ukrycia rzeczy dziewczyny, wacha je, podnieca się, dogadza sobie na jakiś swój sposób.

– Jak pan doszedł do tego wniosku?

– O tym dogadzaniu sobie?

Zebrało mu się na żarty. Taki już był doktor Pasquano.

– Chodzi mi o to, jak pan odtworzył sobie chwilę zabójstwa.

– Aha, o to. Badając dokładnie, gdzie i jak wszedł w ciało czubek noża i zastanawiając się nad linią całego cięcia. Poza tym dziewczyna miała pochyloną głowę, dotykała podbródkiem piersi, a to mi pomogło zrozumieć przebieg wydarzenia, zwłaszcza że morderca zranił jej dodatkowo prawy policzek, kiedy już wyjmował nóż z gardła.

– Są jakieś znaki szczególne?

– Do identyfikacji? Była operowana na ślepą kishkę i miała dość rzadkie wrodzone odkształcenie na prawej stopie.

– To znaczy?

– Ułomny duży palec. Podręcznikowo mówiąc, koślawy.

– A mówiąc prościej?

– Skrzywiony. Skierowany mocno do środka.

Nagle przyszło mu do głowy, że zapomniał zrobić coś wcześniej. A zapomniał nie dlatego, że już dawała o sobie znać starość – tak przynajmniej się pocieszał – ale przez ten skwar, który działał na niego, jak trzy pigułki nasenne na raz.

– Catarella? Przyjdź tu do mnie.

Catarella stanął w drzwiach w ćwierć sekundy później.

– Na rozkaz, panie komisarzu.

– Musisz mi czegoś poszukać w komputerze.

– Z wielką chęcią.

– Musisz zobaczyć, czy zgłoszono zaginięcie szesnastoletniej dziewczyny.

Mogło się to stać trzynastego lub czternastego października 1999 roku.

– Wyszukam błyskawicznie.

– A co z wentylatorem?

– Panie komisarzu, wydzwaniałem do czterech sklepów i sprzedawców. Już wentylatory poszły wyczerpane. Jeden mi powiedział, że ma jeszcze tylko śmigła.

– Jakie śmigła?

– Takie, co się mocuje do sufitu. Jeszcze spróbuję w innych sklepach, panie komisarzu.

Począł pół godziny, ale widząc, że Fazio wciąż nie wraca, uznał, że czas najwyższy coś zjeść. Wystarczyło, że wsiadł do samochodu i przejechał kawałek drogi, żeby w koszuli całkiem mokrej od potu dotrzeć do traktierni.

– Panie komisarzu – powiedział Enzo – za wielki upał na jakieś gorące danie.

– To czym mnie nakarmisz?

– Zgodzi się pan na wielki talerz przystawek z owoców morza – krabów, mątwy, śledzików, sardeli, omułek i małży?

– Zgodzę się z ochotą. A na drugie?

– Barweny z natką pietruszki, które na zimno są cudowne. A na koniec, dla polepszenia smaku, moja żona przygotowała sorbet cytrynowy.

Czy na skutek upału, czy dlatego, że czuł się ociężały, zrezygnował z codziennej przechadzki po molo i wrócił do Marinelli. Pootwierał wszystkie okna i drzwi, łudząc się, że powietrze w domu trochę się poruszy, po czym wyciągnął się nago na prześcieradle i godzinkę drzemał. Kiedy się zbudził, włożył slipy i poszedł nad morze, żeby trochę popływać, ryzykując nawet złe trawienie.

Odświeżył się porządnie, a kiedy wszedł do domu, od razu poczuł, że chciałby usłyszeć głos Livii.

Co miał robić? Zapomniał o urażonej dumie i zadzwonił.

– Ach, to ty? – odpowiedziała Livia, która nie wydawała się ani zaskoczona, ani ucieszona.

Szczerze mówiąc, była raczej obojętna.

– Jak się wam udała podróż?

– Było okropnie. Nieznośny upał, bo w samochodzie zepsuła się klimatyzacja. A kiedy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej koło Grosseto, Bruno nam gdzieś zniknął.

– Jakby miał na to patent.

– Daj spokój, nie wysilaj się na dowcipy.

– Tak mi tylko przyszło do głowy. A gdzie się podział?

– Szukaliśmy go dwie godziny. A on się schował w kabinie kierowcy tira.

– Kierowca nic nie widział?

– Kierowca spał. Nie zorientował się. No dobrze, muszę kończyć, bo wychodzę.

– Dokąd?

– Mój kuzyn Massimiliano czeka na mnie pod domem. Złapałeś mnie tu przypadkiem, wstąpiłam, żeby wziąć trochę swoich rzeczy.

– A gdzie byłaś?

– Jestem teraz z Guidem i Laurą w ich willi.

– I znów tam jedziesz?

– Tak, z Massimilianem. Popływamy trochę jego żaglówką.

– W ile osób?

– We dwoje. Ja i on. Ciao.

– Ciao.

Skąd ten kochany kuzyn Massimiliano ma środki na utrzymanie żaglówki, skoro nigdzie nie pracuje, tylko całymi dniami zbija bąki? Źle zrobił, że zadzwonił.

Już wychodził z domu, kiedy odezwał się telefon.

– Słucham?

- A poza tym, co z ciebie za mężczyzna, skoro nie dotrzymujesz słowa! To była Livia, najwyraźniej nastawiona zaczepnie.
 - Ja?!
 - Tak, ty!
 - Możesz mi powiedzieć, kiedy nie dotrzymałem słowa?
 - Zaklinałeś się, że w lecie w Vigacie nie dochodzi do żadnych zabójstw.
 - Jak możesz twierdzić coś takiego? No wiesz?! Powiedziałem tylko, że w tym letnim upale każdy, kto planuje jakieś morderstwo, woli je odłożyć do jesieni.
 - A jednak Guido i Laura musieli spać w jednym łóżku z ofiarą zabójstwa w samym środku sierpnia!
 - Livio, nie przesadzaj! W jakim łóżku?
 - No, mało brakowało.
 - Posłuchaj mnie uważnie. To morderstwo zostało dokonane w październiku, sześć lat temu. W październiku, rozumiesz? A to znaczy, że moja teoria policyjna ma jednak ręce i nogi.
 - Dla mnie liczy się tylko to, że z twojej winy...
 - Z mojej winy? Gdyby ten nieznośny Bruno nie wpadł na pomysł, by wzorować się na Houdinim...
 - A kto to taki?
 - Głośny czarodziej. Gdyby Bruno nie wpakował się pod ziemię, nikt nie miałby pojęcia, że piętro niżej leżą zwłoki, i twoi kochani przyjaciele mogliby do ostatniego dnia urlopu spać spokojnie.
 - Jesteś obrzydliwie cyniczny.
- I się rozłączyła.

Wrócił do komisariatu prawie o szóstej.

Chciał wrócić wcześniej, ale kiedy wyszedł przed dom, ognisty żar kazał mu zawrócić. Rozebrał się, wszedł do wanny z zimną wodą i poleżał w niej sobie chyba z godzinę.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu! Już znalazłem! Mam zidentyfikowanie!

Catarella, z rękami przyciśniętymi do ciała, w sztywnej pozie, kręcił się wokół własnej osi, jakby udawał taniec pawia.

– Chodź do mego gabinetu.

Catarella kroczył za nim z kartką w ręku tak uroczyście, że niemal słyhać było marsz triumfalny z *Aidy*.

8

Montalbano przejrzał formularz zgłoszenia zaginięcia, który Catarella wydrukował mu z komputera.

MORREALE Caterina, nazywana Rina

córka Giuseppego i Dibetta Franceski

urodzona w Vigacie 3 VII 1983

zamieszkała w Vigacie, przy ul. Roma 42

zaginiona 12 października 1999

wzrost: 1,75

Włosy: blond

Oczy: niebieskie

Budowa ciała: szczupła

Znaki szczególne: mała blizna po operacji wyrostka robaczkowego i koślawy duży palec u prawej stopy.

ADNOTACJA: Zgłoszenie przyjęte przez komisariat P.S. w Fiacce.

Odłożył dokument i oparł głowę na rękach. Zarznięta jak owca, jak zwierzę, przeznaczone na rzeź.

Teraz, kiedy dowiedział się, jak wyglądała, nabrał pewności, nie wiadomo dlaczego, że doktor Pasquano jednocześnie i mylił się, i miał rację. Miał rację, kiedy przedstawił mu scenę zabójstwa, ale mylił się co do jego motywu. Pasquano brał pod uwagę szantaż, ale Rina Morreale, z tymi swoimi jasnymi i pogodnymi oczami nigdy nie byłaby zdolna do czegoś takiego.

Jeżeli zgodziła się na stosunek z mężczyzną, który potem miał ją

zamordować, to czy byłoby możliwe, żeby poszła z nim dobrowolnie na dół, do tego ukrytego mieszkania, do którego prowadziło przejście tak wąskie i pewnie niebezpieczne? Ponadto musiało tam być całkiem ciemno. Czy zabójca miał ze sobą latarkę? Nie mogli znaleźć lepszego miejsca? Nie mogli kochać się w samochodzie? Pizzo leżało na odludziu, nie byłoby z tym problemu.

Nie, Rina Morreale z całą pewnością została zmuszona przez mordercę do zejścia na dół. Do tego pomieszczenia, które miało stać się jej grobem.

Catarella stanął obok komisarza, żeby razem z nim przyjrzeć się zdjęciu dziewczyny. Może wcześniej nie zdążył tego zrobić.

– Ależ była śliczna! – wymamrotał wzruszony.

Fotografia, oprócz potwierdzenia danych osobowych, ukazywała dziewczynę wyjątkowej urody, z szyją tak smukłą, jakby ją namalował Botticelli.

Nie trzeba było wobec tego rozpoczynać innych poszukiwań, należało natomiast zawiadomić rodzinę, żeby ktoś z nich przyjechał do Montelusy na rozpoznanie zwłok.

Montalbano poczuł, że serce mu się ściska.

– Ależ była śliczna – powtórzył szeptem Catarella.

Komisarz podniósł wzrok i zaskoczył go w momencie, kiedy odwrócony na bok ocierał łzy rękawem mundurowej bluzy.

Lepiej było zmienić temat.

– Fazio już wrócił?

– Tak, wrócił.

– Pójdiesz po niego?

Fazio także wszedł z jakąś kartką w rękę.

– Catarella powiedział mi, że dziewczyna została zidentyfikowana. Mogę ją zobaczyć?

Montalbano podał mu wydruk zgłoszenia, Fazio chwilę patrzył na fotografię i zwrócił wydruk komisarzowi.

– Biedaczka.

– Kiedy go złapiemy, bo co do tego nie ma wątpliwości, rozwalę mu łeb – powiedział cicho komisarz.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

– Dlaczego rodzice dziewczyny zgłosili jej zaginięcie w komisariacie w Fiacce?

– Tego nie rozumiem, panie komisarzu. Może było to wtedy, kiedy trwał spór o kompetencje terytorialne między komisariatami. Pamięta pan, ile to czasu się ciągnęło?

– Nie uwierzysz, ale nie pamiętam. Jeżeli będziemy zajmować się wszystkim, nie zajmiemy się niczym. Ale możemy spytać rodziców.

– À propos, kto zawiadomi rodziców? – spytał Fazio.

– Ty. Ale najpierw musisz zawiadomić prokuratora Tommaseo. Najlepiej zrób to od razu stąd i będziemy to już mieli z głowy.

Fazio rozmówił się z prokuratorem śledczym, który poprosił, żeby mu przesłać e-mailem zgłoszenie. Przed zawiadomieniem rodziny chciał też porozumieć się z doktorem Pasquano i upewnić się co do identyfikacji.

– Catarella!

– Jestem, panie komisarzu.

– Weź zgłoszenie o dziewczynie i prześlij je zaraz prokuratorowi Tommaseo.

Kiedy Catarella wyszedł z gabinetu, Montalbano zwrócił się do Fazia.

– Jak to się stało, że na znalezienie tych nazwisk zeszło ci pół dnia?

– To nie ja ich szukałem, tylko Spitaleri.

– Nie mają komputera ani jakiejś kartoteki?

– Mają, ale w biurze trzymają dane tylko z ostatnich pięciu lat, a ponieważ tę willę budowali sześć lat temu...

– A gdzie trzymają starsze dokumenty?

– W domu siostry Spitaleriego, ale ona właśnie pojechała do Montelusy i musieliśmy na nią czekać.

– Nie rozumiem, dlaczego trzyma swoje dokumenty w domu siostry.

– Ja to akurat rozumiem.

– To mi wytłumacz.

– Boją się urzędu skarbowego, panie komisarzu. Zabezpieczają się przed nagłą kontrolą. Dzięki temu, że dokumenty nie są w biurze, technik budowlany Spitaleri zawsze zdąży na czas zawiadomić o kontroli siostrę. Pouczy ją też, które dokumenty ma w razie czego przywieźć do biura, a które ukryć. I wszystko jasne?

– Jak najbardziej.

– A więc murarze, którzy tamtego dnia pracowali... – zaczął Fazio.

– Zaczekaj. Jeszcze nie zdążyliśmy porozmawiać o Spitalerim.

– Jeśli chodzi o zabójstwo tej małej...

– Nie. Najpierw chcę cię zapytać o technika budowlanego, o człowieka, który buduje wille. A nie o człowieka, który ugania się za nieletnimi, o tym porozmawiamy później. Jak go oceniasz?

– Panie komisarzu, Spitaleri ma żelazne nerwy. Kiedy zmyśliliśmy mu tę historyjkę, że sekcja nie wykazała śladu alkoholu we krwi zmarłego Araba, bo miał tylko zalane winem ubranie, wcale go to nie zaskoczyło, nie powiedział nic, ani że to niemożliwe, ani że możliwe. A przecież ta informacja powinna była go zwalić z nóg, powinien był się upierać, że to nieprawda.

– A więc tego biedaka oblali winem, kiedy już nie żył, żeby upozorować, że był pijany.

– Pan, panie komisarzu, przypuszcza, że tak się to odbyło?

– Kiedy ty byłeś u Spitaleriego, wezwałem tutaj kierownika budowy, który nazywa się Dipasquale i go przesłuchałem. Jestem przekonany, że Arab spadł z rusztowania, bo nie założyli barierek ochronnych, ale nikt z robotników tego nie zauważył. Może pracował sam, gdzieś daleko od innych. Stróż tej budowy, Filiberto Attanasio, zobaczył wypadek, kiedy już wszyscy robotnicy poszli do domu i zadzwonił do kierownika, a Dipasquale zaraz zawiadomił Spitaleriego. Co z tobą? Słuchasz mnie czy nie?

Fazio myślał o czymś innym.

– Jak pan powiedział – jak się nazywa ten stróż?

– Filiberto Attanasio.

– Przepraszam na chwilę.

Wstał, wyszedł, wrócił po pięciu minutach z kartą z kartoteki policyjnej w ręku.

– Dobrze zapamiętałem.

Podał kartę komisarzowi. Filiberto Attanasio był już wielokrotnie karany za kradzieże, poważne bójki, usiłowanie zabójstwa i porwanie. Na zdjęciu widać było pięćdziesięciolatka z wydatnym nosem i głową całkowicie pozbawioną włosów. Został uznany za notorycznego przestępcę.

– Dobrze to wiedzieć – skomentował Montalbano. I ciągnął dalej: – Spitaleri i Dipasquale zawiadomieni przez stróża pędzą na miejsce, widzą, jak wygląda sytuacja i żeby ratować swoje dupy, montują barierkę na rusztowaniu, i to zaraz, w niedzielę o świcie. Polewają winem zwłoki Araba i idą spokojnie spać. W poniedziałek rano, z pomocą stróża, doprowadzają wszystko do odpowiedniego stanu.

– A komisarz Lozupone przymyka oko.

– Tak myślisz? Znasz komisarza Lozupone?

– Nie znam. Ale dobrze wiem, kto to taki.

– Ja go znam od dawna. Nie...

Zadzwonił telefon.

– Pan komisarz? Tu będzie przy telefonie prokurator Tommaseo i on chce porozmawiać z osobą pana komisarza osobiście.

– Połącz mnie z nim.

– Montalbano? Tu Tommaseo.

– Tommaseo? Tu Montalbano.

Prokurator się zmieszał.

– Chciałem panu coś powiedzieć. Otóż, widzi pan... zobaczyłem zdjęcie ze zgłoszenia. Jakaż to piękna dziewczyna!

– To prawda.

– Zgwałcona i zarżnięta.

– Czy doktor Pasquano powiedział panu, że ofiara została zgwałcona?

– Nie, powiedział mi tylko, że miała podcięte gardło. Ale że na pewno została zgwałcona, to sam wyczułem, mam w tych sprawach intuicję. Więc jestem o tym święcie przekonany.

Można by się założyć, że mózgowica prokuratora pracowała na pełnych obrotach, podsuwając mu w wyobraźni każdy szczegół urojonej sceny gwałtu.

I nagle Montalbano wpadł na genialny pomysł, który mógł uchronić jego lub Fazio od przykrej konieczności przekazania rodzicom tragicznej nowiny.

– Wie pan co, panie prokuratorze? Chyba ofiara miała siostrę bliźniaczkę, tak przynajmniej mi mówiono, i ta siostra podobno jest znacznie, ale to znacznie piękniejsza od zmarłej.

– Jeszcze piękniejsza? Czy to możliwe?

– Tak mówią.

– A ta bliźniaczka miałaby dzisiaj już dwadzieścia dwa lata.

– Dobrze pan wyliczył.

Fazio patrzył na komisarza, nie wierzył własnym uszom. Jakąż to znowu błazenadę Montalbano wymyślił?

Przez chwilę panowało milczenie. Na pewno prokurator płomiennym wzrokiem wpatrywał się w fotografię na zgłoszeniu zaginięcia i nie dowierzał, że tak łatwo może poznać bliźniaczkę tamtej piękności. W końcu odezwał się.

– Coś panu powiem, Montalbano. Może będzie lepiej, jeżeli to ja wezmę na siebie ten obowiązek i osobiście zawiadomię rodzinę... zwłaszcza że ofiara miała tak mało lat... i że doszło do tak szczególnego okrucieństwa...

– To będzie idealne rozwiązanie, panie prokuratorze. Pan istotnie ma ogromne wycucie ludzkiego cierpienia! Zatem to już pan pomyśli, jak zawiadomić jej bliskich?

– Naturalnie. Tak chyba będzie najlepiej.

Pożegnali się, zakończyli rozmowę. Fazio dobrze zrozumiał, zagrywkę komisarza i zaczął się śmiać.

– Ale typ! Ledwo usłyszy o jakiejś kobiecie...

– Daj mu spokój. Popędzi jak na skrzydłach do państwa Morreale, spodziewając się zastać w ich domu bliźniaczkę ofiary, a tymczasem ona nie istnieje. O czym to rozmawialiśmy wcześniej?

– Mówił mi pan o komisarzu Lozupone.

– No tak. Lozupone jest człowiekiem doświadczonym, inteligentnym i umie sobie w życiu radzić.

– Jak mam to rozumieć?

– To znaczy, że z całą pewnością Lozupone pomyślał o tym wypadku to samo co my, i także uznał, że barierka ochronna została umocowana już po wszystkim, ale się tym nie zajął.

– Dlaczego?

– Może mu ktoś doradził, że najlepiej będzie uwierzyć w to, co mówili Dipasquale i Spitaleri. A kto, tego przecież możemy się domyślać, bo dobrze znamy tych z komendy i z tak zwanego pałacu sprawiedliwości.

– Pewnie tak. Może jednak uda nam się coś wymyślić – powiedział Fazio.

– Niby co?

– Panie komisarzu, powiedział mi pan, że dobrze zna komisarza Lozupone. A wie pan, z kim on się ożenił?

– Nie wiem.

– Z córką doktora Lattes.

– Ach tak.

– No to jesteśmy w domu.

Doktor Lattes, szef gabinetu kwestora, świętoszkowaty lizus, nazywany „Lattes e mieles” [Mlekos i miodos], który nie wypowiedział słowa, zanim go nie pociągnął wazeliną i który nieustannie dziękował Madonnie, czy miał za co, czy nie!

– A wiesz, z kim jest związany politycznie szwagier Spitaleriego?

– Nasz burmistrz? Burmistrz Allesandro należy do tej samej partii, co prezydent regionu, a jest to nawiasem mówiąc również partia doktora Lattesca. Jest też zagorzałym wyborcą posła Catapano, co już mówi samo za siebie.

Gerardo Catapano umiał zaskarbić sobie przychylność zarówno rodziny Cuffaro, jak i rodziny Sinagra, obu klanów mafijnych Vigaty.

Montalbana ogarnęło przygnębienie. Czy to się nigdy nie zmieni? Szlag by to trafił, że też ciągle trzeba mieć do czynienia z podejrzanymi koneksjami, powiązania mafii z polityką, mafii z biznesem, polityki z bankami, praniem brudnych pieniędzy i lichwą...

Co za obsceniczny balet! Co za dżungla korupcji, oszustw, intryg, niegodziwości, karierowiczostwa! Wyobraził sobie taki dialog:

– Uważaj na każdym kroku, ponieważ X to człowiek posła Y, a zięć K jest człowiekiem szefa mafii Z i pozostaje w zażyłych stosunkach z posłem H.

– Przecież poseł H jest w opozycji!

– Owszem, jest, ale co to zmienia?

Jak pisał ojciec Dante?

*Biedna Italia, bólu gościnnica,
Śród wielkiej burzy – bez sternika nawa;
O, już nie pani ludów – nierządnic!*^[1]

Italia w dalszym ciągu była nierządnicą, obsługującą co najmniej dwóch klientów, Amerykę i Kościół, a burza miotła jej nawą dzień w dzień, pewnie z winy sternika, z którym lepiej było zgubić niż znaleźć. Naturalnie prowincje, którymi Italia kiedyś władała, rozmnożyły się chyba do setki, przez co burdel tylko się powiększył monstrualnie.

– Czyli sześciu murarzy... – podjął rozmowę Fazio.

– Chwileczkę. Masz coś do roboty dziś wieczór?

– Nie.

– Wybrałbyś się ze mną do Montelusy?

– A po co?

– A pogawędzić sobie z Filibertem, z tym stróżem. Wiem, gdzie jest plac budowy, Dipasquale dokładnie mi wyjaśnił.

– Pan, panie komisarzu, chyba chce jakoś tego Spitaleriego podejść.

– Jakbyś zgadł.

– Pojadę z panem na pewno.

– No a ci murarze? Powiesz mi coś o nich wreszcie?

Fazio spojrzał na Montalbana z rozgoryczeniem.

– Panie komisarzu, już od pół godziny próbuję panu coś o nich powiedzieć.

Wyjął z kieszeni kartkę.

– Tu mam ich nazwiska: Dalli Cardillo Antonio, Smecca Ermete, Butera Ignazio, Passalacqua Antonio, Fiorillo Stefano, Miccichè Gaspare. Tylko Dalli Cardillo i Miccichè pracowali do ostatniego dnia, to oni zasypali ziemią nielegalne piętro.

– Jeśli cię o coś spytam, to powiesz mi prawdę?

– Spróbuję.

– Zebrałeś także kompletne dane każdego z tych murarzy?

Fazio o mało się nie obruszył. Jak to, on, ze swoją „pasją ewidencyjną”, jak to określał Montalbano, mógłby tego nie zrobić?

– Tak, panie komisarzu. Ale tych danych panu nie przeczytam.

– Nie przeczytasz, bo zabraknie ci odwagi. Dowiedziałeś się, czy jeszcze pracują i gdzie ich szukać?

– Oczywiście. Pracują obecnie na czterech budowach, które prowadzi nasz technik budowlany Spitaleri.

– Na czterech?

– No tak. A za parę dni Spitaleri rozpoczyna piątą. Dzięki poparciu, jakie ma ze strony polityków i mafii, nie musi się obawiać, że zostanie bez pracy! Dodam przy okazji, że Spitaleri woli zatrudniać zawsze tych samych murarzy

– tak mi powiedział.

– A ponadto tego czy innego Araba, przebywającego u nas przejazdem, bo takiego można wyrzucić bez kłopotu na śmietnik. Dalli Cardillo i Micciché pracują na budowie w Montelusie?

– Nie, gdzie indziej.

– Tym lepiej. Wezwij obu na jutro, jednego na dziesiątą, drugiego na dwunastą, bo może tej nocy nie będzie nam dane za dobrze się wyspać. Nie pozwól im się wykręcić. Jeśli to będzie konieczne, możesz im zagrozić aresztowaniem.

– Zaraz się tym zajmę.

– Doskonale. Ja tymczasem idę do domu. Spotkamy się tutaj o północy i wybierzemy się do Montelusy.

– Rozumiem. Mam włożyć mundur?

– Ani się waż. Najlepiej żeby ten Filiberto wziął nas za opryszków.

W Marinelli, kiedy już siedział na werandzie, wydało mu się, że wyczuwa minimalny powiew chłodu, ale to raczej było pragnienie tego, czego nie dawało ani morze, ani powietrze.

Adelina przyrządziła mu pappanozzę. Cebula i ziemniaki długo gotowane, wyłożone na duży talerz i rozgniecione widelcem na jednolitą masę. Do przyprawienia: oliwa, nieco octu winnego, sól i czarny pieprz świeżo zmielony. Nie zjadł nic więcej, nie chciał się czuć ociężale.

Potem się położył i czytał do jedenastej dobrą powieść kryminalną, której autorzy, szwedzkie małżeństwo, nie omieszkali na każdej stronie, rozwijając intrygę śledczą, nie bez racji atakować socjaldemokrację i rząd.

Montalbano zadedykował w duchu tę powieść tym wszystkim, którzy nie doceniają kryminałów, uważając je za błahe opowiadki.

O jedenastej włączył telewizor. O wilku mowa... „Televigata” transmitowała otwarcie nowego miejskiego schroniska dla psów w Montelusie z udziałem Gerarda Catapano.

Znudziło go to, długo się odświeżał pod prysznicem, po czym wyszedł

z domu.

Dotarł na komisariat kwadrans przed północą. Fazio już czekał. Obaj mieli na sobie lekkie wiatrówki, a pod nimi koszule bez rękawów. Roześmiali się, bo rozbawiło ich, że wpadli na taki sam pomysł. Ktoś, kto w taki skwar ma na sobie wiatrówkę, musi siłą rzeczy budzić podejrzenie, a nawet przekonanie, że jest mu potrzebna do ukrycia pistoletu, zatkniętego za pas albo schowanego w kieszeni.

I rzeczywiście obaj byli uzbrojeni.

– Jedziemy pańskim samochodem czy moim?

– Twoim.

Wystarczyło im niecałe pół godziny, żeby dojechać na plac budowy, znajdujący się już za Montelusą, po stronie starej stacji kolejowej. Zaparkowali samochód i wyszli przed plac budowy, ogrodzony drewnianym płotem, wysokim na dwa metry. Szeroka brama wjazdowa była teraz zamknięta.

– Pamięta pan – spytał Fazio – co tutaj było przedtem?

– Nie.

– Pałacyk Linaresów.

Montalbano zaraz sobie przypomniał tamten klejnocik z drugiej połowy XIX wieku. Zaprojektował go dla rodziny kupieckiej Linares, handlującej siarką, znany architekt Basile, autor Teatro Massimo w Palermo. Potem Linaresowie zbankrutowali, a pałacyk popadł w ruinę. Ale woleli go nie odnawiać, tylko zburzyć i na jego miejscu postawić ośmiopiętrowy budynek. Tak wygląda słynna surowość konserwatora zabytków!

Podeszli do bramy z desek, zajrzeli przez szpary, ale nie dostrzegli żadnego światła. Fazio ostrożnie potrząsnął bramą ze trzy razy.

– Zamknięta z tamtej strony na jakiś drąg.

– Uda ci się tam dostać i otworzyć?

– No pewnie. Ale nie będę przełaził przez płot tutaj, bo tędy może ktoś przejeżdżać. Zajdę od tyłu, przedostanę się do środka, a pan zaczeka na mnie tutaj.

– Uważaj, bo tam może być pies.

– Nie sądzę, już by czekał.

Komisarz zdążył tylko wypalić papierosa, kiedy brama uchyliła się na tyle, żeby zdołał się przez nią przecisnąć.

[1] Dante Alighieri, *Boska komedia*, *Czyściec VI*, w. 76-76, przeł. Edward Porębowicz.

9

Na placu budowy było całkiem ciemno. Po prawej widać było jednak jakiś barak.

– Pójdę po latarkę – powiedział Fazio.

Kiedy wrócił, zamknął bramę, zasunął drąg i rzucił snop światła. Podeszli cicho do drzwi baraku i zobaczyli, że są uchylone. Najwidoczniej Filiberto w tym wielkim upale nie mógł wytrzymać w środku przy zamkniętych drzwiach. Słysząc było jego donośne chrapanie.

– Nie możemy dać mu czasu do namysłu – wyszeptał Montalbano wprost do ucha Fazia. – Nie zapalimy światła, będziemy używać tylko latarki. Ale musimy go śmiertelnie przestraszyć.

– To nie takie trudne – uznał Fazio.

Weszli do środka na palcach. W baraku śmierdziało potem, a opary wina były tak mocne, że można było się upić. Filiberto w kalesonach leżał na polowym łóżku. Wyglądał tak samo jak na zdjęciu z kartoteki policyjnej.

Fazio okrążył łóżko snopem światła. Ubranie stróża wisiało na wbitym w ścianę gwoździu. W baraku stał stół, dwa krzesła, poobijana miednica na żelaznym trójnogu i kanister na wodę. Montalbano sprawdził, czy w nim rzeczywiście jest czysta woda. Potem zdjął po cichu miednicę, trzymając ją w obu rękach podszedł do łóżka i zniemacka chlusnął całą jej zawartość prosto w twarz Filiberta. Ten otworzył oczy, oślepiony latarką Fazia zaraz je zamknął, a potem znów otworzył, osłaniając je sobie ręką.

– Kto tu... kto...

– Ko, ko, ko – odpowiedział Montalbano. – Nie ruszaj się.

I skierował światło na swój pistolet. Filiberto odruchowo podniósł ręce do góry.

– Masz komórkę?

– Mam.

– Gdzie?

– W kurtce.

W tej zawieszonyj na gwoździu. Komisarz wyjął z kieszeni kurtki telefon, rzucił na ziemię i rozgniół obcasem. Filiberto odważył się zadać pytanie:

– Kim jesteście?

– Przyjaciele, Filibè. Wstawaj.

Stróż dźwignął się z łóżka.

– Odwróć się.

Filiberto z rękami podniesionymi i lekko drżącymi odwrócił się twarzą do ściany.

– Czego tu chcecie? Spitaleri zawsze na czas płacił co trzeba.

– Milcz! – nakazał mu Montalbano. – Przeżegnaj się.

I załadował pistolet.

Słyszając ten suchy, metaliczny dźwięk, Filiberto musiał paść na kolana, tak mocno ugięły się pod nim nogi.

– Zlitujcie się! Ja nic nie zrobiłem! Czemu chcecie mnie zabić? – szlochał.

Fazio pchnął go z tyłu i Filiberto upadł na twarz. Montalbano przyłożył mu lufę do karku.

– Słuchaj uważnie – zaczął.

Ale zaraz przerwał.

– Albo umarł, albo zemdłał.

Pochylił się i dotknął tętnicy szyjnej.

– Zemdłał. Posadź go na krześle.

Fazio podał latarkę komisarzowi, dźwignął stróża pod ramiona i uniósł na krzesło. Musiał go przytrzymywać, bo osuwał się na bok. Zauważyli, że zmoczył sobie kalesony, na pewno ze strachu. Montalbano podszedł i uderzył go dłonią mocno w czoło, tak że stróż otworzył oczy. Zamrugął, oprzytomniał i zaraz znowu się rozpłakał.

– Nie zabijajcie mnie, zlitujcie się nade mną!

– Jak odpowiesz na moje pytania, wyprosisz sobie życie – powiedział Montalbano, celując mu z bliska w twarz.

– Odpowiem wam na wszystko. Chętnie odpowiem.

– Kiedy Arab spadł z rusztowania, była barierka ochronna?

– Jaki Arab?

Montalbano przyłożył mu lufę do czoła.

– Kiedy Arab, murarz, spadł...

– Aha, tak, tak, nie, barierki nie było.

– Założyliście ją w niedzielę rano?

– Tak, tak.

– Kto? Ty, Spitaleri i Dipasquale?

– Tak.

– Kto wpadł na ten pomysł, żeby nieżywego Araba oblać winem?

– Spitaleri.

– Teraz uważaj i nie pomyśl się, kiedy będziesz odpowiadał. Rury do tej barierki ochronnej mieliście już na placu?

To pytanie Montalbano uważał za zasadnicze. Od odpowiedzi Filiberta zależała cała reszta.

– Nie, rur nie było. Spitaleri dopiero je zamówił i zaraz przywieźli je tutaj, w niedzielę rano, o szóstej.

Była to najlepsza z możliwych odpowiedzi, takiej właśnie komisarz oczekiwał.

– W jakiej firmie je zamawiał?

– U Ribauda.

– A kto podpisywał odbiór – ty?

– Tak, ja.

Montalbano mógł sobie pogratulować. Nie tylko wszystko trafnie przewidział, ale wreszcie dowiedział się tego, co chciał. Teraz przyszła pora na teatr w teatrze na użytek technika budowlanego.

– Dlaczego nie zwróciliście się do firmy Milluso?

– A skąd ja mam wiedzieć?

– Myśmy już tysiąc razy pouczali Spitaleriego: masz brać wszystko od Millusa! Masz brać od Millusa! A on jak osioł – nie i nie. Chciał nas przechytrzyć. Nic nie rozumiał. Dopiero teraz, kiedy ciebie załatwimy, wreszcie zrozumie.

Przerażony Filiberto zerwał się desperacko na równe nogi. Ale już nie zdążył nic więcej zrobić. Fazio stojący za nim zdzielił go kantem dłoni w kark.

Stróż upadł i leżał bez ruchu.

Wypadli biegiem, zamknęli bramę, wsiedli do samochodu i kiedy Fazio zapuszczał silnik, Montalbano powiedział:

– Widzisz, są jednak sposoby, żeby zdobyć niezbędne informacje.

Więcej już się do siebie nie odzywali.

Kiedy zbliżali się do Vigaty, Fazio stwierdził:

– Odegraliśmy to jak w amerykańskim filmie.

A ponieważ komisarz w dalszym ciągu nie otwierał ust, Fazio spytał:

– Liczy pan, panie komisarzu, ile wykroczeń przy okazji popełniliśmy?

– Lepiej o tym nie myśleć.

– Czy nie jest pan zadowolony z odpowiedzi Filiberta?

– Jestem zadowolony, aż nadto, ale nie w tym rzecz.

– A w czym?

– Nie jestem zadowolony z tego, co zrobiłem.

– Na pewno stróż nas nie rozpoznał.

– Fazio, nie powiedziałem, że popełniliśmy jakieś błędy, powiedziałem tylko, że nie ma się z czego cieszyć.

– Z tego, jak załatwiliśmy Filiberta?

– Właśnie.

– Komisarzu, przecież pan wie, że to przestępca.

– A my kim się okazaliśmy?

– Gdybyśmy nim nie potrząsnęli, nic by nam nie powiedział.

– Czy to wystarczający powód? Raczej dość marny.

Fazio się obruszył.

– A mnie pan wybacz?

– A jak myślisz?

– Spodziewa się pan, że Spitaleri uwierzy w tę bajeczkę, że chcieliśmy ich zmusić do zaopatrywania się u Millusa?

– Miną dwa lub trzy dni, zanim zrozumie, że Firma Milluso nie ma z tym nic wspólnego. Ale te dwa lub trzy dni jego niepewności całkiem nam wystarczą.

– Jednej rzeczy jednak nie rozumiem – powiedział Fazio.

– Jakiej?

– Dlaczego Spitaleri zamawiał te rury na barierkę ochronną u Ribauda, zamiast je przywieźć z własnego magazynu?

– Musiałby w tę sprawę wciągnąć inne osoby z pozostałych budów. A dobrze wiedział, że im mniej ludzi o wszystkim wie, tym lepiej dla niego. Można też z tego wywnioskować, że do firmy Ribauda ma zaufanie.

W nocy świadomość Montalbana, wbrew jego obawom, wołała wypocząć. Dlatego po pięciu godzinach snu komisarz obudził się świeży, jakby spał dziesięć. Bezchmurne niebo wprowadziło go w dobry humor, jednak już od wczesnego ranka panował okropny upał.

Kiedy znalazł się w swoim gabinecie, zadzwonił do sierżanta policji finansowej Alberta Lagany, który już wiele razy mu pomagał.

– Komisarzu! Jaka miła niespodzianka! Co dobrego ma mi pan do powiedzenia?

– Raczej złego, niestety.

– Mimo to proszę mówić, trudno.

– Zna pan firmę Ribauda w Vigacie, która dostarcza materiały budowlane?

Laganà się zaśmiał.

– Znam aż za dobrze! Dostarczają materiały bez rachunków, wymigują się od podatków, podrabiają wykazy płatności... W tych dniach zamierzamy odnowić z nimi znajomość.

No to komisarzowi naprawdę się udało!

– Kiedy zaczniecie kontrolę?

– Za trzy dni.

– Nie możecie tego przyspieszyć i zacząć jutro?

– Jutro święto Wniebowzięcia, *ferragosto*! A co pana u nich ciekawi?

Montalbano wyjaśnił co. Jak też to, na czym mu szczególnie zależy.

– Mam nadzieję, że załatwię to panu pojutrze – obiecał, żegnając się Laganà.

– Panie komisarzu, tutaj jest taki jeden, co się nazywa Falli Fardillo i on mówi, że pan komisarz wezwał go do siebie, bo ma być na dziesiątą rano.

– To zgłoszenie o zamordowanej dziewczynie jest u ciebie?

– Tak, panie komisarzu.

– To mi je przynieś. Potem przyślij do mnie Fazia, a na koniec wprowadź tego pana, co czeka.

Oczywiście Catarella naprzód wprowadził Dallego Cardillo, potem przyniósł wydruk dokumentu, który Montalbano odwrócił i położył na środku biurka, a na koniec poszedł po Fazia.

Pięćdziesięcioletni Dalli Cardillo był krępy, miał krótko ostrzyżone czarne włosy bez śladu siwizny, smagłą cerę i wąsy, jakie w ubiegłym stuleciu noszono w Turcji. Rzucalo się w oczy, że jest zdenerwowany.

Ale któż nie byłby zdenerwowany, gdyby go wezwano na komisariat bez żadnego wyjaśnienia? Chwileczkę. Bez wyjaśnienia? Czyżby Spitaleri jeszcze mu nie powiedział, jak ma się zachować?

– Panie Dalli Cardillo, czy technik budowlany Spitaleri poinformował pana, z jakiego powodu został pan wezwany do nas na przesłuchanie?

– Nie, nic mi na ten temat nie mówił.

Montalbano wyczuł, że nie kłamie.

– Pamiętaj pan, że sześć lat temu pracował pan na budowie przy wznoszeniu nowej willi w Pizzo koło Marina di Montereale?

Murarz, słysząc to pytanie, poczuł taką ulgę, że zdobył się na nikły uśmiech.

– Odkryliście tam lewe piętro?

– W rzeczy samej.

– Ja robiłem tylko to, co mi kazał Spitaleri.

– Przecież ja pana o nic nie oskarżam. Chciałbym tylko uzyskać od pana pewne informacje.

– Jeśli o to chodzi, mogę wszystko wyjaśnić.

– To pan, razem ze swoim kolegą Gasparem Micciché zasypywał ziemią to dolne mieszkanie?

– Tak, my obaj.

– Zawsze pracowaliście razem?

– Nie. Tamtego dnia ja zszedłem z budowy zaraz po dwunastej, a Micciché został dłużej i już resztę kończył sam.

– Dlaczego pan przerwał pracę wcześniej?

– Tak mi kazał Spitaleri.

– To Spitaleri jeszcze wtedy nie wyjechał?

– Wyjechał, ale polecenie wydał nam dzień wcześniej.

– Proszę mi wyjaśnić, w jaki sposób wchodziliście i wychodziliście z tego zasypanego mieszkania?

– Zrobiliśmy coś w rodzaju galerii z desek, takie przejście z przykryciem i nachylonymi ściankami, jak w schronach. W górnej części galeria była już zasypana. A prowadziła do okna dolnej łazienki.

Do tego okna, przez które wpadł Bruno.

– Jak wysoka była ta galeria?

– Była niska. Miała osiemdziesiąt centymetrów. Idąc, trzeba się było

pochylać.

– Jednego nie rozumiem, może pan mi o tym powie. Do czego była potrzebna ta galeria?

– Kazał nam ją zrobić pan Spitaleri. Chciał, żeby kierownik budowy wciąż kontrolował, czy usypywana wokół willi ziemia nie uszkodzi czegoś swoim ciężarem w mieszkaniu, czy na przykład nie będzie tam przeciekać woda albo coś w tym rodzaju.

– Kierownikiem budowy był Dipasquale?

– Tak.

– I przyjeżdżał na kontrolę?

– Tak, przyjechał pod koniec pierwszego dnia zasypywania i powiedział, żeby sypać dalej, bo wszystko jest w porządku.

– Ostatniego dnia także tam był?

To Fazio wtrącił się z tym pytaniem.

– Rano, dopóki tam pracowałem, jeszcze się nie pokazał. Może przyjechał po południu, ale o to spytajcie Miccichègo.

– Jeszcze mi pan nie wytłumaczył, dlaczego odjechał pan stamtąd wcześniej.

– Bo już nie było prawie nic do roboty. Trzeba było tylko zabić deskami i zasłonić folią okno, rozebrać galerię i wyrównać ziemię.

– Zapamiętał pan, że w salonie stał kufer?

– Tak. Kazał go wnieść pod ziemię właściciel, nie pamiętam teraz, jak się nazywał. Wnosiłem go ja i niejaki Smecca.

– Kufer był pusty?

– Całkiem pusty.

– To tyle, dziękuję, może pan iść.

Dalli Cardillo nie wierzył własnym uszom.

– Miłego dnia wszystkim!

I zaraz uciekł.

– Wiesz, dlaczego Spitaleri nie uprzedził go i nie poinstruował? – spytał

Montalbano.

– Nie wiem.

– Bo jest przebiegły, ten nasz technik budowlany. Wie, że Dalli Cardillo nie ma jeszcze pojęcia o odkryciu zwłok. Dlatego uznał, że będzie lepiej o niczym go nie uprzedzać, bo i tak nie będzie miał nam nic do powiedzenia.

Gaspere Miccichè, czterdziestolatek, miał ryże włosy i najwyżej metr czterdzieści wzrostu. Miał też bardzo długie ręce i krzywe nogi. Wyglądał jak szympan. Gdyby Darwin mógł go zobaczyć, z pewnością uściskałby go ze szczęścia. Po tej galerii z desek mógł chodzić tylko nieco schylony. On także był dość niespokojny.

– Cały dzień pracy muszę przez was stracić!

– Panie Miccichè, domyśla się pan, po co pana tu wezwaliśmy?

– Nie muszę się domyślać, bo dobrze wiem. Powiedział mi Spitaleri, zanim tu przyszedłem. To przez to zasrane tajne mieszkanie.

– Technik Spitaleri nie powiedział panu nic więcej?

– A o co chodzi? Co miał mi jeszcze powiedzieć?

– Proszę pana, wtedy, dwunastego października, ostatniego dnia pracy, o której godzinie zszedł pan z budowy?

– To nie był ostatni dzień. Ja jeszcze tam wróciłem następnego dnia.

– Po co?

– Żeby dokończyć, czego nie zrobiłem dzień wcześniej po południu.

– Proszę to lepiej wyjaśnić.

– Dzień wcześniej po południu zabierałem się już do nakazanej mi roboty, ale przyjechał Dipasquale, kierownik budowy, i powiedział, żebym jeszcze nie rozbierał galerii.

– Dlaczego?

– Powiedział, że lepiej jeszcze dzień zaczekać, bo się sprawdzi, czy tam jednak nic nie przecieka. I jeszcze mówił, że także właściciel chce po południu tam wejść i sam wszystko skontrolować.

– I co pan wtedy zrobił?

– A co miałem zrobić? Poszedłem do domu.

– I co dalej?

– Wieczorem, gdzieś po dziewiątej, zadzwonił do mnie Dipasquale i powiedział, że jutro rano mogę galerię rozebrać. Kiedy przyszedłem do roboty, zabiłem okno deskami, założyłem folię i rozebrałem całą galerię. Kiedy już zacząłem zasypywać wejście nad ziemią, przyjechało trzech robotników z innej budowy.

– Z jakiej grupy?

– Z tej, co miała rozebrać całe rusztowanie wokół willi. Potem obszedłem willę dwa razy z niwelatorem i...

– Co to takiego ten niwelator? – spytał Fazio.

– To taka poziomica optyczna, jak te używane przy budowie dróg.

– Taka wyrównująca?

– Tak, ale dużo mniejsza. Kiedy skończyłem, wróciłem do domu.

– Z tym niwelatorem?

– Nie, ten niwelator mieli zabrać na ciężarówkę tamci z tej innej grupy.

– Pamięta pan, czy tamtego ranka, trzynastego października, miał pan okazję wejść jeszcze do mieszkania?

– Spitaleri także mnie o to pytał. Nie, nie wchodziłem, po co miałbym wchodzić.

Gdyby wszedł, zobaczyłby przynajmniej kałużę krwi w salonie. Pewnie rzeczywiście nie wchodził, mówił szczerze.

– Widział pan, że tam stał kufer?

– Widziałem, kazali go wnieść...

– Kazał go wnieść pan Speciale. Otwierał go pan?

– Kufer? A po co? Wiedziałem, że jest pusty. Po co miałem otwierać?

Montalbano bez słowa wziął z biurka zgłoszenie zaginięcia, podał murarzowi.

Miccichè popatrzył na zdjęcie zamordowanej dziewczyny, przeczytał jej

dane, zwrócił kartę komisarzowi... Był wyraźnie poruszony.

– Co się z nią stało?

Wtedy zaczął mówić Fazio.

– Gdyby otworzył pan kufer tamtego ranka, trzynastego października, znalazłby ją pan w środku. Leżała tam z podciętym gardłem, zapakowana w folię.

Miccichè nie zareagował na te słowa tak, jak można się było spodziewać. Zerwał się z krzesła, twarz miał siną, zaciśnięte pięści, wyszczerzone zęby. Jak dzikie zwierzę. Montalbano tylko czekał, aż wskoczy mu na biurko.

– Łajdak! Skurwysyn!

– Kto?

– Spitaleri! Wiedział o tym i nic mi nie powiedział! Już z tego, jak ze mną rozmawiał, mogłem się domyślić, że chce mnie w coś zrobić!

– Niech pan siada, niech się pan uspokoi. Dlaczego pana zdaniem Spitaleri chciał pana zrobić?

– Żeby się wydawało, że to ja zamordowałem tę dziewczynę. A przecież, kiedy ja odchodziłem, to w Pizzo został jeszcze Dipasquale! I o całej tej historii nic, ale to nic nie wiem.

– Widywał pan czasami tę dziewczynę w pobliżu budowy?

– Nie, nigdy!

– Kiedy pan wyszedł z pracy dwunastego października, pamięta pan, co pan robił?

– Jak mogę to pamiętać? Minęło sześć lat!

– Proszę wysilić pamięć, panie Miccichè. To naprawdę leży w pana interesie – oświadczył Fazio.

Miccichè znowu miał napad wściekłości. Podskoczył i zanim Fazio zdążył go zatrzymać, pobiegł do drzwi i z całej siły walnął w nie pięścią. Kiedy Fazio sadowił go siłą na krzesło, drzwi się otworzyły, stanął w nich zaniepokojony Catarella.

– Panie komisarzu, pan mnie wzywał?

10

Fazio i Montalbano musieli użyć mocnych słów, popartych groźbami, pobłyskiwaniem i pobrząkiwaniem kajdankami, żeby uciszyć rozwścieczone zwierzę. W końcu Miccichè, który od pięciu minut siedział już spokojnie z głową opartą na rękach i koncentrował się, żeby sobie tamte dawne wydarzenia przypomnieć, zaczął mamrotać:

– Poczekajcie... Poczekajcie...

– Od tego szoku chyba wraca mu z wolna pamięć – powiedział szeptem Montalbano do Fazia.

– Poczekajcie... chyba to było właśnie tego dnia... Tak... Tak...

Zerwał się znowu na równe nogi, tak że Montalbano i Fazio musieli go znowu złapać i unieruchomić. Już mieli w tym wprawę.

– Co wy, co wy? Chciałem tylko zadzwonić do żony!

– A jeśli o to panu chodzi... – powiedział komisarz.

Fazio podsunął mu telefon. Miccichè wystukał numer, tylko że trzęsły mu się ręce, więc zaraz się pomylił.

– Pomogę panu – powiedział Fazio.

Miccichè podał mu swój numer domowy, a sam trzymał słuchawkę w ręku.

– Carmelina? To ja. Pamiętasz, jak to było sześć lat temu, kiedy nasz synek Michilino złamał sobie nogę? Nie zwracaj mi głowy, po co cię o to pytam, tylko mi odpowiedz tak albo nie. No to pamiętasz? To było sześć lat temu. Przypomnij sobie. Sześć lat temu. Czy nie było to dwunastego października? Tak?

Zakończył rozmowę.

– Teraz już wszystko mi się przypomniało. Ponieważ wróciłem do domu

wcześnie, położyłem się i zdrzemnąłem. Ale obudziła mnie Carmelina, bo płakała. Michilino spadł z roweru i złamał nogę. Zawiozłem go od razu do szpitala w Montelusie. Żona pojechała ze mną. Siedzieliśmy w szpitalu do wieczora. Możecie to sprawdzić.

– Na pewno to zrobimy – obiecał Fazio.

Popatrzyli z Montalbanem na siebie.

– Może pan na razie iść – powiedział komisarz.

– Dziękuję. Idę skuć mordę Spitaleriemu, nawet jak stracę przez to pracę.

I wyszedł z gabinetu komisarza, zgrzytając zębami.

– Jakby uciekł z klatki w zoo – zauważył Fazio.

– Dlaczego twoim zdaniem Spitaleri nic mu nie powiedział o zabójstwie? – spytał go komisarz.

– Dlatego, że wyjechał i nie mógł wiedzieć, że syn Miccichègo złamał nogę. Wykalkulował sobie, że Miccichè nie ma alibi.

– Czyli Miccichè trafnie wyczuł, że Spitaleri chce go w to zrobić. Tylko dlaczego?

– Może dlatego, że podejrzewa o to Dipasqualego. A Spitaleriemu na Dipasqualem zależy bardziej niż na Miccichèm, bo kierownik jego budów wie o nim znacznie więcej niż ten nieszczęśnik.

– Pewnie tak.

– Co robimy? Mam znowu wezwać Dipasqualego?

– Masz co do tego wątpliwości?

Od tej chwili także kierownik budów Dipasquale zaczął być brany pod uwagę jako podejrzany.

Zanim wyszedł na obiad do traktierni Enza, zatrzymał się przy stanowisku Catarelli, a ten od razu stanął na baczność.

– Spocznij. Jak się skończyło z tymi wentylatorami?

– Nie ma wentylatorów, panie komisarzu. Chociaż nawet w Montelusie nie ma. Opowiadają tak, że za trzy albo i cztery dni wszędzie przyjdą.

Catarella odprowadził komisarza do wyjścia, a potem jeszcze długo patrzył za nim.

Żar, jaki buchnął z wnętrza samochodu, ledwo Montalbano uchylił drzwi, odebrał mu chęć wsiadania do środka. Chyba lepiej pójść pieszo aż do traktierni Enza, zabierze mu to tylko kwadrans, i można cały czas iść chodnikiem w cieniu. Ruszył przed siebie.

– Panie komisarzu, co z panem, chce pan iść piechotą?

– No tak.

– Proszę chwileczkę zaczekać.

Catarella skoczył do komisariatu i wybiegł z zielonym kaszkietem, który miał długi daszek jak bejsbolówka. Podał go komisarzowi.

– Proszę to włożyć, panie komisarzu, to osłoni głowę pana komisarza.

– Daj spokój!

– Panie komisarzu, złapie pana z nadto udar słoneczny!

– Lepiej dostać udaru niż wyglądać jak weteran wybierający się na zjazd kombatantów...

– Nie pasuje ona do pana, panie komisarzu?

– Dajmy temu spokój.

Po pięciu minutach, kiedy tak szedł przed siebie z pochyloną głową, usłyszał, że ktoś go zagaduje.

– Pan to kupi?

Podniósł wzrok. Pod ścianą stał Arab, który sprzedawał okulary przeciwsłoneczne, słomkowe kapelusze i kostiumy kąpielowe. Jednak uwagę komisarza przyciągnął przedmiot, który handlarz trzymał w ręku. Był to rodzaj przenośnego wentylatora, z pewnością na baterie.

– To bym kupił – powiedział Montalbano, wskazując wentylatorek.

– To jest moje i dla mnie.

– A drugiego nie masz?

– Nie mam.

– A za ten ile chcesz?

– Pięćdziesiąt euro.

Jednak pięćdziesiąt euro to przesada.

– Dam ci trzydzieści.

– Czterdzieści.

Montalbano wręczył mu czterdzieści euro, chwycił wentylatorek i ruszył dalej, trzymając go przy twarzy. Nie do wiary, jak wspaniale chłodził!

Nie chciał się przejechać, więc zamówił tylko drugie danie. Ale dzięki wentylatorce odważył się potem na przechadzkę po moło i nawet na krótką drzemkę na białej skale.

Wentylatorek miał uchwyt, którym komisarz przymocował go do krawędzi biurka. Nie mógł narzekać, miał teraz trochę ulgi w tym dusznym gabinecie.

– Catarella!

– Oraz czego to człowiek nie wymyśli – stwierdził z podziwem Catarella, kiedy zobaczył wentylatorek.

– Jest Fazio?

– Jest, panie komisarzu.

– Zawołaj go.

Także Fazio był zachwycony wentylatorkiem.

– Ile pan zapłacił?

– Dziesięć euro.

Wstydział się przyznać, że zapłacił czterdzieści.

– Gdzie go pan kupił? Może bym się tam przeszedł.

– To był Arab, który nawinął się przypadkiem. Miał zresztą tylko ten jeden.

Zadzwoił telefon.

Dzwonił doktor Pasquano. Komisarz włączył zewnętrzny głośnik, żeby Fazio także mógł słuchać.

– Montalbano, dobrze się pan czuje?

– Nieźle. Dlaczego pan pyta?

– Ponieważ nie zirytował mnie pan jak zwykle od samego rana, zacząłem się niepokoić.

– Skończył pan sekcję?

– A po co bym do pana dzwonił? Żeby usłyszeć pana melodyjny głos, który tak uwielbiam?

Skoro dzwonił, na pewno wykrył coś ważnego.

– Słucham, panie doktorze.

– Otóż, po pierwsze, ta mała wszystko strawiła, ale jeszcze nie wydzieliła tego, co zjadła. Wobec tego została zabita gdzieś o szóstej po południu albo gdzieś o jedenastej wieczór.

– Myślę, że o szóstej po południu.

– Niech pan myśli, co chce.

– I coś jeszcze?

Doktorowi Pasquano było trudno powiedzieć to, co miał jeszcze do powiedzenia.

– Pomyliłem się.

– W czym?

– Mała była dziewicą. Mogę dać za to głowę.

Montalbano i Fazio popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

– Co by to mogło znaczyć? – spytał komisarz.

– Nie wie pan, co to takiego dziewictwo? Więc powinien pan wiedzieć, że kobiety, które jeszcze nie miały...

– Pan dobrze rozumie, o co mi chodzi, panie doktorze.

Montalbano nie miał ochoty na żarty. Pasquano nie odezwał się.

– Jeżeli dziewczyna zmarła jako dziewica, to z tego wynika, że przyczyną śmierci było co innego, niż myśleliśmy.

– Z pana to istny mistrz olimpijski, wie pan?

Montalbano rozzłościł się.

– Proszę mówić jaśniej.

– Pan jest mistrzem w biegu na sto metrów.

– Dlaczego?

– Bo pędzi pan bardzo szybko, drogi przyjacielu. To nic nie daje. To nie pańska specjalność, takie tempo. Za szybko chce pan dopaść rozwiązania. Co się z panem dzieje?

– Ze mną? Po prostu się starzeję – skonstatował z goryczą komisarz – dlatego chcę szybko zamknąć to śledztwo, które nie daje mi spokoju.

– A zatem – ciągnął Pasquano – mam pewność, że dziewczyna w momencie, kiedy została zamordowana, stała w takiej pozycji, jaką już panu opisałem.

– To teraz musi mi pan wytłumaczyć, po co zabójca tak ją ustawił, rozebraną, jeżeli nie po to, żeby z niej skorzystać?

– Nie znaleźliśmy jej ubrania, więc nie wiemy, czy zabójca zmusił ją do rozebrania się przed zabiciem, czy po zabiciu ją rozebrał. W każdym razie, ubranie nie gra tutaj większej roli, mój drogi Montalbano.

– Tak pan mówi?

– Z całą pewnością! Jak też nie gra większej roli to, że ją zapakował w folię i zamknął w kufrze.

– Nie zrobił tego, by ją ukryć?

– Montalbano, widzę, że pan naprawdę traci formę.

– To pewnie starość, drogi doktorze.

– Jakże to? Zabójca zadaje sobie trud, żeby upchnąć zwłoki w kufrze, a dwa metry dalej zostawia kałużę krwi wielką jak jezioro!

– No to dlaczego, pana zdaniem, włożył ciało do kufra?

– Po tych wszystkich zabójstwach, jakie przeszły przez pańskie ręce, pytamnie pan o coś takiego? Drogi komisarzu, chciał ją ukryć przed samym sobą, nie przed nami! To jest jak usunięcie przeszkody. W sensie dosłownym i natychmiastowo.

Pasquano miał rację.

Iluż to zbrodniarzy czy przypadkowych zabójców od razu zasłaniało przed sobą widok ofiary, zwłaszcza gdy była to kobieta, kładąc jej na twarz cokolwiek, chustkę, ręcznik, prześcieradło.

– Pan powinien wychodzić od jednego stałego punktu, jaki mamy – ciągnął doktor – czyli od pozycji, w jakiej stała dziewczyna, kiedy zabójca podrzynał jej gardło. Jeśli pan się chwilę zastanowi, zobaczy pan...

– Rozumiem, co chce pan przez to powiedzieć.

– Jeśli pan to wreszcie zrozumiał, proszę się tą wiedzą ze mną podzielić.

– Może zabójca w ostatniej chwili nie był już w stanie jej zgwałcić i wściekły wyciągnął z kieszeni nóż.

– Który, jak to nam wyjaśniają psychoanalitycy, zastępuje członek. Świetnie.

– Zdałem egzamin?

– Na pozór. Bo można też wysunąć inne przypuszczenie – odpowiedział Pasquano.

– Jakie?

– Że morderca uciekł się do sodomii.

– Boże! – wyszeptał Fazio.

– Jakże to? – obruszył się komisarz. – Każe mi pan gadać głupstwa, a na koniec oznajmia łaskawie coś, co powinien był pan powiedzieć mi w pierwszych słowach?

– Bo nie jestem tego pewien na sto procent. Nie mogłem tego bezspornie ustalić. Za dużo czasu minęło. Ale na podstawie pewnych nieznaczących oznak skłaniałbym się właśnie do takiej hipotezy. Powtarzam: skłaniałbym się – tryb warunkowy.

– Więc nie ma pan pewności, czy wolno nam tryb warunkowy zamienić na przeszły dokonany?

– Szczerze mówiąc, nie.

– Nie ma tego złego, co by nie mogło być jeszcze gorsze – stwierdził z goryczą Fazio, kiedy komisarz odłożył słuchawkę.

Montalbano milczał zamyślony, a Fazio mówił dalej:

– Panie komisarzu, pamięta pan, co mi pan obiecał? Że kiedy go złapiemy, rozwali mu pan łeb.

– Tak, chciałbym. Dziś to potwierdzam.

– I weźmie mnie pan ze sobą? Będę świadkiem tego święta?

– Chętnie cię na tym święcie zobaczę. Wezwałeś Dipasqualego?

– Dzisiaj na szóstą, bo wtedy schodzi z placu budowy.

Kiedy Fazio wychodził z gabinetu, znowu zadzwonił telefon.

– Pan komisarz? Tak tu się stało, że przy telefonie jest prokurator Tommaseo.

– Połącz mnie z nim.

– Ty też go posłuchaj – powiedział komisarz do Fazia, nastawiając zewnętrzny głośnik.

– Montalbano?

– Pan prokurator?

– Pragnę pana zawiadomić, że udałem się do państwa Morreale, by im zakomunikować tę smutną wiadomość.

Mówił głosem zboląłym i wzruszonym.

– Jak dobrze, że pan to zrobił, panie prokuratorze.

– Ale to było straszne, powiem panu.

– Mogę sobie wyobrazić.

Tommaseo koniecznie chciał mu opowiedzieć, jaką drogę krzyżową przeszedł.

– Biedna pani Francesca, matka dziewczyny, zemdląca. A ojciec, jeszcze to widzę, zaczął krążyć po domu, wyrzucając z siebie potok słów i w końcu nie był w stanie utrzymać się na nogach.

Tommaseo czekał na komentarz Montalbana i doczekał się:

– Współczuję im! Biedni ludzie!

– Przez te długie lata ciągle mieli nadzieję, że ich córka gdzieś żyje... Wie

pan, jak to mówią? Że nadzieja...

– ...umiera ostatnia – dokończył Montalbano, wychodząc mu raz jeszcze naprzeciw za pomocą tego wyświechtanego frazesu.

– Otóż to, drogi Montalbano.

– Nie byli więc w stanie podjąć się rozpoznania zwłok?

– Ale do rozpoznania jednak doszło! Zmarła to rzeczywiście Morreale Caterina!

Montalbano i Fazio popatrzyli na siebie zaskoczeni. Dlaczego Tommaseo zaczął nagle mówić ożywionym głosem, jakby chodziło o coś radosnego? Przecież nie było tu miejsca na wesołość.

– Osobiście towarzyszyłem Adrianie, wiozłem ją w swoim samochodzie – ciągnął Tommaseo.

– Proszę mi wybaczyć, ale kto to taki, Adriana?

– No jakże, kto? Przecież powiedział mi pan, że ofiara miała siostrę bliźniaczkę.

Montalbano i Fazio popatrzyli na siebie z niedowierzaniem. Co on mówi? Chce się odwzajemnić komisarzowi za tamten żart?

– Miał pan rację – ciągnął Tommaseo podnieconym głosem, jakby wygrał los na loterii. – To naprawdę wspaniała dziewczyna!

Więc stąd ta radość w głosie!

– Studiuje medycynę w Palermo, wie pan? A przy tym ma silny charakter, chociaż, prawdę mówiąc, trochę się załamała i musiałem ją wspierać na duchu.

Można sobie wyobrazić, z jaką gorliwością prokurator Tommaseo wspierał tę dziewczynę w sobie właściwy sposób. Pożegnali się i komisarz odłożył słuchawkę.

– To niemożliwe, wprost niesłychane! – wykrzyknął Fazio. – Panie komisarzu, pan musiał wiedzieć o tej siostrze bliźniaczce!

– Przysięgam ci, że nic nie wiedziałem. Ale dla nas najważniejsze, że istnieje, że dowiedzieliśmy się o niej. Z pewnością zamordowana siostra

zwierzała się jej ze swoich spraw. Zadzwoń do rodziny Morreale i spytaj, czy mogę ich odwiedzić jutro rano, koło dziesiątej?

– Nawet w święto Wniebowzięcia?

– Nie ruszą się tego dnia z domu. Mają przecież żałobę.

Fazio wyszedł i po pięciu minutach wrócił.

– Musi pan wiedzieć, że telefon odebrała sama Adriana. Powiedziała mi, że może będzie lepiej, żeby nie przyjeżdżał pan do nich do domu, bo rodzice są naprawdę w złym stanie. Trudno by im było o tej sprawie mówić. Zaproponowała, że sama przyjedzie na komisariat jutro rano o tej godzinie, o której pan mówił.

Czekając na Dipasqualego, zadzwonił do agencji „Aurora”.

– Pan Callara? Tu Montalbano.

– Coś nowego, panie komisarzu?

– Nie, ja o niczym nowym nie wiem. A pan?

– Ja natomiast wiem.

– Założę się, że zawiadomił pan panią Gudrun Speciale o odkryciu tego nieszczęsnego piętra.

– Zgadł pan! Zadzwoń do niej, kiedy już się trochę pozbierałem po tym straszliwym ciosie, jakim było dla mnie otwarcie kufra. Przeklinam swoją ciekawość!

– Cóż tu można poradzić, panie Callara? Sprawy tak się potoczyły, jak się potoczyły.

– Zawsze byłem wprost nieznośnie ciekawy! Muszę panu powiedzieć, że pewnego razu, kiedy jeszcze byłem całkiem mały...

Brakowało tylko dziecięcych wspomnień pana Callary!

– Wspominał pan, że telefonował do pani Gudrun...

– A, tak, ale nie powiedziałem jej nic o tej biednej dziewczynie zamordowanej w jej domu.

– To dobrze. A co pani Gudrun postanowiła?

– Upoważniła mnie do złożenia prośby o uznanie stanu faktycznego, to znaczy do przygotowania stosownego podania, które ona podpisze.

– Tak będzie najlepiej.

– Jednak w faksie, który od niej dostałem, było też napisane, że potem udzieli mi pełnomocnictwa do sprzedaży domu. I wie pan, co mi przyszło do głowy? Że chyba mógłbym sam kupić tę willę. Co pan na to?

– To pan jest specjalistą od sprzedaży nieruchomości, nie ja. Sam pan wie, jak należy postąpić. Teraz niestety muszę pana pożegnać.

– Chwileczkę. Chcę panu jeszcze coś powiedzieć. Szczerze odradzałem jej sprzedaż willi...

Bo też, prawdę mówiąc, gdyby pani Gudrun sprzedała willę, to pan Callara straciłby, bądź co bądź swój procent od jej wynajmu.

– ...ale ona odpowiedziała mi, że nie chce już o tej willi słyszeć.

– Spytał ją pan, dlaczego?

– Spytałem, oczywiście. Powiedziała, że mi o tym napisze. I właśnie dzisiaj rano otrzymałem faks z jej wyjaśnieniem, dlaczego chce się willi pozbyć. Ten faks może pana zainteresować.

– Mnie?

– Tak, właśnie pana. Píše w nim, że jej syn, Ralf, nie żyje.

– Jak to się stało?

– Píše, że znaleźli jego szczątki przed miesiącem.

– Szczątki? Zatem to dawna sprawa?

– Tak, panie komisarzu. Ponieważ Ralf zginął, kiedy wracał do Kolonii razem z panem Speciale. Dołączyła nawet wycinek z niemieckiej gazety z tłumaczeniem.

– Kiedy może mi pan to przekazać?

– Dzisiaj wieczór, po zamknięciu agencji. Przejeżdżam obok was, więc zostawię strażnikowi.

Jak się to stało, że potrzebowali aż sześciu lat, żeby znaleźć te drugie zwłoki, czy też to, co się z nich zachowało?

11

Spojrzenie Dipasqualego, wchodzącego do gabinetu komisarza, było jeszcze bardziej ponure niż poprzednio.

– Proszę usiąść.

– To długo potrwa?

– Ile będzie trzeba. Panie Dipasquale, zanim zaczniemy mówić o willi w Pizzo, skorzystam z pana obecności, żeby spytać, jak i kiedy można się skontaktować ze stróżem z waszej budowy w Montelusie?

– Ciągłe w sprawie tego przykrego wypadku z Arabem? Ciągłe to samo? A przecież komisarz Lozupone już...

Montalbano udał, że nie usłyszał wzmianki o koledze.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie mam go szukać. Chcę też raz jeszcze usłyszeć jego imię i nazwisko. Już mi je pan wymieniał, ale zapomniałem, a nie pomyślałem, żeby je zapisać. Fazio, zanotuj.

– Piszę, panie komisarzu.

Nie wypadło to źle, jak na improwizowaną scenkę.

– Panie komisarzu, sam zawiadomię stróża, że chce pan z nim rozmawiać. Nazywa się Attanzio Filiberto.

– Chciałbym jeszcze wiedzieć, proszę nie mieć mi tego za złe, jak się z nim kontaktujecie, kiedy plac budowy jest zamknięty?

– Stróż ma komórkę.

– Może mi pan podać jej numer?

– Popsuła mu się. Zeszłej nocy... a może rano. Upadła mu na ziemię i rozleciała się.

– Dobrze, wobec tego proszę go zawiadomić.

– Ma się rozumieć. Ale uprzedzam pana, że w najbliższych dwóch, trzech

dniach nie będzie mógł tu przyjść.

– Dlaczego?

– Ma atak malarii.

Stróż musiał być porządnie wykończony.

– Zrobimy tak. Proszę mu powiedzieć, że kiedy się pozbiera, niech tu do nas zadzwoni. A teraz zmieniamy temat. Wezwałem pana na dzisiaj, ponieważ rano przesłuchałem dwu murarzy, którzy pracowali w willi w Pizzo, Dalli Cardilla i Miccichègo...

– Panie komisarzu, szkoda czasu, już wiem, co tu się działo.

– Kto panu powiedział?

– Spitaleri. Miccichè wpadł do jego biura jak wariat i tak go trzasnął w twarz, że uszkodził mu nos. Był przekonany, że Spitaleri chce go zrobić. Jego powinno się trzymać razem z dzikimi zwierzętami. Teraz może iść, gdzie go oczy poniosą i żebrać. Pracy murarza na pewno nigdzie nie dostanie.

– Są jeszcze inne budowy, nie tylko Spitaleriego – powiedział Fazio.

– Tak, ale wystarczy jedno słowo, moje albo Spitaleriego...

– ...żeby wylądował na bruku?

– Tak myślę.

– Wezmę pod uwagę to, co pan przed chwilą powiedział i wyciągnę z tego konsekwencje – rzekł Montalbano.

– Co to znaczy? – pytał wystraszony Dipasquale.

Bardziej niż niejasna groźba, zaniepokoiło go, że komisarz wypowiedział to zdanie poprawną włoszczyzną, nie po sycylijsku.

– Przed chwilą w naszej obecności oznajmił pan, że postara się, aby Miccichè został bez pracy. Czyli zagroził pan świadkowi.

– Świadcowi? A o czym on może zaświadczyć? Najwyżej o tym, że gówno to gówno.

– Proszę się liczyć ze słowami!

– W każdym razie ja mu nie grożę z powodu jego zeznań, tylko z powodu

jego napaści na Spitaleriego.

Kierownik budowy okazał się bystry i cwany.

– Zostawmy na razie te rozważania. Spitaleri oświadczył nam, że prace w willi w Pizzo zakończyły się dwunastego października. Pan to potwierdził. Tymczasem prace zakończyły się następnego dnia rano, jak zeznał Miccichè.

– Co to ma za znaczenie?

– Pozwoli pan, że sami ustalimy, co ma dla nas znaczenie, a co nie. Spitaleri nie mógł o tym wiedzieć, że prace się przedłużyły, bo już wyjechał, ale pan dobrze o tym wiedział, prawda?

– Owszem.

– A nawet sam pan o tym zdecydował, prawda?

– Owszem.

– Dlaczego pan nam o tym nie powiedział?

– Bo nie pamiętałem.

– Czyżby?

– Zresztą pan także poprzednim razem nie powiedział mi o zamordowanej dziewczynie.

Sukinsyn postanowił przejść do kontraktaku.

– Dipasquale, my się tutaj nie bawimy w ten sposób, że jak ty mi powiesz jedno, to ja ci powiem drugie. W każdym razie, kiedy pan tu przyszedł, na pewno już dobrze wiedział o zamordowanej, bo powiedział panu o niej Spitaleri. A udawał pan, że nic nie wie.

– A z jakiej racji miałem wam mówić? Nic nie mówiłem.

– Niezupełnie! Jedno nam pan powiedział.

– Niby co?

– Chciał pan zapewnić sobie alibi. I powiedział pan, że Spitaleri na cztery dni przed zakończeniem prac w Pizzo, posłał pana do Feli, żeby pan zorganizował nowy plac budowy. Więc jak to się stało, że pan jedenastego i dwunastego października, zawsze po południu, przebywał w Pizzo, a nie w Feli?

Dipasquale nawet nie próbował się wykręcać.

– Musi mnie pan zrozumieć, panie komisarzu. Bardzo mnie to poruszyło, co powiedział Spitaleri o zwłokach. I wtedy wymyśliłem tę historyjkę, że on wysłał mnie do Feli. Ale i tak spodziewałem się, że wcześniej czy później odkryjecie, że było to kłamstwo.

– Proszę nam wobec tego opowiedzieć dokładnie, jak było w rzeczywistości.

– Po pracy, jedenastego, wszedłem sam do tego przeklętego mieszkania. Chciałem sprawdzić, czy nie ma tam wilgoci albo jakichś zacieków. Wchodziłem też do salonu, ale nie zobaczyłem niczego szczególnego.

– A następnego dnia, dwunastego?

– Jeszcze tam po południu wróciłem. Poleciałem Miccichèmu, żeby nie rozbierał galerii. On poszedł do domu, a ja poczekałem z pół godziny na pana Speciale.

– Wtedy także zszedł pan sprawdzić?

– Tak. I wszystko było w porządku.

– Także w salonie? – spytał Fazio.

– Także w salonie.

– I co dalej?

– W końcu pan Speciale przyjechał.

– Czym?

– Samochodem. Wynajął sobie auto, kiedy tu przyjechał.

– Był z nim także pasierb?

– Był.

– O której to było?

– Chyba koło czwartej.

– Zeszliście na dół?

– Zeszliśmy wszyscy trzej.

– Jak sobie poradziliście ze światłem?

– Ja miałem mocną latarkę. A Speciale przywiózł sobie swoją. Pan

Speciale wszystko dokładnie skontrolował, bo to był człowiek uparty i skrupulatny, a potem go spytałem, czy już możemy zlikwidować przejście i narzucić ziemię, i on mi odpowiedział, że tak trzeba zrobić. Rzuciłem okiem raz jeszcze i wyszliśmy z panem Speciale na dwór. Pożegnaliśmy się i ja pojechałem do domu.

– A Ralf?

– Chłopak zabrał ojczymowi latarkę i został pod ziemią.

– Po co?

– Nie wiem. Pamiętam tylko, że lubił siedzieć pod ziemią. Oglądał opakowane okna i śmiał się. Już panu mówiłem, że to był wariat.

– Słowem, pan odjechał, a pan Speciale i Ralf zostali w Pizzo?

– Owszem, zostawiłem ich tam. Pan Speciale miał klucze od tego górnego mieszkania, gdzie już można było mieszkać.

– Pamięta pan, która to mogła być, kiedy pan odjechał?

– Prawie piąta.

– Dlaczego zatem dał pan znać Miccichèmu, że może rozebrać galerię dopiero o dziewiątej wieczór?

– Dzwoniłem do niego chyba ze trzy razy, ale nikt nie odbierał! Dopiero wieczorem zastałem go w domu!

Wszystko się zgadzało. Miccichè z żoną spędzili popołudnie w szpitalu w Montelusie.

– I co pan robił, kiedy pan wyjechał z Pizzo?

Dipasquale o mało się nie roześmiał.

– Chodzi o alibi?

– Jeśli je pan ma, tym lepiej dla pana.

– Mam alibi. Pojechałem do biura Spitaleriego. Między szóstą a ósmą miał dzwonić do sekretarki i do mnie.

– Przecież jeszcze nie doleciał do Bangkoku! – powiedział Fazio.

– Owszem, nie doleciał. Ale samolot lądował po drodze w jakimś mieście, nie wiem teraz, jak się nazywało. Spitaleri o tym wiedział, zna tę linię, często

nią lata.

– I zadzwonił?

– Owszem.

– To był jakiś ważny telefon?

– Dość ważny. Chodziło o przetarg. Gdyby został nam przyznany, miałem się tymi sprawami od razu zająć.

„To znaczy, na przykład pójść i porozdzielać łapówki rodzinom Sinagra i Cuffaro, burmistrzowi i komu tam jeszcze” – pomyślał komisarz, ale się nie odezwał.

– Pytam teraz z czystej ciekawości, i co, rozstrzygnięto ten przetarg? – wtrącił się Fazio.

– Dwunastego jeszcze nie było decyzji. Rozstrzygnięto go czternastego.

– I przyznano wam? – spytał znowu Fazio.

– Owszem.

Jakżeby inaczej.

– Daliście o tym znać Spitaleriemu?

– Zawiadomiliśmy go następnego dnia. Zadzwoniliśmy do hotelu w Bangkoku.

– My, to znaczy kto?

– Sekretarka i ja. Na koniec wam powiem, że jeśli chcecie wiedzieć, co się działo w Pizzo, kiedy już stamtąd odjechałem, musicie zadzwonić do Niemiec, do pana Speciale.

– Nie wie pan, że on już nie żyje?

– Miał udar?

– Nie, spadł ze schodów we własnym domu.

– No to możecie jeszcze spytać Ralfa.

– Ralf także nie żyje. Dowiedziałem się o tym pół godziny temu.

Dipasquale wydawał się zbity z tropu.

– Jak to... czemu?

– Wsiadł do pociągu razem z ojczymem, ale nigdy nie dojechał do Kolonii. Chyba w nocy wypadł z wagonu.

– Ta willa w Pizzo naprawdę jest przeklęta! – stwierdził poruszony kierownik budowy.

„Komu to pan mówi!” – pomyślał Montalbano.

Wziął z biurka kartę z fotografią dziewczyny i podał ją Dipasqualemu. Ten popatrzył na fotografię i zrobił się czerwony na twarzy.

– Zna ją pan?

– Znam. To jedna z tych bliźniaczek, które mieszkały w Pizzo, w ostatnim domu przed dojazdem do willi.

Wyjaśniło się tym samym, dlaczego zaginięcie dziewczyny zgłoszono w Fiacce! Wtedy Montereale podlegało tamtejszemu komisariatowi.

– To ta dziewczyna została zamordowana? – spytał Dipasquale, wciąż trzymając kartę ze zdjęciem przed sobą.

– Tak.

– Jestem pewien, że...

– Niech pan mówi.

– Pamięta pan, co panu opowiadałem tamtym razem? To jest ta dziewczyna, którą Ralf napastował na golasa, a Spitaleri ją uratował.

Ale Dipasquale od razu się połapał, że popełnił błąd. Nie pomyślał i niechcący wciągnął w tę sprawę Spitaleriego. Chciał to jakoś naprawić.

– A może się mylę. Chyba to nie ta. Całkiem mi się poplątało. Ta tutaj to bliźniacza siostra tamtej, jestem pewien.

– Często pan te bliźniaczki widywał?

– Nie tak często. Czasami. Po drodze do Pizzo trzeba było przejeżdżać koło ich domu.

– Dlaczego Miccichè mówi, że nigdy jej nie widział?

– Panie komisarzu, murarze musieli stawiać się na budowie o siódmej rano. O tej porze dziewczęta pewnie spały. A wychodzili z pracy o wpół do szóstej, kiedy one były jeszcze na plaży. Tylko ja tamtędy często

przejeżdżałem.

– A Spitaleri?

– On pokazywał się tam bardzo rzadko.

– Dziękuję, może pan iść – zakończył przesłuchanie Montalbano.

– Jak się panu podoba alibi Dipasqualego? – spytał Fazio, kiedy kierownik budowy wyszedł.

– Może być prawdziwe, a może też być naciągane. Podpiera się telefonem do Spitaleriego, a wcale nie wiemy, czy rzeczywiście ktoś z nich do niego telefonował.

– Można by spytać sekretarkę.

– Chyba żartujesz? Sekretarka zrobi i powie to wszystko, co Spitaleri każe jej zrobić i powiedzieć. W przeciwnym razie znajdzie się na bruku. Wszędzie bezrobocie, gdzie znajdzie sobie nową pracę?

– Wygląda na to, że nie ruszyliśmy ani o krok do przodu.

– Mnie także tak się zdaje. Posłuchamy, co nam jutro powie Adriana.

– Może mi pan jeszcze wyjaśnić, dlaczego chce pan rozmawiać z Filibertem?

– Wcale nie mam zamiaru z nim rozmawiać. Chciałem tylko zobaczyć, jak się zachowa Dipasquale. Czy ma jakieś podejrzenia co do nas w związku z tamtą nocą.

– Chyba jeszcze nie wpadli na to, że to mogliśmy być my.

– Ale wcześniej czy później wpadną.

– I co wtedy zrobią?

– Moim zdaniem, nie dadzą tego po sobie poznać. Spitaleri pójdzie poskarżyć się na nas do swoich kochanych protektorów, a oni już coś tam na nas wymyślą.

– Co na przykład?

– Fazio, najpierw poczekajmy, czy skoczą nam do gardła, wtedy będziemy się martwić.

– No słusznie – przyznał Fazio. – Ja w każdym razie idę...

Przerwał mu wystrzał z armaty. To oczywiście strzeliły drzwi, które przy otwieraniu uderzały o ścianę. Catarella stał w nich z podniesioną zaciśniętą pięścią. W drugiej ręce trzymał jakąś kopertę.

– Panie komisarzu, proszę mnie zrozumieć, że tak walnęło. Ale ten list to przynieśli w tej chwili przed chwilą.

– Dawaj list i znikaj, zanim cię zastrzelę.

Była to duża koperta, a w niej dwie strony faksu, który przyszedł z Niemiec i był zaadresowany do agencji Callary.

– Posłuchaj jeszcze tego, Fazio. To informacja o śmierci Ralfa. Faks, obiecany przez Callarę.

Montalbano zaczął głośno czytać.

Szanowny Panie,

Trzy miesiące temu przeczytałam w gazecie tę oto wiadomość w kronice policyjnej i posyłam jej kopię wraz z tłumaczeniem.

Od razu wyczułam, może podpowiedział mi to instynkt macierzyński, że wiadomość dotyczy szczątków mojego biednego Ralfa, na którego tak długo czekałam przez ostatnie lata.

Złożyłam prośbę, żeby dokonano próbki DNA zmarłego i porównano z moim. Niełatwo było otrzymać na to zgodę, musiałam dość długo nalegać.

I wreszcie przed paru dniami przysłano mi wyniki.

Dane ściśle się zgadzają, te szczątki należą bez cienia wątpliwości do mojego biednego Ralfa.

Ponieważ nie znaleziono śladów jego ubrania, policja twierdzi, że Ralf wstał w nocy w czasie podróży pociągiem, by udać się do toalety, ale przez pomyłkę otworzył drzwi na zewnątrz i wypadł na nasyp.

Ta sycylijska willa nie przyniosła nam szczęścia, przez nią zginął mój syn Ralf i zmarł mój mąż Angelo, który po powrocie z Sycylii i po zaginięciu Ralfa nie był już tym samym człowiekiem, co przedtem.

Z tej przyczyny pragnę, aby willa została sprzedana.

Prześlę panu faksem w najbliższych dniach kopie wszystkich dokumentów

dotyczących budowy willi, a więc projekt, zgodę na budowę, wyciąg katastralny i umowę z firmą Spitaleri. Będą Panu potrzebne zarówno do złożenia podania o legalizację budowy, jak i do przyszłej sprzedaży.

Gudrun Walser

Przekład artykułu z kroniki policyjnej brzmiał następująco:

ODKRYTO SZCZĄTKI NIEZNANEGO MĘŻCZYZNY

Przedwczoraj, wskutek pożaru gęstych zarośli, które pokrywały nasyp kolejowy w odległości około 20 km od Kolonii, straż pożarna, wezwana do ugaszenia ognia, odkryła w podziemnym kanale szczątki ludzkie. Nie można było dokonać identyfikacji zmarłego, ponieważ nie znaleziono w pobliżu ubrania ani dokumentów.

Badanie antropologiczne wykazało, że szczątki należą bez wątplenia do młodego mężczyzny i że jego śmierć nastąpiła nie mniej niż pięć lat temu.

– To wypadnięcie z pociągu jakoś nie trafia mi do przekonania – powiedział Fazio.

– Ani mnie. Policja twierdzi, że Ralf wypadł, kiedy szedł za swoją potrzebą do toalety. Szedł goły? A gdyby ktoś spotkał go na korytarzu?

– Co pan o tym myśli?

– No cóż, powiem ci, że to wszystko jest niejasne, nie mamy żadnych dowodów, żadnego potwierdzenia. Może Ralf upatrzył sobie jakąś młodziutką pasażerkę i postanowił, jak to zdaniem Dipasqualego nieraz robił, pobiec za nią goły i ją przytulić. A wtedy może natknął się na męża, ojca czy stryja, który wypchnął go z pociągu.

– Trochę to naciągnięte, żeby pasowało do założenia.

– Ale uważam za możliwe także inne wyjaśnienie. Samobójstwo.

– Tylko dlaczego?

– Wyobraź sobie na przykład, że tamtego popołudnia, dwunastego

października oni obaj, Angelo Speciale i jego pasierb, zostali w Pizzo, jak nam powiedział Dipasquale. I kiedy Angelo wypoczywa na tarasie i ogląda zachód słońca, Ralf idzie na przechadzkę w stronę domu rodziny Morreale. A jak pamiętasz, Dipasquale twierdził, że już kiedyś Ralf próbował napastować Rinę. Znowu ją spotyka, tym razem już nie daje się jej wymknąć. Grozi dziewczynie nożem i zmusza ją, żeby z nim zeszła do podziemnego mieszkania. I tam następuje tragedia. Ralf owija ciało folią, wkłada do kufra, zabiera jej ubranie, chowa gdzieś w willi, a potem idzie na taras, by posiedzieć razem z ojczymem. Ale Angelo, może ostatniego dnia, odkrywa ubranie dziewczyny. Widzi, że jest zakrwawione.

– Przecież ją wcześniej rozebrał.

– Tego nie wiemy, niewykluczone, że ją rozebrał już po wszystkim. Do tego, żeby zrobić, co zrobił, ona wcale nie musiała być całkiem naga.

– I jak ta historia się u pana kończy?

– Tak, że Angelo wypycha go z pociągu, pozbywając się tego zwyrodnialca.

– Oj, przesada, panie komisarzu!

– Jednak pamiętaj, że jak pisze pani Gudrun, kiedy mąż wrócił do Kolonii był już innym człowiekiem niż przedtem. Należy więc przypuszczać, że coś musiało mu się przydarzyć.

– Może nic nadzwyczajnego. Przydarzyło mu się, nieszczęśnikowi, że rano, kiedy obudził się w tym wagonie sypialnym, pasierba już nie było.

– Słowem, nie wydaje ci się, że Speciale mógł być zabójcą?

– W żadnym razie.

– Pomyśl jednak, że w tragediach greckich...

– Panie komisarzu, jesteśmy w Vigacie, a nie w Grecji.

– Powiedz prawdę: podoba ci się ta moja historyjka?

– Może nawet jest dobra, ale dla telewizji.

12

Dzień włókł się, a wydawał się jeszcze dłuższy z powodu tego sierpniowego skwaru. Montalbano czuł się zmęczony. Ale apetyt mu dopisywał. Kiedy otworzył piecyk, rozczarował się, bo nic w nim nie znalazł, ale kiedy otworzył lodówkę, zobaczył sałatkę z ośmiorniczek, selera, pomidorów i marchewki, którą należało tylko przyprawić oliwą i cytryną. Adelina wiedziała, co robi, przygotowując mu coś na zimno.

Na werandzie poczuł wieczorny powiew, bardzo słaby, niezdolny do poruszenia gęstego upału, który mimo nocy wciąż się utrzymywał. Ale nawet ten lekki powiew przynosił nieco ulgi.

Rozebrał się, włożył spodenki kąpielowe i pobiegł do morza. Pływał długo, raz szybciej, raz wolniej. Potem, gdy wrócił do domu, nakrył stół na werandzie i zabrał się do jedzenia caponaty. Następnie, ponieważ wciąż jeszcze czuł głód, przyrządził sobie przystawkę z oliwek i dwu rodzajów sera, do której koniecznie trzeba było wypić dużo dobrego wina.

Tymczasem wiatr się wzmocnił, przeszedł niejako z dzieciństwa w wiek młodzięńczy i już wyraźnie dawał o sobie znać. Komisarz postanowił wykorzystać tę chwilę, gdy upał nie zamąca już myśli, i zabrał się poważnie do rozważania śledztwa, które prowadził. Sprzątnął ze stołu talerze, sztućce i kieliszki, a potem położył na nim parę kartek papieru. Ponieważ nie lubił robić sobie spisu rzeczy do przemyślenia, zabrał się do pisania listu do samego siebie, co już nieraz robił.

Drogi Montalbano,

Muszę stwierdzić, że może na skutek rozpoczynającego się starczego zdziecinnienia, a może wielkiego upału, panującego w tych dniach, Twoje myśli utraciły wiele właściwej Ci błyskotliwości, stały się zbyt mgliste i ciężko im ruszyć z miejsca. Sam mogłeś to zauważyć w czasie rozmowy z doktorem

Pasquano, które to starcie doktor zdecydowanie wygrał.

Pasquano wysunął dwie hipotezy na temat faktu, że zabójca zabrał ze sobą ubranie dziewczyny. W jednej twierdził, że był to gest irracjonalny, w drugiej, że zabójca zabrał je jako fetyszysta. Obie te hipotezy są do przyjęcia.

Ale można jeszcze wysunąć trzecią. Tę, która przyszła Ci do głowy dzisiaj, kiedy rozmawiałeś z Faziem, a mianowicie, że zabójca zabrał ze sobą ubranie, bo było zaplamione krwią. Krwią, która wyciekła z szyi dziewczyny, kiedy zabójca przeciągnął po niej nożem.

Jednak sprawy mogły potoczyć się jeszcze inaczej. Trzeba wobec tego cofnąć się w czasie.

Zarówno kiedy odkryłeś zwłoki, jak też kiedy spowodowałeś, że oficjalnie odkrył je Callara, nie widziałeś żadnej wielkiej plamy krwi przy wyjściu na taras, a nie widziałeś jej z tego prostego powodu, że nie była widoczna gołym okiem. Wykryli ją dopiero eksperci kryminalistyki, posługując się luminolem.

Gdyby zabójca zostawił na posadzce tak wielką plamę krwi, jakiś jej wyschnięty ślad jednak by pozostał, mimo że upłynęło sześć lat. Tymczasem żadnego śladu tam nie widać.

Co to może oznaczać?

Oznacza to, że ten mężczyzna po zabiciu dziewczyny, po zapakowaniu jej ciała w folię i włożeniu do kufra, posłużył się jej ubraniem, by wytrzeć krew chociażby w sposób bardzo powierzchowny, zmoczywszy je wcześniej w resztkach wody, jaka wypływała z kranów w łazience. Potem włożył ubranie do torby na zakupy, którą znalazł gdzieś na miejscu i zabrał je ze sobą.

Jednak tu rodzi się pytanie: dlaczego nie pozbył się zakrwawionego ubrania dziewczyny, wrzucając je do kufra ze zwłokami?

Odpowiedź brzmi: żeby to zrobić, musiałby jeszcze raz otworzyć kufer.

A na taki gest nie mógł się zdobyć, gdyż to by oznaczało, że rzuca sobie prosto w twarz całe to wydarzenie, tę realność, którą już zaczął z siebie wypierać. Miał rację doktor Pasquano: ukrył zwłoki po to, by już nie musieć ich oglądać, a nie po to, żeby je ukryć przed nami.

I tu pojawia się drugie ważne pytanie, które już padło, ale lepiej powtórzyć je raz jeszcze: czy musiał zabić dziewczynę? I dlaczego?

Co do powodu, to Pasquale wspomniał o możliwości szantażu albo o napadzie gwałtownej wściekłości po stwierdzeniu własnej impotencji.

Ja mam inną odpowiedź: tak, musiał dziewczynę zabić. Ale tylko z jednego jedyne, całkiem innego powodu.

Oto powód: dziewczyna dobrze знаła napastnika.

Zabójca na pewno zmusił dziewczynę do zejścia z nim do podziemnego mieszkania, ale od chwili, gdy tam weszła, jej los już był przesądzony. Gdyby bowiem darował jej życie, dziewczyna z pewnością złożyłaby doniesienie, że ją zgwałcił lub że usiłował zgwałcić. Wobec tego, zaciągając ją pod ziemię, wiedział już, że nie tylko ją zgwałci, ale i zabije. Co do tego nie można mieć wątpliwości. Było to więc morderstwo z premedytacją.

I na koniec pojawia się pytanie zasadnicze: kim jest morderca? To trzeba ustalić drogą eliminacji.

Nie mógł być nim na pewno Spitaleri. Nawet jeśli masz do niego awersję, i chcesz go przyłapać na jakimś przestępstwie, musisz wziąć pod uwagę fakt niepodważalny: po południu 12 października Spitaleriego nie było w Pizzo, siedział już w samolocie do Bangkoku. Poza tym pamiętaj, że dziewczyna w wieku Riny nie jest w jego typie, bo jest już dla niego za stara.

Miccichè ma alibi: spędził popołudnie w szpitalu w Montelusie. Możesz to sprawdzić, jeśli chcesz, ale szkoda na to czasu.

Dipasquale twierdzi, że ma alibi. Wyjechał z Pizzo około 17 i udał się do biura Spitaleriego, by czekać na jego telefon. O dwudziestej pierwszej rozmawiał z Miccichè. Ale nie wyjaśnił, co robił, kiedy stamtąd wyszedł. Oświadczył, że był umówiony ze Spitalerim na telefon między 18.00 a 20.00. Możliwa jest taka hipoteza. Telefon dajmy na to miał miejsce o 18.30. Dipasquale wychodzi z biura, i przypadkiem spotyka na ulicy Rinę. Zna ją, pyta, czy chce, by ją podwieźć do Pizzo. Dziewczyna zgadza się i... O 21.00 Dipasquale może spokojnie dzwonić do Miccichègo.

Ralf został w Pizzo z ojczymem, kiedy Dipasquale już odjechał. Zna Rinę,

już próbował ją napastować. Jeśli więc przebieg wydarzeń był taki, jak to opowiedziałeś Faziowi, to jeszcze pozostałaby do wyjaśnienia zagadka jego śmierci, która mogła mieć coś wspólnego z poczuciem winy. Ale oskarżanie Ralfa to już tylko czysta teoria. Ralf nie żyje, jego ojczym także, żaden z nich już nie może Ci powiedzieć, jak było naprawdę.

Inaczej mówiąc, Dipasquale byłby oskarżonym numer jeden. Ale to Ci nie trafia do przekonania.

Ściskam Cię i życzę powodzenia

Twój Salvo

Rozbierał się, żeby już iść do łóżka, kiedy nagle zapragnął usłyszeć Livię. Zadzwonił do niej na komórkę. Długo dzwonił, ale nie odbierała... Dlaczego? Jak wielka jest ta żaglówka Massimiliana, że Livia nie usłyszała telefonu? A może była zbyt zajęta, zbyt pochłonięta czymś innym, żeby odebrać telefon? Już miał zamknąć komórkę, wściekły i rozgoryczony, kiedy jednak odezwał się głos Livii.

– Halo! Kto mówi?

Jak to, kto? Nie mogła odczytać na displayu, czy jak tam się to okienko nazywa, kto do niej dzwoni?

– To ja, Salvo.

– A, to ty!

Nie była zawiedziona. Była obojętna.

– Co robiłaś?

– Spałam.

– Gdzie?

– Na pokładzie. Zasnęłam, nawet nie wiedząc kiedy. Tak tu spokojnie, tak pięknie...

– Gdzie jesteście?

– Płyniemy w stronę Sardynii.

– A gdzie jest teraz Massimiliano?

– Był koło mnie, kiedy zasypiałam. Myślę, że teraz jest...

Przerwał rozmowę, odrzucił telefon.

„Był koło mnie, kiedy zasypiałam”. I co przy niej robił ten słodki mydłek? Śpiewał jej kołysanki? Montalbano poszedł spać wściekły. Męczył się jak nigdy, żeby w końcu zasnąć.

Rano, kiedy tylko się obudził, poszedł popływać w morzu, potem wszedł pod prysznic, gdzie woda powinna być zimna, ale była cały czas letnia, bo w zbiornikach na strychu tak się nagrzała, że można było do niej wrzucić makaron. Ubrał się jak najlżej.

Ledwo wystawił nogę za próg, musiał sobie powiedzieć, że to i tak mu nie pomoże, bo żar na dworze palił jak żywy ogień.

Wrócił do domu, włożył do reklamówki koszulę, bokserki i spodnie, cienkie jak bibułka, i odjechał.

Dotarł do komisariatu w koszuli mokrej od potu i w bokserkach przyklejonych tak do tyłka, jakby już miały zostać na nim na stałe.

Catarella próbował się uśmiechać i stawać na baczność, ale zabrakło mu na to sił i zwałił się bezwładnie na krzesło.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu! Całkiem się tu wymiera! To jest jakoby diabelski skwar, panie komisarzu!

– Wytrzymamy!

Poszedł do łazienki przebrać się. Rozebrał się, wszedł pod prysznic, włożył drugą koszulę, bokserki i spodnie, rozwiesił w łazience przepocone ubranie, wszedł do gabinetu i uruchomił wentylatorów.

– Catarella!

– Już idę, panie komisarzu.

Opuszczał właśnie żaluzje w oknie, kiedy wszedł Catarella.

– Do pańskich usług...

Po tych słowach zamilkł, oparł się lewą ręką o biurko, a prawą uniósł do czoła, zamykając oczy. Wyglądał jak na ilustracji z podręcznika gry aktorskiej z ubiegłego stulecia z podpisem: Otepienie i lęk.

– O Matko... o Matko... o Matko Boża – powtarzał, jakby odmawiał litanie.

– Catarè, źle się czujesz?

– O Boże, panie komisarzu, ale mnie to wystraszyło! Upał uderzył mi raz za razem do głowy!

– Ale co ci jest?

– Nic mi tu nie jest, panie komisarzu, ja już to panu komisarzowi powiedziałem, że nawet czuję się całkiem jak najlepiej. Na uszy słyszę dobrze, tylko jakoś na oczy widzę trochę nie za bardzo.

Nie zmieniał pozycji, powieki miał zaciśnięte, rękę trzymał na czole.

– Wiesz co? W łazience jest moje ubranie, które zmieniłem.

– Pan sobie zmienił ubranie?

To go od razu ożywiło. Otworzył oczy, oderwał rękę od czoła, popatrzył na Montalbana, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

– Ach, to pan się przebrał!

– Catarè, tak, przebrałem się, dlaczego tak się dziwisz?

– Było inaczej, panie komisarzu, bo jakieś przyszło na mnie pomylenie, ja już widziałem pana komisarza, jak tu wchodził ubranego w jedno ubranie, a potem zobaczyłem, że jest ubrany w inne ubranie, i z winy pomylenia pomyślałem sobie, że już zacząłem przez ten skwar majaczyć. No to lepiej, że pan komisarz się przebrał!

– Słuchaj, zabierz moje ubranie z łazienki i rozwieś na korytarzu, żeby wyschło.

– Zaraz się dostosuję.

Już wychodził i zamykał za sobą drzwi, ale komisarz go zatrzymał.

– Zostaw drzwi otwarte, może będzie trochę przeciągu.

Zadzwonił telefon. Odezwał się Mimì Augello.

– Jak się czujesz, Salvo? Szukałem cię w domu, ale nikt nie odpowiadał, a potem przyszło mi do głowy, że ty nie świętujesz i jesteś w komisariacie...

– Miałeś rację, Mimì. Jak się czuje Beba? I mały?

– Tak sobie, Salvo, lepiej nie mówić. Pomyśl, że od kiedy jesteśmy tutaj, mały ciągle ma gorączkę. Słowem, nie mieliśmy ani jednego dnia wakacji. Dopiero wczoraj gorączka mu na szczęście spadła. A ja już jutro muszę wrócić do pracy...

– Rozumiem, Mimì. Co do mnie, to jeśli chcesz tam zostać jeszcze tydzień, nie mam nic przeciwko temu.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Pozdrów ode mnie Bebę i ucałuj waszego synka.

Pięć minut później znowu zadzwonił telefon.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu. To jest pan komendant i pan komendant mówi, że chciałby pilnie...

– Powiedz mu, że mnie nie ma.

– A gdzie pan komisarz odszedł? Jak mam powiedzieć?

– Do dentysty.

– Bolą pana komisarza zęby?

– Nie, Catarè, to tylko wymówka, którą masz powtórzyć.

Tego jeszcze nie było, żeby pan komendant dobijał się i zanudzał nawet w dzień świąteczny.

Kiedy podpisywał część dokumentów, które się nagromadziły na jego biurku, jak mu to uprzytomnił Fazio, już od kilku miesięcy, przypadkiem podniósł wzrok. Na korytarzu zobaczył Catarellę, idącego w stronę jego gabinetu. Ale szedł jakoś bardzo dziwnie. Komisarz zrozumiał, że coś się z nim dzieje, kiedy mu się lepiej przyjrzał. Catarella tańczył, idąc. Właśnie tak się zbliżał – tańcząc. Szedł na samych palcach, z ramionami odchylonymi od ciała, i co jakiś czas okręcał się wokół własnej osi. Może istotnie upał uderzył mu do głowy? Kiedy wszedł do gabinetu, komisarz spostrzegł, że ma zamknięte oczy. Boże drogi, może stał się lunatykiem?

– Catarella!

Catarella, podszedłszy do biurka, otworzył oczy zmieszany. Miał błędne spojrzenie.

– Co... – powiedział.

– Co cię napadło, Catarè?

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu! Przyszła taka dziewczyna, że całkiem brakuje ludzkich oczu, żeby na nią patrzeć! To jest wzór i skopiowanie tej biednej zamordowanej małej! Matko Boża, jaka ona jest piękna! W życiu nigdy takiej pięknej nie widziałem.

Zatem to ta Piękność przez duże P sprawiła, że Catarella szedł tanecznym krokiem i miał tak rozmarzony wzrok.

– Wprowadź ją i daj znać Faziowi, żeby tu przyszedł.

A potem zobaczył dziewczynę nadchodzącą z głębi korytarza.

Catarella szedł przed nią dosłownie zgięty wpół, a jednocześnie jedną ręką wykonywał jakiś dziwny ruch, jakby czyścił posadzkę, na której miała postawić stopę. A może rozwijał przed nią niewidoczny dywan?

W miarę jak się zbliżała i widać było coraz wyraźniej jej rysy, oczy, kolor włosów, komisarz powoli wstawał z krzesła i czuł, że ogarnia go uniesienie.

*Głowa z jasnego złota
Oczy z błękitu nieba,
Kto cię tak zaczarował,
Że już nie jestem sobą?*

Te słowa z wiersza Pessoa same się mu nasunęły. Wysiłkiem woli wydostał się z tej aury błogości i powrócił rzeczowo do swego gabinetu.

Jednak oprzytomniał dopiero wtedy, kiedy zadał sobie cios, podstępny, złośliwy, tyleż bolesny, co niezbędny: „Mogłaby być twoją córką”.

– Nazywam się Adriana Morreale.

– Salvo Montalbano.

– Proszę mi wybaczyć spóźnienie, ale...

Spóźniła się pół godziny.

Uścisnęli sobie ręce. Ręka komisarza była nieco spocona. Ręka Adriany

sucha. Była całkiem świeża, pachniała mydłem, jakby nie przysła tu z ulicy, tylko wyszła właśnie spod prysznic.

– Proszę siadać. Catarella, dałeś znać Faziowi?

– Co...

– Dałeś znać Faziowi?

– Zaraz zadbam, panie komisarzu.

Wyszedł z głową odwróconą do tyłu, do ostatniej chwili wpatrzony w dziewczynę.

Montalbano wykorzystał tę pierwszą chwilę, żeby się jej przyjrzeć, a ona nie miała nic przeciwko temu. Z pewnością do tego przywykła.

Bardzo długie nogi w obcisłych džinsach, błękitna bluzeczka z dekoltem, sandały. Punkt na jej korzyść: nie dbała o to, by jej uroda rzucała się w oczy. I najwyraźniej nie miała na sobie biustonosza. Nie była wcale umalowana, nie zrobiła nic, żeby wydawać się piękną. Cóż by tu zresztą było jeszcze do dodania?

Kiedy jej się dobrze przyjrzał, jakąś różnicę między nią a fotografią jej siostry mógł jednak dostrzec. Z pewnością dlatego, że Adriana miała już o sześć lat więcej i że chyba nie były to lata dla niej łatwe. Oczy miały taki sam kształt i kolor jak oczy tamtej, ale tej świetlistej niewinności, która promieniowała ze spojrzenia Riny, nie było już w spojrzeniu Adriany. Dziewczyna, która siedziała przed nim, miała też dwie nikle zmarszczki wokół ust.

– Mieszka pani razem z rodzicami w Vigacie?

– Nie. Szybko zdałam sobie sprawę, że moja obecność w domu przysparza im cierpienia. Widzieli we mnie siostrę, której już niestety nie było. Toteż kiedy wstąpiłam na uniwersytet, na medycynę, kupiłam sobie mieszkanie w Palermo. Jednak wracam tutaj często, nie lubię ich zostawiać długo samych.

– Na którym roku pani jest?

– Już na trzecim.

Wszedł Fazio i chociaż był przygotowany przez Catarellę na to, co

zobaczy, od progu wbił w dziewczynę wzrok.

- Nazywam się Fazio.
- Adriana Morreale.
- Chyba lepiej zamknąć drzwi.

Po pięciu minutach, jak tylko rozeszła się wiadomość o urodzie dziewczyny, na korytarzu zaczął się ruch większy niż na głównej ulicy miasta w godzinie szczytu.

Fazio zamknął drzwi i usiadł na drugim krześle przy biurku. W ten sposób miał dziewczynę przed sobą, patrzyli na siebie twarzą w twarz. Wolał przesunąć się z krzesłem na bok, trochę dalej od biurka, ale trochę bliżej dziewczyny niż Montalbano.

– Przepraszam, że nie zgodziłam się, aby przyszedł pan do nas do domu, panie komisarzu.

- Nie ma o czym mówić. Doskonale panią rozumiem.
- Dziękuję. Proszę zadać mi wszystkie pytania, jakie pan chce mi zadać.
- To na panią, jak powiedział nam doktor Tommaseo, spadł smutny obowiązek rozpoznania zwłok. Przykro mi z tego powodu, zapewniam panią, ale zmusza mnie do tego moja praca, i już z góry przepraszam, że niektóre pytania, jakie...

Ale wtedy Adriana zrobiła coś, czego ani Fazio, ani Montalbano, nie mogli się spodziewać. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

– O Boże, mówicie w ten sam sposób! I pan, i Tommaseo mówicie tak samo! Wprost tymi samymi słowami! Przeszliście jakiś specjalny kurs?

Montalbano poczuł się urażony, ale jednocześnie rozluźniony. Był urażony, bo porównała go do Tommasea, a rozluźniony, bo zrozumiał, że dziewczyna nie lubi drętwej mowy, że urzędowa poprawność ją rozśmiesza.

– Powiedziałam panu – ciągnęła Adriana – żeby zadawał mi pan takie pytania, jakie pan chce. Proszę nie czuć żadnego skrępowania. To chyba zresztą nie jest w pana zwyczaju.

- Dziękuję pani – powiedział Montalbano.

Także Fazio trochę się rozluźnił.

– Pani, w przeciwieństwie do swoich rodziców, zawsze uważała, że pani siostra nie żyje, prawda?

W ten sposób od razu przystąpił do sedna sprawy, tego przecież dziewczyna chciała i tak było najwygodniej dla wszystkich.

– Istotnie, ale nie powiem, że tak uważałam. Ja o tym wiedziałam.

Montalbano i Fazio jednocześnie podskoczyli lekko na krześle.

– Jak to, wiedziała pani? Kto pani o tym powiedział?

– Słowami nikt mi nie powiedział.

– Skąd więc pani wiedziała?

– Powiedziało mi o tym moje ciało. Przyzwyczaiałam je, żeby nigdy nie kłamało.

13

Cóż to mogło znaczyć?

– Może mi pani wyjaśnić, jak to się stało, że...

– To nie będzie łatwe. To wynika z tego, że byliśmy bliźniaczkami jednojajowymi. Coś takiego trudno wyjaśnić, ale nam czasami się to zdarzało. Taki rodzaj niewytłumaczalnego porozumienia na odległość.

– Może pani o tym powiedzieć coś więcej?

– Zaraz powiem. Chcę jednak wyjaśnić, że nie chodzi tu o takie na przykład zjawisko, że jak jedna z nas rozbija sobie kolano, to druga, nawet kiedy jest gdzieś daleko, czuje, że boli ją w tym samym miejscu. To nie to. To polegało tylko na przekazywaniu sobie swoich wielkich emocji. Pewnego dnia umarła nasza babcia, Rina była przy tym obecna, a ja w tym czasie przebywałam w Feli i bawiłam się z kuzynami. I nagle ogarnął mnie taki smutek, że zaczęłam szlochać bez żadnego zrozumiałego powodu. Bo Rina wtedy przekazała mi stan swoich uczuć, jakich doznawała w tamtej chwili.

– Zawsze się tak działo?

– Nie zawsze.

– A gdzie pani była tego dnia, kiedy siostra nie wróciła do domu?

– Wyjechałam, właśnie rano dwunastego października, do Montelusy, do ciotek. Miałam być u nich dwa, może trzy dni, ale wróciłam jeszcze tego samego dnia wieczorem, późno, kiedy tata zadzwonił i powiedział, że Rina zaginęła.

– No a wtedy... po południu lub wieczorem tamtego dwunastego... zdarzyło się między siostrą a panią... to przekazywanie sobie...

Montalbano nie umiał sformułować pytania bardziej precyzyjnie. Adriana przyszła mu z pomocą.

– Tak, wtedy to się zdarzyło. O dziewiętnastej trzydzieści osiem.

Odruchowo spojrzałam w tym momencie na zegarek.

Montalbano i Fazio popatrzyli na siebie.

– Co się wtedy zdarzyło?

– Miałam u ciotek swój osobny pokoik, byłam w nim sama, zastanawiałam się, jak mam się ubrać, bo byłyśmy zaproszone na kolację do przyjaciół... I zniemacka odczułam coś takiego... nie takiego, jak nieraz się już zdarzało, ale wręcz ból fizyczny. Została uduszona, prawda?

Niewiele się myliła.

– Nie było dokładnie tak. Co pani powiedział prokurator Tommaseo?

– Tommaseo powiedział nam, że została zamordowana, ale już nie wyjaśnił jak. Powiedział nam też, gdzie ją znaleziono.

– Kiedy poszła pani do kostnicy na rozpoznanie...

– Powiedziałam, żeby mi odsłoniли tylko jej stopy. To mi wystarczyło. Rina miała prawy wielki palec...

– Wiem o tym. Ale później nie spytała pani prokuratora Tommaseo, w jaki sposób zginęła?

– Wie pan co, panie komisarzu? Jedyne, o czym myślałam po rozpoznanie, było to, żeby jak najszybciej uwolnić się od prokuratora Tommasea. Zaczął mnie pocieszać, poklepując po plecach, ale potem przesunął rękę coraz niżej, aż za nisko. Nie udaję nietykalnej dziewicy, wcale nie... Ale ten człowiek naprawdę był wstrętny. A co powinien był mi powiedzieć?

– Że pani siostrze podcięto gardło.

Adriana spochmurniała i chwyciła się ręką za szyję.

– Boże! – wyszeptała.

– Może mi pani powiedzieć, co wtedy pani czuła?

– Gwałtowny ból gardła. Przez minutę, choć zdawało mi się, że to trwa wieczność, nie mogłam oddychać. Ale wtedy nie myślałam, że ten ból jest związany z tym, co właśnie dzieje się z moją siostrą.

– Tylko z czym?

– Widzi pan, panie komisarzu, byłyśmy z Riną identyczne, ale tylko

fizycznie. Natomiast całkiem różnie myślałyśmy, reagowałyśmy. Na przykład Rina nie popełniłaby nigdy żadnego wykroczenia, nawet najmniejszego. Ja, przeciwnie. Już od wczesnych lat lubiałam być nieposłuszna. Dlatego zaczęłam w ukryciu palić papierosy. Tamtego dnia, okno w pokoju miałam otwarte, wypaliłam już trzy papierosy jeden po drugim. Tak sobie, dla samej przyjemności. Przyszło mi więc siłą rzeczy do głowy, że to dym wywołał ten ból.

– A kiedy zorientowała się pani, że chodzi o pani siostrę?

– Chwilę później.

– Dlaczego?

– Powiazałam to z innym faktem, który zdarzył mi się parę minut wcześniej.

– Może pani o tym opowiedzieć?

– Wolałabym o tym nie mówić.

– Opowiedziała pani potem swoim rodzicom o tym... kontakcie z siostrą?

– Nie. Dzisiaj mówię o tym po raz pierwszy.

– Dlaczego nie mówiła pani tego wtedy?

– To był sekret mój i Riny. Przysięgłyśmy sobie, że nie powiemy o tym nikomu.

– Panią i siostrę łączyła wielka zażyłość?

– Nie mogło być inaczej.

– Mówiłyście sobie o wszystkim?

– O wszystkim.

Przyszła pora na zadawanie trudniejszych pytań.

– Może każe przynieść pani coś z baru?

– Nie, dziękuję. Możemy rozmawiać dalej.

– Nie musi pani wracać do domu? Pani rodzice nie są sami?

– Dziękuję, proszę się nie martwić. Poprosiłam przyjaciółkę, która jest pielęgniarką, żeby pobyła teraz z nimi. Są w dobrych rękach.

– Rina nie mówiła pani, że był w ostatnim czasie ktoś, kto nie dawał jej

spokoju?

Adriana zachowała się jak przedtem. Ze śmiechem odrzuciła głowę do tyłu.

– Panie komisarzu, może mi pan nie uwierzy. Od kiedy ukończyliśmy trzynaście lat, nie było mężczyzny, który by zostawił nas w spokoju, jak pan mówi. Mnie to bawiło, a Rinie czasami ciążyło, a czasami bardzo ją to złościło.

– Zdarzył się pewien szczególny incydent, o którym nam wspomniano i o którym chcielibyśmy wiedzieć coś więcej.

– Rozumiem. Mówi pan o Ralfie.

– Znała go pani?

– I to jak! Kiedy budowano willę jego ojczyma, przychodził do naszego domu w Pizzo chyba co drugi dzień.

– I co robił?

– Było tak, że przychodził i gdzieś się ukrywał, czekał, aż nasi rodzice pójdą do kogoś albo zjedzą na plażę. Potem rano podpatrywał nas zza okna, jak jadłyśmy śniadanie. Mnie to bawiło, czasami rzucałam mu kawałek chleba, jakby był psem. I jemu ta zabawa bardzo się podobała. Ale Rina go nie znosiła.

– W głowie miał poukładane jak trzeba?

– Pan żartuje. To był wariat, kompletny wariat, jednego dnia zdarzyła się rzecz poważniejsza. Byłam w domu sama. Prysznic na piętrze się zepsuł. Poszłam pod ten na parterze. Kiedy wyszłam spod prysznicza, natknęłam się na niego, całkiem gołego.

– Jak wszedł do domu?

– Drzwiami. Myślałam, że je zamknęłam, ale były uchylone. Wtedy Ralf po raz pierwszy wszedł do środka. A ja nie miałam na sobie nawet ręcznika. Patrzył na mnie oczami psa i poprosił, żebym go pocałowała.

– Co powiedział?

– Pocałuj mnie, z łaski swojej.

– Nie przestraszyła się pani?

– Nie. Boję się całkiem innych rzeczy.

– I jak się to skończyło?

– Pomyślałam, że najlepiej będzie go posłuchać. Pocałowałam go. Delikatnie, ale w usta. On położył mi rękę na piersi, pogłaskał ją, a potem pochylił głowę i osunął się na krzesło. Pobiegłam na piętro, ubrałam się, a kiedy zeszłam na dół, jego już nie było.

– Nie przyszło pani do głowy, że zechce panią zgwałcić?

– Nie, ani przez chwilę.

– Dlaczego?

– Bo od razu się zorientowałam, że Ralf jest całkowitym impotentem. Widać to było nawet ze spojrzenia, jakim mnie obrzucił. I to się potwierdziło, kiedy go całowałam, a on mnie pogłaskał. Nie nastąpiła, jak się to mówi, żadna widoczna reakcja.

Tymczasem komisarz usłyszał wyraźnie, jak się kruszą i rozpadają z hukiem wszystkie jego przypuszczenia. Nie było już Ralfa, który zmusza dziewczynę, żeby zeszła z nim pod ziemię, który ją gwałci i zabija, a potem zabija się sam lub zostaje do tego zmuszony...

Zamienili z Faziem niepewne spojrzenia. Fazio także wydawał się zaskoczony. Popatrzył z podziwem na Adrianę. Nie zdarzyło mu się dotąd spotkać dziewczyny, która umiałaby rozmawiać tak szczerze i otwarcie.

– Opowiedziała pani tę historię Rinie?

– Oczywiście.

– Dlaczego zatem Rina próbowała uciec, kiedy Ralf chciał ją pocałować? Nie wiedziała, że jest całkiem nieszkodliwy?

– Panie komisarzu, już panu mówiłam, że pod tym względem byliśmy całkiem różne. Rina nie wystraszyła się go. Tylko była tą jego napaścią dotknięta. To dlatego od niego uciekła.

– Powiedziano mi, że technik budowlany Spitaleri...

– Tak, przejeżdżał wtedy obok naszego domu swoim autem. Zobaczył

uciekającą Rinę i gołego Ralfa, który chciał ją dogonić. Zatrzymał się, wysiadł z auta i zdzielił Ralfa pięścią w twarz, Ralf od razu padł na ziemię. Potem schylił się nad nim, wy dostał z kieszeni nóż i oświadczył mu, że jeśli jeszcze kiedyś będzie napastował moją siostrę, to go zabije.

– A potem?

– Potem zabrał Rinę do samochodu i zawiózł do domu.

– Zatrzymał się u was?

– Rina mówiła, że poczęstowała go kawą.

– Czy pani wie, że Spitaleri i pani siostra jeszcze się potem spotykali?

– Wiem.

W tym momencie zadzwonił telefon.

– Ach, panie komisarzu, panie komisarzu! Pan komendant to on chce rozmawiać natychmiast bardzo pilnie z osobą pana komisarza osobiście.

– Dlaczego nie odpowiedziałeś mu, że jeszcze jestem u dentysty?

– Ja nawet spróbowałem mu powiedzieć, że pana tutaj nie ma, ale on, to znaczy pan komendant, od początku mi powiedział, że bym nie mówił, że pan komisarz jest jeszcze u dentysty, no to wtedy ja mu odpowiedziałem, że pan komisarz jest obecnie obecny.

– Przełącz mi telefon do pokoju Augella.

Wstał.

– Proszę mi wybaczyć, pani Adriano. Załatwię to jak najszybciej.

– Fazio, chodź ze mną.

W pokoju Mimì, gdzie rano wpadało słońce, można się było udusić.

– Halo! Słucham pana, panie komendancie.

– Montalbano! Czy pan zdaje sobie sprawę?

– Z czego?

– Jak to? Nawet nie zdaje pan sobie sprawy?

– Z czego?

– Nawet nie wysilił się pan, żeby wypełnić!

– Co?

– Kwestionariusz!

– Jaki kwestionariusz?

Trudno mu było wtrącić choćby o sylabę więcej.

– Kwestionariusz o personelu posterunku, który wysłałem panu dwa tygodnie temu! To było wyjątkowo pilne!

– Odesłałem wypełniony.

– Do mnie?

– Tak.

– Kiedy?

– Sześć dni temu.

Czysty blef.

– Ma pan jego kopię?

– Tak.

– Jeżeli nie znajdę oryginału, zaraz dam panu znać, a pan przyśle mi natychmiast tę kopię.

– Dobrze.

Rozłączył się, ale koszulę miał już całą moką.

– Nic nie wiesz o tym kwestionariuszu o personelu posterunku, który komendant przysłał mi dwa tygodnie temu?

– Wiem. Pamiętam, że go panu dałem.

– To gdzie się to pieprzone zasraństwo podziało? Trzeba to odnaleźć i wypełnić, tamten może za pół godziny znowu zadzwonić. Chodźmy poszukać.

– Ale w pańskim gabinecie jest ta dziewczyna.

– Wobec tego muszę ją odesłać do domu.

Dziewczyna siedziała tak, jak ją zostawili, jakby wrosła w krzesło.

– Pani Adriano, niestety powstały pewne komplikacje. Możemy zobaczyć się raz jeszcze po południu?

– Muszę być w domu przed siedemnastą, pielęgniarka nie może zostać dłużej.

– W takim razie jutro rano?

– Jutro jest pogrzeb.

– No to nie wiem jak...

– Coś panom zaproponuję – zaproszę panów na obiad. Będziemy mogli ciągnąć dalej naszą rozmowę. Jeśli to panom odpowiada...

– Ja muszę podziękować, powinienem wrócić do domu, wie pani, dziś *ferragosto* – odpowiedział Fazio.

– A ja zgadzam się bardzo chętnie – ucieszył się Montalbano. – Gdzie mnie pani zaprasza?

– Gdzie pan chce.

Komisarz nie wierzył własnym uszom. Umówili się więc u Enza na wpół do drugiej.

– To dziewczyna z jajami, jak to się mówi, i to z żelaznymi – wyszeptał Fazio, kiedy Adriana wychodziła.

Zostali sami, zaczęli się rozglądać po całym gabinecie coraz bardziej zaniepokojeni. Biurko zawałała sterta papierów, które leżały w nieładzie, razem z butelką wody mineralnej i szklankami, pełno dokumentów było także na regale, a nawet na kanapce i dwu fotelach dla honorowych gości. Napocili się jak nigdy i zmarnowali pół godziny, zanim znaleźli kwestionariusz. Ale jakby tego było mało, musieli się jeszcze nieźle napocić, żeby wypisać w nim odpowiedzi.

Kiedy skończyli, było już po pierwszej. Fazio pożegnał komisarza i poszedł do domu.

– Catarella!

– Do usług!

– Skseruj te cztery stroniczki. Potem, jak zadzwoni ktoś od komendanta w sprawie kwestionariusza, wyślij mu je, ale tylko samo ksero. Żebyś pamiętał – tylko ksero!

– Proszę mi zaufać, panie komisarzu.

– Zdejmij moje ubranie, które rozwiesiłeś w korytarzu i przynieś mi tu. A potem otwórz na oścież drzwi samochodu.

Rozebrał się w łazience i miał wrażenie, że jego skóra skwierczy z gorąca. To przez ten przeklęty kwestionariusz! Długo stał pod prysznicem, przebrał się, zostawił przepecone ubranie Catarelli, żeby je rozwiesił w korytarzu i wszedł do gabinetu Augella. Wiedział, że w jednej z szufladek Mimì trzyma buteleczkę perfum. Długo jej szukał i w końcu znalazł. Nosiły nazwę „Irresistible” [Nieodparty czar]. Odkręcił korek, myślał, że buteleczka ma dozownik wydzielający zawartość po odrobinie, ale skończyło się na tym, że wylał połowę całej zawartości na koszulę i spodnie. I co robić? Przebrać się z powrotem w ubranie mokre od potu? Bez sensu. Może na powietrzu zapach szybko wyparuje. Potem zaczął się wahać, czy ma zabrać ze sobą wentylatorek, czy nie? Zrezygnował. Wypadłby żałośnie w oczach Adriany z tym wentylatorkiem przy twarzy i wyperfumowany jak ulicznica.

Chociaż kazał otworzyć szeroko drzwi, wchodził do samochodu jak do pieca. Ale nie czuł się na siłach iść pieszo aż do Enza, nie mówiąc o tym, że zrobiło się dość późno.

Pod zamkniętą traktiernią, na słońcu, od którego pękały kamienie, stała Adriana oparta o swoje punto. Komisarz zapomniał, że Enzo obchodzi *ferragosto* i tego dnia nie otwiera lokalu.

– Proszę jechać za mną – powiedział dziewczynie.

Obok baru w Marinelli mieściła się jakaś restauracja, w której nigdy nie był. Ale kiedy tamtędy przejeżdżał, zauważył, że stoliki wystawione na zewnątrz stały zawsze w cieniu gęsto porośniętej pergoli. Dojechali po dziesięciu minutach. Chociaż dzień był świąteczny, w restauracji nie było dużo ludzi i mogli sobie wybrać stół bardziej ocieniony niż inne.

– Przebrał się pan i wyperfumował dla mnie? – spytała uszczypliwie Adriana.

– Nie, dla siebie. A co do perfum, to wylała się na mnie cała buteleczka – odpowiedział ostrym tonem komisarz.

Może lepiej było zalatywać potem.

Milczeli, dopóki nie pojawił się kelner, który zaczął recytować z pamięci całą litanię potraw.

– Mamy spaghetti w sosie pomidorowym, spaghetti w sosie z mątwy, spaghetti z owocami morza, spaghetti z małżami, spaghetti...

– Dla mnie z małżami – odpowiedział Montalbano. – A dla pani?

– Z jeżami morskimi.

Kelner rozpoczął drugą litanię.

– Na drugie mamy barwenę w sosie, doradę z rusztu, kraby w sosiku, filec z tuńczyka...

– Potem nam pan to powie – przerwał mu Montalbano.

Kelnera to chyba uraziło. Wrócił po chwili ze sztućcami, kieliszkami, wodą i winem. Białym i schłodzonym.

– Napije się pani?

– Naturalnie.

Montalbano nalał jej pół kieliszka, a potem tyle samo sobie.

– Dobrze – powiedziała Adriana.

– Wie pani, już nie pamiętam, na czym skończyliśmy.

– Pytał mnie pan, czy Spitaleri i Rina spotykali się jeszcze później, a ja to potwierdziłam.

– A, tak. I co siostra pani mówiła?

– Że Spitaleri od tego dnia, kiedy odpędził Ralfa, za bardzo się do niej przyczepił.

– W jakim sensie?

– Rinie zdawało się, że Spitaleri ją szpieguje. Za często bywał w jej pobliżu. Jeżeli na przykład jechała do miasta autobusem, to kiedy wracała, nagle pojawiał się Spitaleri i proponował, że ją odwiezie. Tak było jeszcze tydzień przed tym.

– Przed czym?

– Przed dwunastym października.

– I Rina pozwalała się odwozić?

– Czasami.

– Spitaleri zachowywał się przyzwoicie?

– Tak.

– A co się stało tydzień przed zaginięciem pani siostry?

– Coś obrzydliwego. Był wieczór, zrobiło się już ciemno i Rina zgodziła się, żeby Spitaleri ją podwiózł. Ale kiedy skręcili na drogę do Pizzo, na wysokości domku, gdzie mieszka ten chłop, który potem został aresztowany, Spitaleri zatrzymał samochód i zaczął ją obściskować. Tak ni z tego, ni z owego, powiedziała mi Rina.

– I co pani siostra zrobiła?

– Narobiła takiego wrzasku, że chłop wybiegł pędem na podwórze, a Rina z tego skorzystała i schroniła się u niego. Spitaleri musiał odjechać.

– I jak Rina dostała się potem do domu?

– Piechotą. Chłop ją odprowadził.

– Powiedziała pani, że go aresztowano?

– Tak, biedak został zatrzymany. Kiedy zaczęły się poszukiwania zaginionej, policja przyszła również do niego. I na jego nieszczęście znalazła pod jakąś komódką kolczyk mojej siostry. Rina myślała, że zgubiła go w samochodzie Spitaleriego, a tymczasem zgubiła go u chłopca. Wtedy zdecydowałam się opowiedzieć policji o tym wszystkim, co zdarzyło się Rinie ze Spitalerim. Ale nic to nie pomogło, wie pan, jaka jest policja.

– No tak, dobrze wiem jaka.

– Potem nękali tego biedaka całe miesiące.

– A Spitaleriego przesłuchiwali czy nie?

– Przesłuchiwali. Ale on wyjaśnił, że już rano dwunastego wyleciał do Bangkoku. Więc że tego nie mógł zrobić on.

Kelner przyniósł spaghetti. Adriana wzięła do ust pierwszą porcję, skosztowała i powiedziała:

– Dobrze. Chce pan spróbować?

– Czemu nie?

Montalbano wyciągnął w jej stronę rękę z widelcem, nakręcił spaghetti. Nie można ich było porównać z tymi od Enza, ale dało się zjeść.

Nie rozmawiali ze sobą, dopóki nie skończyli dania. Czasami spoglądali na siebie i uśmiechali się.

Wydarzyło się coś dziwnego. Może ten zażyły gest, że jedno sięgało widelcem do talerza drugiego, stworzył między nimi jakiś rodzaj bliskości czy nawet intymności, której wcześniej nie odczuwali.

14

Już dawno skończyli jeść, ale nie rozmawiali, siedzieli i pili gorzkie *limoncello*, a Montalbano czuł, że ona teraz obserwuje jego tak, jak on obserwował ją w komisariacie. Żeby jakoś rozładować sytuację, bo trudno było udawać, że nic się nie dzieje, kiedy wpatrywały się w niego te oczy koloru dalekiego morza, wyjął papierosa.

– Poczęstuje mnie pan?

Podał jej paczkę, wzięła papierosa do ust i podniosła się, by sięgnąć przez stół do zapalniczki komisarza.

„Musisz ciągle pamiętać, że mogłaby być twoją córką” – powtarzał sobie Montalbano.

Od tego, co zobaczył, gdy dziewczyna nachyliła się ku niemu, dostał prawdziwego zawrotu głowy. Aż mu skóra pod wąsami pokryła się potem.

Adriana nie mogła nie wiedzieć, że nachylając się tak głęboko, zmusza go do spojrzenia w jej dekolt. Dlaczego w takim razie to zrobiła? Żeby go sprowokować? Nie, nie wyglądała na jedną z tych, które inscenizują takie zaczepki. A może zrobiła tak w poczuciu, że osiągnął wiek, w którym już nie zwraca się uwagi na kobiety? Tak, chyba właśnie dlatego.

Nie zdążył się nad sobą rozczulić, bo dziewczyna, zaciągnąwszy się dwa razy, nagle położyła rękę na jego rękę.

Ponieważ Adriana nie okazywała w najmniejszym stopniu, że dokucza jej upał, przeciwnie, wydawała się świeża, jak ledwo rozkwitła róża, komisarz zdziwił się, że odbiera ten dotyk jako coś nader nieoczekiwanego. Łączył jakby dwa źródła ciepła, jego i Adriany, stawał się też coraz gorętszy. Ile w takim razie stopni miała krew, która w niej krążyła?

– Została zgwałcona, prawda?

Montalbano spodziewał się tego pytania w każdej chwili i obawiał się go.

Przygotował sobie dobrze sformułowaną odpowiedź, ale teraz całkiem mu wywietrzała z głowy.

– Nie.

Dlaczego jej tak odpowiedział? Żeby nie patrzeć, jak nagle przygasa to świetliste promieniowanie jej piękności?

– Nie mówi mi pan prawdy.

– Adriano, proszę mi wierzyć, sekcja wykazała, że...

– ...była dziewicą?

– Tak.

– Tym gorzej – powiedziała Adriana.

– Dlaczego?

– Dlatego, że przemoc była w takim razie jeszcze straszliwsza.

Uścisk jej ręki, od której teraz bił żar, stał się mocniejszy.

– Możemy mówić sobie po imieniu?

– Jeśli pani chce... jeśli chcesz...

– Chcę ci coś wyznać.

Uwolniła jego rękę, która nagle odczuła chłód, wstała, wzięła krzesło i usiadła obok niego. Teraz mogła mówić cicho, nawet szeptem.

– Została zgwałcona, tego jestem pewna. Kiedy byliśmy w komisariacie, nie chciałam ci o tym mówić w obecności tego drugiego mężczyzny. Ale z tobą czuję się całkiem inaczej.

– Wspominałaś, że parę minut przed pojawieniem się tego bólu gardła, doświadczyłaś jeszcze czegoś innego.

– Właśnie. Był to napad jakiejś absolutnej, wszechogarniającej paniki. Rodzaj skrajnego lęku egzystencjalnego. Nigdy czegoś takiego nie czułam wcześniej.

– Wytłumacz mi to jaśniej.

– Znienacka, kiedy stałam obok szafy, ukazał się odbity w lustrze obraz mojej siostry. Wyglądała na wstrząśniętą, przerażoną. A chwilę później poczułam, że zostaję wrzucona w niesłychanie przerażającą ciemność.

Otaczała mnie jakaś przestrzeń mroczna, oślizła, duszna i groźna. Jakieś okropne miejsce czy raczej jakaś pustka, w której może się zdarzyć każda potworność, każda nikczemność. Chciałam krzyczeć, ale mój głos nie miał dźwięku. Tak bywa tylko w koszmarach sennych. Pamiętam, że na parę sekund oślepiłam, zatoczyłam się z wyciągniętymi przed siebie rękami, nogi ugięły się pode mną, oparłam się o ścianę, żeby nie upaść. I to właśnie wtedy...

Zamilkła, a Montalbano nie odezwał się ani nie poruszył. Czuł tylko, że pot spływa mu wolno po czole.

– ...właśnie wtedy poczułam, że zostałam ukradziona.

– W jakim sensie? – komisarz nie mógł się powstrzymać od pytania.

– Ukradziona – komu? – mnie samej. Trudno to przełożyć na słowa. Ktoś przemocą, z okrucieństwem brał w posiadanie moje ciało, nienależące do mnie, żeby je sponiewierać, unicestwić, żeby je zmienić w przedmiot, w rzecz...

Głos się jej załamał.

– No już, już – powiedział Montalbano.

I ujął jej dłoń w swoje ręce.

– Czy właśnie tak było? – spytała Adriana.

– Prawdopodobnie.

Dlaczego Adriana się nie rozpląkała? Oczy jej pociemniały, zrobiły się granatowe, zmarszczki wokół ust stały się głębsze, ale nie płakała.

Co jej dawało tyle siły, tyle wewnętrznej twardości? Może to, że dowiedziała się o śmierci Riny w tej samej chwili, kiedy jej siostra właśnie umierała, podczas gdy ojciec i matka ciągle mieli nadzieję, że ich córka żyje.

A w ciągu tych kilku lat bólu i udręki łązy zmieniły się w jakąś twardą materię, w skalne odłamki, które nie mogły się już roztopić w geście litości nad Riną i nad sobą.

– Przed chwilą powiedziałaś, że widziałaś obraz siostry odbity w lustrze. Co to znaczy?

Adriana uśmiechnęła się nieznacznie.

– To była taka zabawa, zaczęła się, kiedy miałyśmy pięć lat. Stawałyśmy przed lustrem i zaczynałyśmy rozmawiać. Ale nie wprost ze sobą, tylko każda z odbiciem drugiej. Bawiłyśmy się tak i później, jak byłyśmy starsze. Kiedy miałyśmy sobie powiedzieć coś ważnego lub sekretnego, stawałyśmy przed lustrem.

I nagle dziewczyna oparła na chwilę głowę na ramieniu Montalbana. A on zrozumiał, że nie szukała wsparcia, tylko musiała ukoić głębokie zmęczenie, wywołane rozmową z obcym człowiekiem o sprawie tak intymnej, skrywanej przed wszystkimi.

Potem wstała, zdecydowanie rzuciła okiem na zegarek.

– Zrobiło się pół do czwartej. Idziemy?

– Jak chcesz.

A przecież mówiła, że może nie wracać do domu aż do piątej.

Montalbano też wstał, nieco rozczarowany, kelner podszedł z rachunkiem.

– Ja zapłacę – powiedziała Adriana.

I wy dostała pieniądze z kieszeni džinsów.

Ale kiedy doszli na placyk, gdzie zaparkowali, wyglądało na to, że nie chce wsiąść do swego punto. Montalbano popatrzył na nią zdezorientowany.

– Pojedziemy twoim.

– Dokąd?

– Jeśli mnie zrozumiałeś, zrozumiałeś także, dokąd chcę jechać. Nie muszę ci tego mówić.

Jasne, że ją zrozumiał. Zrozumiał ją doskonale. Ale czuł się jak żołnierz, który nie chce iść na front.

– Myślisz, że tak trzeba?

Nie odpowiedziała, tylko się w niego wpatrywała. I Montalbano z trudem się zmusił, żeby ostatecznie nie powiedzieć jej nie. Żołnierz idzie na front, nie ma wyboru. A poza tym słońce tak dawało się we znaki, że nie można było ustać minuty dłużej pod gołym niebem.

– Dobrze. Wsiadaj.

Wsiadanie do samochodu było jak wchodzenie na rozpalony ruszt. Montalbano uruchomił wentylatorem, Adriana otworzyła wszystkie okna. Przez całą podróż siedziała z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami.

Komisarza dręczyło natomiast tylko jedno pytanie: czy nie popełnia jakiegoś potężnego głupstwa? Dlaczego się na to zgodził? Tylko dlatego, że na tamym placu żar nie pozwalał na dłuższą rozmowę? Ależ to był wygodny wykręt, który sobie wtedy wynalazł. Prawda była taka, że pragnął, i to bardzo, pomagać tej dziewczynie, która...

„...może być twoją córką!” – przerwała mu własna świadomość.

„Nie odzywaj się! – odpowiedział sobie poirytowany Montalbano. – Miałem na myśli całkiem co innego, a mianowicie to, co ta dziewczyna nosi w sobie od sześciu lat, ten ogromny ciężar, tę wierność siostrze we współodczuwaniu tamtego okrucieństwa, o którym dopiero teraz ma siłę mówić, żeby się od tego uwolnić. Więc musisz jej w tym pomóc”.

„Jesteś obłudnikiem gorszym od Tommasea” – zarzuciła mu świadomość.

Ledwo skrzył na polną drogę do Pizzo, Adriana otworzyła oczy. Kiedy przejeżdżali obok jej domu, powiedziała:

– Zatrzymaj się.

Nie wyszła z auta, patrzyła przez okno.

– Od tamtego czasu nie byliśmy tu ani razu. Wiem, że tata czasami posyła jakąś kobietę, żeby tu posprzątała i zrobiła porządek, ale sami nie mieliśmy odwagi tu wracać, żeby spędzać lato, jak dawniej. Możemy jechać dalej.

Pod willą Montalbano zatrzymał samochód, a Adriana jeszcze w biegu otwierała drzwi.

– Musisz to zrobić, Adriano?

– Muszę.

Zostawił samochód otwarty, z kluczykami w stacyjce. Dokoła nie było widać nikogo.

Kiedy tylko wysiedli, Adriana chwyciła jego dłoń, podniosła do ust, a potem wciąż trzymała ją w swojej mocno zaciśniętej ręce. Komisarz zaprowadził ją na tę stronę willi, gdzie znajdowało się zejście do

nielegalnego mieszkania. Ekipa z sądówki umieściła tam dwie deski, dla ułatwienia schodzenia. Okno małej łazienki było zabezpieczone dwoma pasami jaskrawej taśmy, jakiej używa się do oznaczania miejsca robót drogowych. Na jednej z tych taśm przyczepiona była tekturka z urzędową pieczętą i podpisami. Tak wyglądało całe zabezpieczenie zejścia. Komisarz wszystko zerwał i zszedł pierwszy, mówiąc Adrianie, żeby na niego zaczekała. Zaświecił latarkę, którą zabrał ze sobą, i sprawdził wszystkie pokoje. Wystarczyło mu zaledwie parę minut przebywania pod ziemią, żeby oblać się potem. Panowała tam wilgoć, oblepiająca jak brud, a od gęstego i dusznego powietrza gryzło w oczy i piekło w gardle.

Po chwili pomógł dziewczynie przedostać się przez parapet.

Kiedy Adriana znalazła się w środku, wyjęła mu z ręki latarkę i ruszyła przed siebie, kierując się nieomylnie do salonu.

Jakby tu już była – pomyślał wstrząśnięty komisarz, idąc za nią.

Adriana zatrzymała się na progu salonu i przeciągnęła snopem światła po ścianach, opakowanych oknach, kufrze. Zapomniała o komisarzu. Nie odzywała się, była zdyszana...

– Adriana...

Nie słyszała go, w dalszym ciągu odbywała to swoje osobiste zejście do piekieł.

Ruszyła naprzód, ale niepewnie, bardzo powoli. Przeszła trochę na lewo, w stronę kufra, potem skręciła, w prawo, zrobiła trzy kroki i stanęła.

I właśnie kiedy skręcała, a Montalbano znalazł się na wprost niej, zauważył, że Adriana ma zamknięte oczy. Szukała dokładnie tamtego miejsca, ale nie posługiwała się wzrokiem, tylko jakimś nieznanym zmysłem, który z całą pewnością posiadała.

Doszedłszy pod drzwi na taras, oparła się o ścianę, trzymając szeroko rozłożone ramiona.

– Boże święty! – szepnął do głębi poruszony Montalbano.

Czyżby uczestniczył w czymś, co było niejako powtórzeniem tego wszystkiego, co się tutaj wydarzyło? Czy to możliwe, że w Adrianę jakby

wstąpiła Rina?

Nagle latarka wypadła jej z ręki na ziemię. Na szczęście nie rozbiła się. Adriana stała dokładnie w tym miejscu, gdzie eksperci zlokalizowali kałużę krwi, i drżała na całym ciele.

„To niemożliwe, to niemożliwe!” – powtarzał Montalbano.

Jego rozum nie radził sobie z tym, co widziały oczy. A potem usłyszał coś, co go sparaliżowało. Nie był to płacz, tylko lament. Lament śmiertelnie ранego zwierzęcia, długi, przeciągły, cichy. Wydawała go Adriana.

Montalbano skoczył do przodu, pochylił się, chwycił latarkę, ujął dziewczynę za biodra, odciągnął do tyłu. Ale ona opierała się, i to bardzo mocno, jakby miała ręce przyklejone do ściany. Wtedy komisarz wdarł się między jej ramiona a ścianę, zaświecił jej latarką prosto w twarz, ale Adriana wciąż nie otwierała oczu.

Z jej skrzywionych i na wpół otwartych ust ciągle wydobywał się ten cichy lament i ściekała strużka śliny. Wstrząśnięty Montalbano wymierzył jej dwukrotnie policzek, dotkliwy, płaski, z prawej i z lewej. Adriana otworzyła oczy, popatrzyła na niego, objęła go z całych sił, pchnęła na ścianę, przylgnęła do niego całym ciałem i pocałowała, gryząc mu wargi. Montalbano poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg i że trzyma dziewczynę w uścisku chyba głównie po to, żeby nie upaść, a pocałunek trwał dalej, trwał jeszcze bardzo długo.

Potem Adriana zostawiła komisarza, odwróciła się i pobiegła do okna w łazience, przedostała się przez parapet, a Montalbano pobiegł za nią, nie tracąc czasu na ponowne założenie zabezpieczenia i opieczętowania.

Dziewczyna dobiegła do samochodu, usiadła na miejscu kierowcy, włączyła silnik. Montalbano ledwo zdążył wskoczyć na siedzenie obok niej i samochód ruszył.

Adriana zatrzymała się pod swoim domem, wysiadła, podbiegła do wejścia, sięgnęła do kieszeni po klucze, otworzyła i weszła do środka, zostawiając drzwi otwarte.

Kiedy Montalbano znalazł się po chwili w domu, jej już nie było. Co

robiła? Usłyszał, że gdzieś wymiotuje.

Wyszedł na zewnątrz i powoli obszedł cały dom. Panowała całkowita cisza. Ściślej mówiąc, oprócz śpiewu tysiąca cykad nic nie było słychać. Swego czasu za domem ciągnęło się pole zboża. Został po nim stóg słomy, wąski i dość niski.

Pod kępą trawy na skraju stogu, całkiem już pożółkłej, wróbel tarzał się w ziemi i w ten sposób czyścił sobie pióra, skoro nigdzie w pobliżu nie znajdował wody.

Komisarzowi przyszła ochota zrobić to samo, czuł także potrzebę oczyszczenia się z tego całego brudu, jaki go oblepił, kiedy przebywał w tamtych podziemnych pomieszczeniach.

Toteż, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje, zrobił coś, co czasem robił w dzieciństwie. Zdjął koszulę, spodnie i bokserki i całkiem nagi rzucił się płasko na słomę, wciskając w nią głowę tak głęboko, jak tylko mógł. A jednocześnie zagrzebywał się w stóg całym ciężarem ciała, rozgarniając słomę na prawo i lewo. Wreszcie zaczął wyczuwać suchy i czysty zapach rozprażonej słomy. Wciągnął go jak najgłębiej, potem jeszcze głębiej w płuca, aż w końcu wyczuł także inny zapach, który z pewnością istniał tylko w jego wyobraźni, zapach morskiego wiatru, który zdołał się wcisnąć w zbitą warstwę słomy i został tam uwięziony. Wiatr morski, pachnący tak gorzko, jakby wygrzał go sierpniowy żar.

Naraz resztki stogu spadły na niego i całkiem go przykryły. I tak pod nimi leżał bez ruchu, czując, że oczyszcza go każde źdźbło słomy, dotykające jego skóry.

Kiedyś, gdy był małym dzieckiem, zrobił to samo i jego ciotka, która nie wiedziała, gdzie nagle się podział, zaczęła wołać:

– Salvo! Gdzie jesteś, Salvo?

Teraz nie był to naturalnie głos ciotki, tylko Adriany, która wyszła z domu i go szukała.

Udał, że go nie ma. Wolał, żeby nie zobaczyła go nagiego. Ale czemu zachciało mu się tak wygłupić? Bo po prostu mu coś takiego strzeliło do

głowy? Bo nie mógł się opanować? Bo ten straszny upał zamącił mu w głowie i zmusił do takiego wariactwa? I jak miał teraz wybrnąć z tej komicznej sytuacji?

– Salvo! Gdzie się podziałeś?... Sal...

Chyba dostrzegła ubranie, rzucone na ziemię! Zrozumiał, że idzie w jego stronę.

Znalazła go. Matko święta, ale się ośmieszył! Zamknął oczy w nadziei, że stanie się niewidzialny. Słyszał, że Adriana szczerze się śmieje, z pewnością odrzucając piękną głowę do tyłu, jak to robiła w komisariacie. Serce zaczęło mu bić coraz szybciej, wręcz panicznie szybko. Piękna okazja – dlaczego nie miałyby mu się zdarzyć właśnie teraz zwyczajny zawał? Byłoby to idealne wyjście z tej sytuacji. Potem poczuł mocniejszy od zapachu rozprażonej słomy, mocniejszy od zapachu morskiego wiatru, przemożny zapach jej czystej skóry. Brała prysznic? Chyba musiała być już bardzo blisko niego.

– Jak wyciągniesz rękę, podam ci twoje rzeczy – powiedziała Adriana.

I Montalbano tak zrobił.

– Teraz się odwróć, nie martw się – dodała dziewczyna.

Ale nie przestawała się śmiać, upokarzając go tym przez cały czas, kiedy się ubierał.

– Zrobiło się późno – powiedziała Adriana już przy samochodzie. – Dasz poprowadzić?

Widocznie zauważyła, że na szybką jazdę w wydaniu Montalbana raczej nie może liczyć.

Przez całą drogę, niezbyt długą, bo dość szybko dojechali na placyk przed traktiernią, Adriana wciąż trzymała prawą rękę na jego kolanie, kierując tylko lewą. Pewnie z powodu tego stylu jazdy albo nieustępującego skwaru komisarz jechał zlany potem.

– Masz żonę?

– Nie.

– A narzeczoną?

– Tak, ale nie mieszka w Vigacie.

– Jak ma na imię?

– Livia.

– A gdzie ty mieszkasz?

– W Marinelli.

– Daj mi swój domowy telefon.

Montalbano podyktował jej numer telefonu, ona go powtórzyła.

– Zapamiętane.

Dojechali. Komisarz otworzył drzwi po swojej stronie. Ona po swojej. Znaleźli się znowu na wprost siebie. Adriana ujęła go za biodra i pocałowała.

– Dziękuję – powiedziała.

Komisarz patrzył, jak odjeżdża z piskiem opon.

Postanowił nie wracać na komisariat, tylko jechać prosto do Marinelli. Była prawie szósta, kiedy, już w kąpielówkach, otworzył drzwi na werandę. Zastał tam dwóch chłopaków z dziewczyną, pewnie dwudziestolatków, którzy najwyraźniej spędzili na jego werandzie cały dzień, jedli tutaj i pili, siedzieli porozbierani, bo kąpali się też w morzu. Na plaży zresztą wciąż jeszcze było wiele osób, które korzystały z ostatnich promieni słońca.

Ale na piasku wałało się pełno papierów, resztek jedzenia, pustych opakowań i butelek, słowem wszędzie był najzwyklejszy śmietnik. Takim też śmietnikiem stała się jego weranda – pełno niedopałków, plastikowych rurek, puszek po piwie i coca-coli.

– Zanim się stąd zabierzecie, macie wysprzątać – powiedział, schodząc ze schodków i kierując się w stronę morza.

– Dobra, a ty wysprzątaj sobie dupę – rzucił za nim jeden z młodzieńców.

Drugi chłopak i dziewczyna wybuchnęli śmiechem. Mógł udać, że to zlekceważył, ale odwrócił się i powoli podszedł do nich.

– Coś ty powiedział?

– Ja? – odezwał się ten bardziej zaczepny, który udawał silniejszego, niż

był.

– Zejdz.

Chłopiec obejrzał się na swoje towarzystwo.

– Obsłużę starego i zaraz wracam.

Znowu wybuch śmiechu.

Chłopak stanął przed komisarzem na rozstawionych nogach, wyciągnął rękę, podając mu jakieś slipki.

– Idź się, dziadku, wykąp.

Montalbano zdzielił go lewą ręką, tamten się uchylił, ale prawą, co było do przewidzenia, dostał prosto w twarz, tak że zatoczył się i niemal stracił przytomność, jakby dostał nie pięścią, ale pałką. Śmiech tamtych nagle się urwał.

– Kiedy wrócę, ma być wysprzątane.

Musiał odpłynąć daleko, żeby natrafić na trochę czystszej wody, bo przy brzegu pływało pełno świństwa, od plastikowych butelek poczynając.

Zanim wrócił, popatrzył na brzeg, gdzie było mniej ludzi i woda wobec tego powinna być pewnie mniej brudna. Ale to znaczyło, że potem musiałyby iść pół godziny plażą do domu.

Młodzież już się zabrała. Na werandzie było czysto.

Pod prysznicem, który nie był zimny, tylko wciąż letni, myślał o ciosie, którym ogłuszył chłopca. Czyżby miał jeszcze tyle siły? Po chwili zrozumiał, że to nie była sama siła fizyczna, ale też konieczność gwałtownego wyładowania napięcia, jakie się w nim nagromadziło przez cały ten świąteczny dzień *ferragosto*.

Późnym wieczorem rodziny z dziećmi, na zmianę płaczącymi lub wrzeszczącymi, grupy podpite i awanturujące się, parki tak sklezione, że listek by się nie wcisnął, samotni mężczyźni z komórką przy uchu, pary z radiem, CD i innym sprzętem grającym, zawsze najgłośniejszym, wszyscy wreszcie rozeszli się z plaży do domów.

Oni odeszli, a śmieci po nich pozostały.

Brud i śmieci – pomyślał komisarz – to niezawodny znak, że tędy przeszedł człowiek. Podobno nawet Mount Everest zamienił się w śmietnik, a także przestrzeń kosmiczna staje się wysypiskiem różnych odpadów.

Za dziesięć tysięcy lat jedynym dowodem, że na ziemi istniał człowiek, będzie odkrycie wielkich cmentarzysk rozbitych samochodów, pomnika cywilizacji (?), która tutaj panowała.

Trochę posiedział na werandzie, ale wkrótce wyczuł, że powietrze zaczyna śmierdzieć. Śmieci, które pozostały na plaży, już w ciemności nie było widać, ale wskutek nadmiernego upału zawiewało stamtąd fetorem szybkiego rozkładu.

Nie warto było siedzieć na zewnątrz. Ale i w środku trudno było wytrzymać, gdy okna były pozamykane, żeby nie dostawał się tam ten fetor. Gorąca, jakim nasyciły się ściany w ciągu dnia, nie mogło nic schłodzić.

Wobec tego ubrał się, wsiadł do samochodu i pojechał do Pizzo. Zatrzymał się pod willą, wysiadł i ruszył w stronę schodków, które prowadziły na plażę.

Usiadł na pierwszym stopniu i zapalił papierosa. Podjął dobrą decyzję, było tu za wysoko, żeby docierał odór wyrzuconych śmieci, których pełno musiało być również i na tej plaży.

Nie chciał myśleć o Adrianie, ale mu się to nie udawało.

Przesiedział tak ze dwie godziny, a kiedy wstał, żeby ruszyć z powrotem

do Marinelli, doszedł do wniosku, że im rzadziej będzie tę dziewczynę widywał, tym lepiej dla niego.

– Co ci powiedziała wczoraj Adriana? – spytał Fazio.

– Powiedziała mi coś, o czym nie wiedziałem, a co jednak sobie wyobrażałem. Pamiętasz, jak Dipasquale zeznał, a Adriana to potwierdziła, że Rinę niespodziewanie zaczął napastować Ralf i że uratował ją przed nim Spitaleri?

– Jasne, że pamiętam.

Komisarz opowiedział mu więc, że Spitaleri od tamtego dnia kręcił się w pobliżu Riny, aż w końcu wziął ją do samochodu, a dziewczyna obroniła się przed nim tylko dzięki temu, że chłop wybiegł ze swego domku. Opowiedział mu także, jakie kłopoty miał ten chłop, ponieważ w jego domu znaleziono kolczyk Riny, a przecież nieszczęśnik nie miał nic wspólnego z przestępstwem.

Nie wspomniał tylko ani słowem, że zawiózł Adrianę do willi w Pizzo i o tym, co się tam wydarzyło.

– Szczerze mówiąc – powiedział Fazio – nie mamy w ręku nic a nic. Ralfa musimy wykluczyć, bo był impotentem, Spitaleriego także, bo wyjechał, a Dipasquale ma alibi...

– Pozycja Dipasqualego jest najslabsza – zwrócił uwagę komisarz. – Może jego alibi zostało zręcznie obmyślane.

– To prawda, ale spróbuj tego dowieść.

– Panie komisarzu, tak tu jest, że dzwoni prokurator Tommaseo.

– Przełącz go do mnie.

– Montalbano? Podjąłem decyzję.

– Chętnie ją usłyszę.

– Wkrótce to zrobię.

Dlaczego chce o tym powiedzieć komisarzowi?

– Co?

- Zwołam konferencję prasową.
- A czy to konieczne?
- Konieczne, Montalbano, konieczne.

Prawdziwa konieczność polegała na tym, że Tommaseo uwielbiał pokazywać się w telewizji.

– Dziennikarze – ciągnął dalej prokurator – coś zasłyszeli i zaczynają zadawać pytania. Nie chcę ryzykować, że przedstawią wypaczony obraz całości.

Ale jakiej całości?

- No tak. To byłoby ryzykowne.
- Pan też jest za tym?
- Już pan ustalił kiedy?
- Tak, jutro o jedenastej. Przyjdzie pan?
- Nie. A co na tej konferencji zostanie powiedziane?
- Opowiem o zabójstwie.
- I powie pan, że dziewczyna została zgwałcona?
- No cóż, dam do zrozumienia.

Przykra sprawa! Dziennikarzom wystarczy byle napomknienie, żeby zaczęli się w tej kwestii wyżywać!

- A jeśli spytają, czy domyśla się pan, kto może być zabójcą?
- No cóż, trzeba będzie jakoś lawirować. Bardzo ostrożnie.
- Tak jak pan to potrafi.
- W skromnej mierze... Powiem tak: mamy dwa tropy. Jeden zmusza nas do sprawdzenia alibi murarzy, a drugi dopuszcza przypadkowe pojawienie się jakiegoś maniaka, który zmusił dziewczynę do zejścia z nim do ukrytego pod ziemią mieszkania. Pan też tak uważa?
- Dokładnie tak samo.

Przypadkowy maniak! A jak temu przypadkowemu maniakowi udało się odgadnąć, że tam jest to mieszkanie, skoro plac budowy był ogrodzony?

- Na dziś po południu wezwałem Adrianę Morreale – oznajmił Tommaseo.

– Chcę obalić jej ewentualne sprzeciwy, a potem przesłuchiwać ją dogłębnie, dogłębnie i długo, żeby dotrzeć do nagiej prawdy.

Aż zachrypl. Montalbano był pewien, że jeszcze dwa słowa więcej, a zacznie sapać i jęczeć „och, och”, jak w filmie porno.

To już zmieniło się w zwyczaj. Zanim ruszył do traktierni Enza, przebierał się i zostawiał przepocone ubranie Catarelli. A potem, kiedy już zjadł, ale nie miał ochoty od razu wracać, bo czuł jakiś osobliwy bezwład, odjeżdżał do Marinelli.

A tutaj – cud! Czterech śmieciarzy sprzątało plażę! Włożył spodenki kąpielowe i wszedł do morza, chcąc się trochę ochłodzić. Na koniec przespał się pół godziny.

O czwartej był już w komisariacie. Ale nie chciało mu się nic robić.

– Catarella!

– Słucham, panie komisarzu.

– Nie pozwól nikomu wchodzić do mojego gabinetu, zanim mnie o tym nie uprzedzisz, rozumiesz?

– A jakże.

– Aha, jeszcze jedno – czy dzwonił ktoś z Montelusy w sprawie tego kwestionariusza?

– Tak, panie komisarzu, i ja im odesłałem.

Zamknął drzwi gabinetu na klucz, rozebrał się, został tylko w bokserkach, zrzucił z fotela na podłogę stertę papierów, przesunął się bliżej wentylatora skierowanego tak, by jego powiew padał mu na piersi i rozsiadł się wygodnie, mając nadzieję, że jakoś w tym upale wytrzyma.

Godzinę później zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, tak się tu zrobiło, że już jest sierżant, co mi mówi, że jest z finansowych i nazywa się Laganà.

– Połącz go ze mną.

– Nie mogę połączyć, ponieważ ta osoba jest u nas tutaj osobiście.

O Boże! A on praktycznie jest goły!

– Powiedz mu, że teraz rozmawiam przez telefon i wprowadź go do mnie za pięć minut.

Ubrał się w pośpiechu. Ubranie było jeszcze nasączone ciepłem, jakby je ktoś przed chwilą wyprasował. Otworzył drzwi, wyszedł przywitać Laganę. Poprosił go, żeby usiadł, a potem zamknął drzwi gabinetu na klucz. Wstyd mu było przyjmować go w mundurze, który parował jakby był przyniesiony przed chwilą z pralni.

– Może czymś pana poczęstować, panie sierżancie?

– Nie, panie komisarzu, cokolwiek wypiję, od razu się pocę.

– Dlaczego zadał sobie pan tyle trudu? Mógł pan zadzwonić...

– Panie komisarzu, tak się dziś porobiło, że pewnych rzeczy nie należy mówić przez telefon.

– Może lepiej pisać na karteczkach, jak to robi Provenzano.

– Karteczki także mogą zostać przejęte. Jedyne rozwiązanie, to rozmawiać w cztery oczy, w możliwie bezpiecznym miejscu.

– Tutaj właśnie mamy takie miejsce.

– Dobrze by było.

Włożył rękę do kieszeni, wyjął złożoną kartkę papieru, podał ją Montalbanowi.

– To pana interesowało?

Komisarz rozłożył ją i przeczytał.

Był to dokument wydania, wystawiony przez firmę Ribaud, elementów barierek ochronnych na budowę Spitaleriego w Montelusie dnia 27 lipca. Materiał odebrał i podpisał odbiór Filiberto Attanasio.

Komisarzowi zrobiło się źzej na sercu.

– Bardzo panu dziękuję, tego właśnie potrzebowałem. A tamci się nie połapali?

– Nie sędzę. Dziś rano przejęliśmy dwa pudła ich dokumentów. Kiedy

tylko natknąłem się na ten dokument wydania materiału, skserowałem go i przywiozłem panu.

– Nie wiem, jak mam dziękować.

Sierżant Laganà wstał, Montalbano także.

– Odprowadzę pana.

W drzwiach komisariatu, kiedy już ściskali sobie ręce, Laganà powiedział z uśmiechem:

– Chyba nie muszę pana prosić, żeby pan nikomu nie mówił, w jaki sposób zdobył ten dokument.

– Panie sierżancie, pan żartuje!

Laganà zawahał się przez chwilę, spoważniał i dodał, zniżając głos:

– Ze Spitalerim proszę uważać.

– Federico? Tu Montalbano.

Komisarz Lozupone chyba był szczerze zadowolony, że go słyszy.

– Salvo! Jak się cieszę! Co u ciebie?

– W porządku. A u ciebie?

– W porządku. Czegoś potrzebujesz?

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– To rozmawiajmy.

– Ale osobiście.

– A to pilne?

– Dość pilne.

– Wiesz co? Jestem w biurze aż do...

– Wolę gdzieś na zewnątrz.

– Aha. Możemy się spotkać w kawiarni Marino o...

– Nie, nie w miejscu publicznym.

– Intrygujesz mnie. Więc gdzie?

– U ciebie albo u mnie w domu.

– Moja żona wszystkiego jest ciekawa.

– Wobec tego przyjedź do mnie dzisiaj do Marinelli, wiesz, gdzie mieszkam. Odpowiada ci dziesiąta wieczór?

O ósmej, kiedy Montalbano już wychodził z komisariatu, zadzwonił Tommaseo. Wydawało się, że jest rozgoryczony.

– Chcę pana prosić o potwierdzenie.

– Potwierdzam.

– Przepraszam, Montalbano, co pan potwierdza?

– No, tego nie wiem, ale skoro pan mnie prosi o potwierdzenie, to jestem gotów potwierdzić.

– A jeśli pan nie wie, co ma potwierdzić czy nie potwierdzić?

– Rozumiem, panu nie chodzi o potwierdzenie w ogóle, tylko o jakieś szczególne.

– Tak mi się wydaje!

Czasami lubił sobie pożartować z Tommasea.

– Więc proszę mi powiedzieć.

– Ta dziewczyna, Adriana, dzisiaj, nawiasem mówiąc, była jeszcze piękniejsza niż zwykle, nie wiem, jak ona to robi, jest kwintesencją kobiecości, cokolwiek mówi, jakkolwiek się porusza, zawsze urzeka... dobrze, dajmy temu spokój, co takiego panu mówiłem?

– Że zawsze kogoś urzeka.

– Mój Boże, nie, to mówiłem tylko nawiasem. Ale... no tak. Adriana opowiedziała mi, że na jej siostrę napadł, na szczęście bez skutku, jakiś młody Niemiec, który potem zginął w katastrofie kolejowej w Niemczech. Powiem o tym na konferencji prasowej.

Katastrofa kolejowa? Tommaseo niczego nie zrozumiał.

– Jednak, chociaż nalegałem, nie umiała lub nie chciała powiedzieć nic więcej, twierdząc, że niepotrzebnie nalegam na dalsze przesłuchanie, gdyż ona nie utrzymywała bliższych stosunków ze swoją siostrą bliźniaczką,

a nawet często się kłóciły z Riną tak zawzięcie, że rodzice starali się, by przebywały z dala od siebie. Nic więc dziwnego, że w dniu, kiedy Rina została zamordowana, Adriany nie było w Vigacie. Pytam o to pana, ponieważ dziewczyna twierdziła, że wczoraj rano pan ją przesłuchiwał, czy panu także powiedziała, że nie żyła z siostrą w zgodzie?

– Naturalnie. Oświadczyła nawet, że wprost biły się dwa lub trzy razy dziennie.

– Nie ma więc sensu wzywać jej jeszcze raz?

– Naprawdę nie ma potrzeby.

Widocznie Adriana miała szczerze dość Tommasea i wymyśliła tę historyjkę, licząc na to, że Montalbano ją potwierdzi.

Adriana zadzwoniła do Marinelli parę minut przed dziewiątą.

– Mogę wstąpić do ciebie za godzinę?

– Przykro mi, to niemożliwe, jestem zajęty.

A gdyby nie był zajęty, co by jej powiedział?

– Trudno. Chciałam skorzystać z okazji, bo przyjechała rodzina z Mediolanu, to ci, co mieszkali w Montelusie, mówiłam ci.

– Tak, pamiętam.

– Przyjechali na pogrzeb.

Całkiem zapomniał o pogrzebie.

– Kiedy pogrzeb?

– Jutro rano. Zaraz po pogrzebie wyjeżdżają. Nie umawiaj się z nikim na jutro wieczór, przypuszczam, że moja przyjaciółka pielęgniarka będzie mogła do nas przyjść.

– Adriana, ja mam taką pracę, że...

– Postaraj się, może ci się uda. Aha, dzisiaj wezwał mnie Tommaseo. Ślinił się, kiedy patrzył na moje piersi. Wiedząc, co mnie czeka, założyłam pancerny biustonosz. Opowiedziałam mu głupią historyjkę, żeby pozbyć się go raz na zawsze.

– Wiem, co mu powiedziałaś, już do mnie telefonował i pytał czy to prawda, że nie znosiłyście się z Riną.

– I coś mu odpowiedział?

– Potwierdziłem, że tak było.

– Na to liczyłam. Kocham cię. Do jutra.

Pobiegł pod prysznic, bo za chwilę miał zjawić się Lozupone. Te dwa słowa, „kocham cię”, spowodowały, że od razu oblał się potem.

Lozupone miał o pięć lat mniej od komisarza, był roslym mężczyzną, wypowiadał się rozważnie. Na jego temat nie krążyły żadne plotki, był uczciwy i zawsze dopełniał swoich obowiązków. Montalbano mógł więc z nim rozmawiać swobodnie. Zaproponował mu whisky, zasiedli na werandzie. Na szczęście w powietrzu wyczuwało się leciutki powiew wiatru.

– Salvo, zaczynaj. Co mi masz do powiedzenia?

– To sprawa delikatna, więc zanim zacznę działać, chciałem z tobą pomówić.

– Po to przyjechałem.

– Musiałem przesłuchać technika budowlanego, Spitaleriego, znasz go przecież.

Lozupone chyba się poczuł urażony.

– Co znaczy – znasz? Znam go tylko dlatego, że prowadziłem śledztwo w sprawie przypadkowej śmierci murarza na jego budowie w Montelusie.

– Otóż to. I właśnie o tym twoim śledztwie chciałbym się od ciebie czegoś dowiedzieć. Do jakich wniosków doszedłeś?

– Chyba ci właśnie powiedziałem, że była to śmierć przypadkowa. Plac budowy, kiedy przeprowadzałem inspekcję, był bez zarzutu. Pozwoliłem go otworzyć na nowo po pięciu dniach. Prokurator Laurentano nalegał, żebym z tym nie zwlekał.

– Kiedy cię tam wezwano?

– W poniedziałek rano, kiedy znaleźli zwłoki murarza. Ale jeszcze raz powtarzam: system zabezpieczeń był w porządku. Jedyne, co można było

wywnioskować, to to, że Arab, który za dużo wypił, przelazł przez barierkę ochronną i spadł. Zresztą sekcja wykazała, że miał w sobie więcej wina niż krwi.

Montalbano wściekł się, ale nie dał tego po sobie poznać. Gdyby wypadki potoczyły się tak, jak mówił Lozupone i jak twierdził Spitaleri, to dlaczego Filiberto opisał wszystko całkiem inaczej? Poza tym istniał przecież dokument firmy Ribauda, który potwierdzał, że stróż mówił prawdę. Czy nie lepiej potrząsnąć Lozuponem, mówiąc mu wprost, co on sam, Montalbano, myśli o tej sprawie?

– Federico, nie przyszło ci do głowy, że na budowie, kiedy Arab spadł z rusztowań, nie było żadnych barierek ochronnych, bo założyli je dopiero w niedzielę? Po to, żebyś ty, kiedy się zjawisz w poniedziałek rano, zastał wszystko tak, jak ma być?

Lozupone nalał sobie drugą szklaneczkę whisky.

– Naturalnie, że przyszło mi to do głowy – powiedział.

– I jak postąpiłeś?

– Tak samo, jak ty byś postąpił.

– To znaczy?

– Spytałem Spitaleriego, jaka firma dostarcza mu materiał na rusztowania. Odpowiedział, że Ribauda. Zreferowałem to prokuratorowi Laurentano. Chciałem, żeby przesłuchał albo upoważnił mnie do przesłuchania kogoś od Ribauda. Odmówił, oświadczył, że dla niego przesłuchania są już zamknięte.

– Dowód, jakiego chciałeś szukać u Ribauda, mam w ręku, sam o to zadbałem. Spitaleri kazał sobie przysłać materiał o świcie w niedzielę i zaraz zamontował te barierki ochronne z pomocą kierownika budowy Dipasqualego i stróża Attanasia.

– I co chcesz z tym dowodem zrobić?

– Dać go tobie albo prokuratorowi Laurentano.

– Pokaż mi to.

Montalbano podał mu potwierdzenie wydania materiału. Lozupone obejrzał je i się roześmiał.

– To nie jest żaden dowód.

– Widziałeś przecież datę. Dwudziestego siódmego lipca była niedziela!

– Wiesz, co ci odpowie Laurentano? Po pierwsze. Że biorąc pod uwagę stałe zakupy Spitaleriego u Ribauda, nie po raz pierwszy firma dostarczała mu materiał nawet w dni świąteczne. Po drugie, że te elementy były mu potrzebne, bo w poniedziałek rano musiał podwyższyć rusztowanie, gdyż zaczął budowę następnego piętra tego budynku. Po trzecie: komisarzu Montalbano, jak mi pan wyjaśni to, że w pana rękach znalazł się ten dokument? Słowem – Spitaleri wychodzi z tego nietknięty, a tobie i temu, kto ci dostarczył ten dokument, dobierają się do dupy.

– Czyżby Laurentano był z nimi w zмовie?

– Laurentano? Co ty mówisz? Laurentano chce zrobić karierę. A żeby zrobić karierę, trzeba pilnować zasady, że nie drażni się psa, który śpi.

Montalbano był tak wściekły, że wyrwało mu się:

– A twój teść co o tym myśli?

– Lattes? Nie przesadzaj, Salvo. Kiedy lejesz, trafiaj w muszlę. Mój teść interesuje się pewnymi sprawami politycznymi, to prawda, ale o tej aferze Spitaleriego nigdy mi nie powiedział ani słowa.

Nie wiadomo dlaczego Montalbano ucieszył się z tego, co usłyszał.

– To znaczy, że się poddałeś?

– A co twoim zdaniem miałem zrobić? Ruszyć do walki z wiatrakami jak Don Kichot?

– Spitaleri nie jest wiatrakiem.

– Montalbano, powiedzmy to sobie wyraźnie. Wiesz, dlaczego Laurentano nie pozwolił mi ciągnąć sprawy dalej? Bo na swojej osobistej wadze położył na jednej szali Spitaleriego i jego protektorów politycznych, a na drugiej trupa anonimowego arabskiego imigranta. Co przeważy? Śmierci Araba tylko jedna gazeta poświęciła trzy linijki. A jak myślisz, co się stanie, jeżeli ktoś ruszy Spitaleriego? Zamieszanie w telewizjach lokalnych, w radiu, w gazetach, interpelacje parlamentarne, naciski, szantaże... Więc cię pytam: ilu spośród nas i spośród prokuratorów ma w swoim biurze taką wagę jak

Laurentano?

16

Był tak wściekły, że został na werandzie i wypił do dna całą butelkę whisky z wyraźnym zamiarem, żeby nie tyle się upić, ile poczuć wreszcie senność, która zawlokłaby go do łóżka.

Rozważając całą sprawę dokładnie i na zimno, bez nerwów i zaciętości, musiał przyznać, że Lozupone miał rację. Nigdy nie uda mu się przyszpilić Spitaleriego dzięki temu dowodowi, który wydawał mu się tak ważny.

A poza tym, nawet zakładając, że prokurator Laurentano zdobędzie się na odwagę i zechce ciągnąć tę sprawę dalej, albo że inny prokurator, niemający o niczym pojęcia, spróbuje wszcząć sprawę, to na procesie pierwszy lepszy adwokat podważy taki dowód w jednej chwili. Więc tylko dlatego, że dowód nie jest zbyt ważny, choć przecież jest dowodem, Spitaleri nie może zostać skazany?

Czy dlatego, że w dzisiejszych Włoszech prawo coraz częściej staje po stronie winnego, nie zapanuje wreszcie stanowcza wola, by posyłać do więzień tych, którzy popełniają przestępstwa?

Dlaczego jednak miał i ma w dalszym ciągu taką wielką ochotę, zaszkodzić technikowi budowlanemu Spitaleriemu?

Dlatego że pogwałcił prawo budowlane? To błahostka! Gdyby tak było, powinien by się wziąć na połowę Sycylijczyków, gdyż na wyspie pojawia się więcej budynków nielegalnych niż legalnych.

Dlatego że na pewnej budowie zginął jakiś murarz?

Tak zwanych nieszczęśliwych wypadków przy pracy, które wcale nie są wypadkami, ale autentycznymi zabójstwami dokonywanymi przez pracodawców, zdarza się tu przecież mnóstwo.

Nie, przyczyna niechęci do Spitaleriego była inna.

Spowodowały ją słowa Fazia, od którego Montalbano usłyszał, że Spitaleri

gustuje w nieletnich dziewczynkach. To wtedy pomyślał sobie, że ten technik budowlany jest jednym z tych miłośników obleśnej turystyki. To wtedy poczuł do niego tak gwałtowną awersję.

Nie mógł spokojnie myśleć o tych, którzy przemieszczają się samolotem z kontynentu na kontynent, żeby wykorzystywać czyjąś codzienną biedę i moralną marność w najbardziej nikczemny sposób.

Ktoś taki, chociaż w swoim kraju mieszka w luksusowym domu, podróżuje pierwszą klasą, zatrzymuje się w dziesięciogwiazdkowych hotelach, chodzi do restauracji, gdzie jajecznica kosztuje dziesięć tysięcy euro, zawsze w jego opinii jest ostatnim łajdakiem, gorszą kanalią niż ten, kto wykrada datki z puszek kościelnych albo zabiera kanapkę dziecku, nie z głodu, ale dla własnej przyjemności.

Ludzie tego rodzaju są na pewno zdolni do postępków jak najohydniejszych, jak najpodlejszych.

Wreszcie po dwu godzinach oczy komisarza zaczęły się przymykać. W szklance było jeszcze trochę whisky. Pociągnął łyk, ale się zakrztusił. A kiedy kaszlał, przypomniał sobie jeszcze jedną rzecz, o której mówił Lozupone.

A mianowicie to, że sekcja potwierdziła obecność we krwi Araba dużej ilości wina i że on właśnie przez to spadł z rusztowania.

Tymczasem należało domyślać się raczej czegoś innego.

Być może Arab, kiedy spadł, jeszcze żył. Był w agonii, ale jeszcze mógł przełykać. I wtedy Spitaleri, Dipasquale i Filiberto wykorzystali sytuację i siłą zmusili go do wypicia mnóstwa wina. A potem go zostawili, żeby umarł.

Byli do tego zdolni, a na taki pomysł musiał wpaść najpodlejszy z nich trzech, czyli Spitaleri. Jeżeli więc sprawy przebiegały tak, jak właśnie sobie wyobraził, przegrał tu nie tylko on, Montalbano, ale cały wymiar sprawiedliwości, a nawet sama jej idea.

Przez całą noc nie zmrużył oka. Upał dodatkowo podsycił złość, która się

w nim nagromadziła. Tak bardzo się pocił, że koło czwartej nad ranem wstał i zmienił prześcieradło. Ale nic to nie dało: po półgodzinie było mokre jak poprzednie.

O ósmej już nie mógł uleżeć w łóżku. Dokuczały mu nerwy, niecierpliwość, upał.

Przyszło mu do głowy, że Livia na żaglówce, na pełnym morzu, musiała się czuć znacznie lepiej niż on tutaj. Więc zadzwonił do niej na komórkę. Odezwał się nagrany głos kobiety, który go zawiadamiał, że osoba, do której dzwoni, jest zajęta i że, jeśli chce, może próbować dzwonić później. Naturalnie panna Livia o tej porze albo spała, albo była zanadto zajęta pomaganiem drogiemu kuzynowi Massimilianowi w sterowaniu! Nagle zaczęła go swędzieć skóra, drapał się prawie do krwi.

Żeby z tym skończyć, zszedł z werandy na plażę. Piasek palił go w stopy. Długo pływał w morzu, daleko od brzegu woda była jeszcze dość chłodna. Ale ulga była krótka, zanim wrócił do domu, upał go osuszył.

Po co jednak ma jechać do komisariatu? Nie miał tam nic wielkiego do roboty, a raczej nie miał w ogóle nic do roboty. Tommaseo zwołał konferencję prasową, Adriana miała pogrzeb siostry, komendant studiował odpowiedzi w kwestionariuszach, które rozesłał po wszystkich komisariatach. A on miał ochotę tylko na wałęsanie się, byle nie po domu. Podniósł słuchawkę.

– Catarella?

– Do usług, panie komisarzu.

– Połącz mnie z Faziem.

– Natychmiastowo.

– Fazio? Nie przyjdę dziś rano.

– Źle się pan czuje?

– Czuję się wspaniale. Ale jestem przekonany, że od razu poczuję się źle, kiedy przyjdę.

– Ma pan rację, panie komisarzu. Tu można się udusić, wszystkim brakuje powietrza.

– Przyjadę po południu, gdzieś koło szóstej.

– Zgoda. Aha, panie komisarzu, czy może mi pan pożyczyć swój wentylatorek?

– Uważaj, żeby go nie popsuć.

Pół godziny później, kiedy już dojechał do Pizzo, zatrzymał samochód przed tym małym domkiem, w którym mieszkał chłop. Wysiadł, podszedł bliżej. Drzwi były otwarte. Zawołał:

– Jest tam kto?

Z okna wychylił się chłop, któremu Gallo rozbił radiowozem wazon. Sądząc ze sposobu, w jaki chłop patrzył na komisarza, mógł przypuszczać, że go nie rozpoznał.

– Czego chcecie?

Gdyby mu powiedział, że jest z policji, chłop pewnie nie zechciałby go wpuścić.

Przyszło mu z pomocą ochryple pianie koguta dochodzące zza domu. Zaryzykował.

– Są świeże jaja?

– A ile trzeba?

Chyba nie miał dużego kurnika.

– Ze sześć. Tyle mi wystarczy.

– Wejdźcie.

I Montalbano wszedł.

Izba była niemal pusta, służyła chłopu na każdą okazję. Stół, dwa krzesła, kredens. Przy ścianie piecyk na gaz i butla, a obok marmurowa półka, na której stały sztuczce, szklanki, patelnia, garnek... ubogie sprzęty już długo używane. Na ścianie wisiała dubeltówka.

Chłop zszedł drewnianymi schodami z pokoju na górze, gdzie na pewno miał sypialnię.

– Idę po jaja.

Wyszedł z domu. Komisarz usiadł na krześle.

Chłop wkrótce wrócił z trzema jajkami w ręku. Podeszedł dwa kroki w stronę stołu i znieruchomiał. Przyglądał się komisarzowi i robił się coraz bardziej czerwony na twarzy.

– Co z wami? – spytał Montalbano, wstając z krzesła.

– Ahaaaa! – zawarczał chłop.

I cisnął w głowę komisarza z całej siły te trzy jajka. Montalbano, chociaż został tak zaskoczony, od dwóch zdołał się uchylić, ale trzecie trafiło go w lewe ramię, rozbiło się i zalało mu koszulę.

– Poznałem cię, pieprzona glino!

– Proszę posłuchać...

– Ciągle jeszcze ta sama sprawa? Ciągle jeszcze!

– Nie, nie przyszedłem tu...

Trafiły go następne trzy jajka, jedno w czoło, dwa w pierś, Montalbano został oślepiiony. Podniósł do oczu chusteczkę, żeby sobie otrzeć twarz, i kiedy mógł znowu coś widzieć przez zaklejone powieki, zobaczył, że chłop trzyma dubeltówkę i celuje w niego.

– Wynoś się z mego domu, zasrańcu!

Montalbano uciekł.

Musieli mu się dobrze dać we znaki koledzy komisarza z policji, chociaż on sam w niczym nie zawinił!

Plamy z jajek na koszuli tak się rozlały, że koszula nabrała całkiem innego koloru.

Montalbano musiał wrócić do Marinelli, żeby się przebrać. Zastał tam Adelinę, która myła posadzki.

– Panie komisarzu, a kto tak pana urządził?

– Tak to paskudnie wyszło. Idę się przebrać.

Umył się ciepłą wodą z węża i włożył czystą koszulę.

– Do widzenia, Adeli.

– Panie komisarzu, muszę panu powiedzieć, że jutro nie mogę przyjść.

– Dlaczego?

– Muszę odwiedzić mojego starszego, bo siedzi w więzieniu w Montelusie.

– A twój młodszy?

– Także siedzi w więzieniu, ale w Palermo.

Miała dwóch synów, obaj ciągle dostawali wyroki, i albo szli do więzienia, albo z niego wychodzili.

– Pozdrów go ode mnie.

– Na pewno go pozdrowię. I jeszcze chciałam powiedzieć, że ponieważ nie przyjdę, przygotuję trochę więcej jedzenia.

– Zrób mi coś na zimno. Dłużej wytrzyma.

Ruszył raz jeszcze do Pizzo, tym razem wziął ze sobą spodenki kąpielowe.

Przemknął szybko obok domu chłopca, nie wykluczając, że chłop za nim strzeli, przejechał pod domem Adriany, gdzie drzwi były na głucho zamknięte, dojechał do willi.

A ponieważ miał klucze, wszedł do ogrodu i po kamiennych schodkach dostał się na plażę. Było tam gęsto od kąpiących się, słyszało się przeważnie język obcy. Sycylijczycy, gdy minie święto Wniebowzięcia, uważają, że sezon letni już się skończył, chociaż w dalszym ciągu trwają upały, nawet większe niż przedtem.

Odkąd tu był pierwszy raz z panem Callarą i kąpał się w morzu, zachował wspomnienie wody czystej i odświeżającej. Wszedł do morza i popłynął przed siebie. Siedział w wodzie tak długo, aż skóra na palcach zrobiła mu się pomarszczona, wtedy uznał, że czas wracać na brzeg.

Zamierzał pójść pod zimny prysznic i odjechać do Marinelli, żeby zjeść te wspaniałości, które przygotowała mu Adelina. Ale po pokonaniu schodków w rażącym pionowo słońcu, stracił wszystkie siły. Wszedł do willi i wyciągnął się na materacu małżeńskiego łóżka.

Było pół do trzeciej, kiedy zasnął, a kiedy się obudził, była piąta. Na materacu odcisnął się mokry ślad jego sylwetki.

Stał pod prysznicem tak długo, aż wylał całą wodę ze zbiornika, ale tu, nie

u siebie, pozwolił sobie na to bez wyrzutów sumienia.

Kiedy już miał ruszyć do komisariatu, zobaczył, że pod willą stoi jakiś samochód, który chyba gdzieś widział, ale nie pamiętał gdzie. W pobliżu nie było nikogo. Może ci, co przyjechali, zeszli na plażę.

Potem zauważył, że od gniazdka obok wejścia prowadzi przewód elektryczny, znikający za rogiem budynku. Z pewnością doprowadzał prąd do ukrytego piętra.

Kto tu przyjechał? Raczej nikt z sądówki. Pomyślał więc, że jakiś dziennikarz robi zdjęcia tego „miejsca straszliwej zbrodni”. Ogarnęła go zapamiętała złość, jak taka hiena śmiała się tu pojawić?

Pobiegł do samochodu, wyciągnął ze schowka pistolet, włożył go sobie za pasek spodni. Kabel zakręcał na rogu willi, ciągnął się wzdłuż ściany, przechodził nad deskami zejścia i wchodził do okna łazienki nielegalnego mieszkania.

Przeskoczył przez parapet i znalazł się w środku. Wysuwając ostrożnie głowę, zobaczył, że salon jest oświetlony.

Ten łajdak na pewno robi zdjęcia kufra, gdzie były ukryte zwłoki, żeby mieć coś sensacyjnego!

Zaraz ci pokażę sensację – pomyślał komisarz.

I zrobił dwie rzeczy jednocześnie.

Po pierwsze, wbiegając do salonu, krzyknął:

– Ręce do góry!

A po drugie zarepetował broń i strzelił w powietrze.

I zaraz, może dlatego, że w tych pomieszczeniach nie było mebli i echo mocno niosło, a może dlatego, że wszystkie ściany były wyściełone folią, która odbijała wszelkie hałasy, ten strzał rozniósł się potężnym echem, niewiele słabszym od wybuchu bomby.

Pierwszym, którego to zdumiało, był sam Montalbano. Miał wrażenie, że pistolet wprost wybuchł mu w rękę. Był kompletnie ogłuszony hałasem, kiedy wpadł do salonu.

Przerażony fotograf upuścił na ziemię swój sprzęt i drżąc ukląkł

z podniesionymi rękami, pochylił się dotykając posadzki. Wyglądał jak modlący się Arab.

– Jest pan aresztowany! – oznajmił mu komisarz. – Nazywam się Montalbano.

– Dla... dla... – wyjęczał mężczyzna, ledwo unosząc głowę.

– Dlaczego?! Chce pan wiedzieć dlaczego? Dlatego że zerwał pan opieczętowanie, żeby dostać się do środka!

– Ale, tu nie... ale... ale...

– Ale tutaj nie było opieczętowania! – powiedział ktoś inny drżącym głosem, tylko nie wiadomo było, skąd ten głos dochodzi. Montalbano rozejrzał się dookoła, ale nikogo nie zobaczył.

– Kto tu jest?

– To ja.

Zza opakowanych okien wychyliła się głowa pana Callary.

– Panie komisarzu, proszę nam uwierzyć, żadnych pieczęci tu nie było! – powtórzył.

Montalbano przypomniał sobie, że kiedy ostatnio pomagał wyjść stąd Adrianie, nie miał już czasu, by myśleć o ponownym pieczętowaniu okna.

– Pewnie jakiś chłystek zerwał to urzędowe zabezpieczenie – powiedział.

Wielki reflektor w salonie wzmagął znacznie upał, nawet rozmowa była utrudniona, bo gardło natychmiast wysychało.

– Wyjdźmy stąd – powiedział komisarz.

Poszli za nim na wyższe piętro, wypili po wielkiej szklance wody i usiedli w salonie przy pootwieranych na oścież oknach.

– Czasami czułem się tak, jakbym majaczył – powiedział mężczyzna, którego Montalbano wziął za fotografa.

– Ja także – powiedział Callara. – Ile razy przyjeżdżam do tej przeklętej willi, dzieje się ze mną coś takiego.

– Nazywam się Paladino, jestem technikiem budowlanym – przedstawił się mężczyzna z aparatem fotograficznym.

– Po co przyjechaliście?

Głos zabrał pan Callara.

– Panie komisarzu, ponieważ już niedługo mija termin składania podań w sprawie amnestii budowlanej i ponieważ dziś rano nadeszły wysłane kurierem dokumenty od pani Gudrun, poprosiłem technika Paladino, żeby zajął się tym wszystkim, co jest wymagane...

– ...a pierwszą rzeczą, którą koniecznie należy przygotować, jest dokumentacja fotograficzna nielegalnego stanu rzeczy – włączył się Paladino. – Te zdjęcia muszą być dołączone do planu tej kondygnacji.

– Skończył je pan robić?

– Brakuje mi jeszcze trzech lub czterech z salonu.

– No to wracamy.

Wyszedł razem z nimi, doprowadził ich do okna łazienki, ale już sam nie schodził na dół. Pozbierał taśmę i tekturkę z pieczęciami i położył je na deskach.

– Czekam na panów na górze!

Zapalił papierosa, siedząc na murku po tej stronie tarasu, na którą nie padało już słońce.

Potem pojawił się Callara.

– Już skończyliśmy.

– A Paladino?

– Zaniósł sprzęt do samochodu. Zaraz przyjdzie pożegnać się z panem.

– Jeśli będzie pan musiał tutaj wrócić, proszę mnie wcześniej zawiadomić.

– Dziękuję. A przy okazji mogę pana o coś zapytać?

– Proszę bardzo.

– Kiedy zostaną zdjęte te pieczęcie?

– Spiesz się panu?

– Trochę mi się spieszy. Chciałbym ustalić ze Spitalerim datę usunięcia ziemi wokół willi i doprowadzenia tego niższego piętra do porządku. Jeśli nie umówię się z nim w porę, on przy tej ilości prac, jakie prowadzi...

– Jeśli nie może tego zrobić Spitaleri, radzę panu znaleźć kogoś innego.
Właśnie wrócił Paladino.

– Możemy wracać.

– Nie mogę szukać nikogo innego – powiedział Callara.

– Dlaczego pan nie może?

– Jest podpisana umowa, o której nie wiedziałem, a którą dopiero dzisiaj zobaczyłem w dokumentach przesłanych mi przez panią Gudrun z Niemiec.

– Nie do końca to zrozumiałem.

– Jest regularna umowa – powiedział Paladino. – Callara mi ją pokazał.

– A o co w niej chodzi?

Callara znowu zaczął wyjaśniać.

– Zgodnie z umową pan Angelo Speciale zobowiązuje się formalnie powierzyć prace ziemne i oczyszczenie ścian zewnętrznych i wewnętrznych samowolnie zbudowanego piętra firmie technika budowlanego Spitaleriego z chwilą, gdy zostanie złożony wniosek o uznanie stanu faktycznego. I ponadto zobowiązuje się, że nie zwróci się w tej sprawie do innych firm budowlanych, gdyby Spitaleri miał inne zajęcia, tylko zaczeka, aż będzie on dysponował czasem.

– To jest umowa prywatna? – spytał Montalbano.

– Oczywiście. Ale zgodnie z przepisami i podpisana przez obie umawiające się strony. Gdyby ktoś tej umowy nie dopełnił, to zwłaszcza w przypadku takiej osoby jak Spitaleri, co sam pan doskonale rozumie, mogą z tego wyniknąć poważne kłopoty – dodał Paladino.

– Panu jako technikowi budowlanemu zdarzyły się kiedyś tego rodzaju obostrzenia w umowie? Proszę wybaczyć, że o to pytam.

– Nie, po raz pierwszy spotykam się z czymś takim, że zawiera się pisemną umowę tego rodzaju z tak wielkim wyprzedzeniem czasowym. Nie mogę tego pojąć. I przychodzi mi do głowy tylko jedno pytanie: czy dla kogoś takiego jak Spitaleri, może mieć jakąś wagę praca tak błaha, jak ta, za jakieś nędzne wynagrodzenie?

– Ale – powiedział Callara – to na pewno Speciale domagał się tej umowy. Wiedział, że Spitaleriemu może ufać, i dzięki temu sam nie musiał być obecny na miejscu, kiedy rozpoczną się prace.

– Była w tej umowie data?

– Tak, dwudziestego siódmego października 1999 roku. Dzień później Angelo Speciale wyjechał z powrotem do Niemiec.

– Panie Callara, postaram się usunąć urzędowe pieczęcie tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Tymczasem poszedł je umieścić z powrotem. Potem wsiadł do samochodu i odjechał. Ale zahamował po kilku metrach.

Drzwi i okna w domu Adriany były otwarte. Czy to możliwe, że dziewczyna przyjechała tu, żeby zaznać trochę spokoju po przeżyciach związanych z pogrzebem?

Zastanawiał się czy pójść do niej, czy lepiej odjechać?

Tymczasem zobaczył tylko starszą kobietę, pewnie służącą, która myła okna, jedno po drugim. Jednak chwilę poczekał. Kobieta zjawiała się w drzwiach, zamknęła je na klucz.

Montalbano ruszył i pojechał do komisariatu, trochę rozczarowany, a trochę zadowolony.

– Rano poszedłem na pogrzeb – powiedział Fazio.

– Było dużo ludzi?

– Panie komisarzu, ludzi było bardzo dużo i wszyscy byli przejęci. Kilka kobiet zemdlało, wiele płakało, przyszły dawne szkolne koleżanki Riny w białych bluzkach, słowem, taki teatr jak zwykle, a w końcu, kiedy trumnę wynoszono z kościoła, wszyscy zaczęli bić brawo. Może mi pan wyjaśnić, dlaczego zmarłym biją brawo?

– Może dlatego, że dobrze zrobili, umierając.

– Pan sobie żartuje, panie komisarzu.

– Ani myślę. Kiedy bije się brawo? Kiedy coś się nam podoba. Myśląc więc logicznie, powinno to znaczyć: bardzo mi to odpowiada, że wreszcie już mi się tu nie płaczesz. A z rodziny kto był?

– Ojciec, którego podtrzymywali chłopak i dziewczyna, pewnie krewni. Panny Adriany nie było, chyba została w domu, żeby opiekować się matką.

– Muszę ci powiedzieć coś, co ci się nie spodoba.

I powiedział mu o spotkaniu z Lozupone. Ale wydawało się, że na Faziu nie zrobiło to większego wrażenia.

– Nic na to nie powiesz?

– Co mam powiedzieć, panie komisarzu? Spodziewałem się czegoś takiego. Jak nie tędy, to tamtędy Spitaleri i tak się wywinie, teraz i zawsze, in saecula saeculorum.

– Amen. A skoro już mówimy o Spitalerim, zrób mi tę przyjemność i zadzwoń do niego, ja nie mam ochoty się z nim zadawać.

– O co mam go zapytać?

– Czy pamięta, którego dnia wrócił, kiedy tamtym razem, dwunastego

października, pojechał do Bangkoku.

– Idę zadzwonić.

Fazio wrócił po dziesięciu minutach.

– Próbowałem na komórkę, ale miał wyłączoną. Więc zadzwoniłem do biura, ale go nie było. Sekretarka przejrzała jednak stary kalendarz i powiedziała, że Spitaleri z całą pewnością wrócił dwudziestego szóstego po południu. Powiedziała mi w dodatku, że doskonale ten dzień pamięta.

– A to dlaczego? Też ci powiedziała?

– Panie komisarzu, ona tyle gada, że gdyby jej ktoś nie przerwał, nie zamykałaby buzi cały dzień. Powiedziała mi, że tego dwudziestego szóstego października miała urodziny, ale myślała, że Spitaleri nie będzie o tym pamiętał, tymczasem on nie tylko przywiózł jej orchideę, którą Thai, tamtejsza linia lotnicza, daje wszystkim pasażerom, ale także bombonierkę. To tyle. A dlaczego pan chce to wiedzieć?

– Powiem ci. Dzisiaj pojechałem do Pizzo wykąpać się w morzu. Kiedy podjeżdżałem do willi...

I opowiedział mu całą historię.

– A to znaczy – zakończył – że Spitaleri następnego dnia, może dowiedziawszy się o wyjeździe Angela Speciale do Niemiec, sporządził tę prywatną umowę.

– Nie widzę w tym nic dziwnego – powiedział Fazio. – Z pewnością to Speciale zabiegał o umowę, jak to zresztą twierdzi Callara, ponieważ we wszystkim ufał Spitaleriemu.

Ale Montalbana to nie przekonywało.

– Coś tu jednak się nie zgadza.

Zadzwonił telefon. Odezwał się Catarella, był przerażony.

– Matko... Matko... Matko Boża!

– Co się dzieje, Catarè?

– Matko... Matko... Matko Boża! Pan komendant tu jest przy telefonie.

– I co z tego?

– Chyba pan komendant zwariował! Ja to mówię z całym szacunkiem dla pana komendanta, ale on jest chyba wściekły jak pies!

– Połącz go ze mną, a sam idź do baru i napij się koniaku na uspokojenie. Przełączył telefon na tryb głośnomówiący, dał znak Faziowi, żeby słuchał.

– Dzień dobry, panie komendancie.

– Dzień dobry, ty kutasie!

Odkąd Montalbano sięgał pamięcią, nigdy nie słyszał żeby Bonetti-Alderighi użył jakiegoś nieparlamentarnego wyrazu. Wobec tego chodziło tu o coś naprawdę poważnego.

– Panie komendancie, nie rozumiem, dlaczego pan...

– A kwestionariusz?!

Montalbano przestał się niepokoić. Ale o co mu chodzi? Uśmiechnął się do słuchawki.

– Ależ, panie komendancie, sporny kwestionariusz już nie jest sporny.

Jak to miło móc czasem skorzystać z nauk pobranych od Catarelli.

– Co pan mówi?

– Kazałem go panu przesłać.

– A jakże, kazał pan! Kazał pan – a właśnie w tym rzecz!

Dlaczego więc teraz się go czepia? Dlaczego tak się wkurzył? Streścił te swoje pytania:

– A zatem w czym rzecz?

– Montalbano, chyba specjalnie udaje pan patentowanego durnia, żeby mi szarpać nerwy!

O tego „patentowanego durnia” było już komisarzowi za wiele, zirytował się i przeszedł do kontrataku.

– Co pan plecie! Czego pan chce!

Komendant z trudem starał się mówić spokojniej.

– Montalbano, proszę mnie wysłuchać, jestem dla pana dobry i miły, ale jeśli chce pan robić ze mnie durnia, musi pan wiedzieć...

Jeszcze to: „dobry i miły”! A przecież najchętniej wydrapałby mu oczy!

– Proszę mi powiedzieć, co takiego zrobiłem i proszę mi nie wygrażać.

– Co pan zrobił? Przysłał mi pan kwestionariusz sprzed roku – to pan zrobił! Rozumie pan? Kwestionariusz sprzed roku!

– I pomyśleć, jak szybko płynie czas!

Komendant był na szczęście zbyt poirytowany i tego nie usłyszał.

– Daję panu dwie godziny, Montalbano. Musi pan odnaleźć nowy kwestionariusz, odpowiedzieć na moje pytania i odesłać mi faksem kompletnie wypełniony w ciągu dwu godzin. Zrozumiał pan? Dwie godziny!

Rozłączył się.

Montalbano rozejrzał się zdruzgotany po tym morzu papierów, które raz jeszcze trzeba będzie przepłynąć.

– Fazio, zrobisz mi pewną przysługę?

– Tak, jak pan każe, panie komisarzu.

– Zastrzelisz mnie?

Stracili na wszystko trzy godziny, dwie na szukanie kwestionariusza, jedną na wypełnienie go. Zorientowali się zresztą w pewnej chwili, że kwestionariusz jest dosłownie taki sam jak ten z poprzedniego roku, te same pytania, w tej samej kolejności, i tylko data w nagłówku była inna. Nie komentowali tego, już nie mieli sił powiedzieć sobie dosadnie, co myślą o biurokracji.

– Catarella!

– Obecny, panie komisarzu.

– Wyślij natychmiast ten faks i powiedz panu komendantowi, żeby go sobie wsadził, a gdzie, nie musisz mówić, sam będzie wiedział.

Catarella przestraszył się.

– Nie czuję się na siłach, panie komisarzu.

– Ale to rozkaz, Catarella!

– Panie komisarzu, jak pan komisarz mówi, że to rozkaz...

Odwrócił się przygnębiony i zabierał się do wyjścia. Ależ on naprawdę

gotów był to powiedzieć kwestorowi!

– Nie, Catarè, wyślij tylko sam faks, a potem już mu nic nie mów.

Ileż ton kurzu zebrało się na tych urzędowych papierach! W Marinelli stał pół godziny pod prysznicem i przebrał się, bo ubranie do niczego innego już się nie nadawało.

W samych bokserkach ruszył do lodówki, żeby zobaczyć, co przygotowała mu Adelina. Ale zadzwonił telefon.

Telefonowała Adriana, nawet nie przywitała się, nawet nie spytała, jak się czuje, mówiła tylko o tym, co ją obchodziło.

– Nie mogę przyjść do ciebie dzisiaj. Moja przyjaciółka pielęgniarka jednak jest zajęta. Przyjdzie do nas jutro rano. Ale ty rano pracujesz, prawda?

– Pracuję.

– A ja chcę cię zobaczyć.

Masz milczeć, Montalbano, masz milczeć. Utnij sobie język, Salvo, żebyś nie musiał jej odpowiedzieć „ja także”. Już ci się to wszystko wymyka spod kontroli.

Od tych słów dziewczyny, powiedzianych prawie szeptem, ciarki go przeszły.

– Bardzo chcę cię zobaczyć.

Ciarki zmieniły się w kropelki potu na całej skórze i stały się wodnym pyłem, który go otoczył, bo mimo że była dziewiąta wieczór, panował jeszcze taki skwar, że można było zemdleć.

– Wiesz, co? – spytała Adriana, zmieniając ton.

– Słucham cię.

– Pamiętasz, mówiłam ci o tych krewnych, którzy mieli odjechać do Mediolanu dzisiaj po południu?

– Pamiętam.

Nie można było powiedzieć, że nie skąpi słów Adrianie.

– No i odjechali. Ale na lotnisku dowiedzieli się, że lot do Mediolanu

został odwołany, jak wiele innych, bo zaczął się niespodziewany strajk.

– I co zrobili?

– Pojechali pociągiem, biedacy. Możesz sobie wyobrazić, jaką będą mieć podróż w tym upale! Powiedz mi, co robiłeś?

– Ja? – odpowiedział zaskoczony nagłą zmianą tematu.

– Czy komisarz Montalbano, doktor nauk Salvo, może odpowiedzieć, co robił w chwili, kiedy zadzwoniła do niego studentka Morreale Adriana?

– Szedłem otworzyć lodówkę, żeby wyjąć sobie coś do jedzenia.

– Gdzie nakryjesz? Czyżby w kuchni, jak nakrywają ci wszyscy, którzy jadają samotnie?

– Nie lubię jeść w kuchni.

– A gdzie lubisz?

– Na werandzie.

– Masz w domu werandę! Boże, coś pięknego! Proszę cię, zrób mi tę wielką przyjemność i nakryj na dwie osoby.

– Po co?

– Bo chcę być razem z tobą.

– Ale przecież mówiłaś, że nie możesz przyjechać.

– To ma być kolacja symboliczna, głuptasie. Chciałabym, żebyś raz brał coś z mojego talerza, a raz coś ze swojego.

Komisarzowi zakręciło się trochę w głowie.

– No... no, dobrze.

– Ciao. Dobranoc. Zadzwoń do ciebie jutro. Kocham cię.

– I ja...

– Co powiedziałaś?

– I jakoś... no, jakoś jutro się spotkamy – tak powiedziałem. A teraz dokucza mi uprzykrzona mucha.

Uratował się strzałem na aut.

– Posłuchaj, coś mi przyszło do głowy. Dlaczego nie miałbyś mnie

wezwać jutro rano na komisariat, żeby zrobić mi wyczerpujące przesłuchanie w cztery oczy, jak to chciał zrobić Tommaseo?

I roześmiana rozłączyła się.

Jaka tam lodówka! Jakie jedzenie! Jedyne, na co miał ochotę, było morze. Pływał długo, żeby ostygła mu głowa i obniżyła się temperatura krwi, bo już z pewnością była w fazie wrzenia! Czy na ten sierpniowy żar aż tak wielki wpływ miała Adriana?

Właśnie wtedy, kiedy pływał w nocnych ciemnościach, poczuł dręczący niepokój. Znał dobrze to uczucie. Położył się na plecach i szeroko otwartymi oczami patrzył na gwiazdy.

Była to przeszywająca udręka, jakby wiertarka wwiercała mu się w mózg ze swoim wrr... wrr... wrr...

Ten niepokój nie był dla niego niespodzianką, bo od lat mu się zdarzało, że w ciągu dnia docierało do niego coś bardzo ważnego, coś, co mogło być rozstrzygające dla śledztwa, które właśnie prowadził, a on nie zwrócił w porę na to uwagi.

Dzisiaj też coś w tym rodzaju także usłyszał. Ale co? Kto coś takiego powiedział?

Wrr... wrr... wrr...

Jakby kornik drążył w nim swoje korytarze.

Powoli, nie napinając zbytnio mięśni, dopłynął do brzegu.

Wszedł do domu, ale zauważył, że całkiem przeszedł mu apetyt. Wyjął więc z kredensu nienapoczętą butelkę whisky, wziął szklanekę i paczkę papierosów i usiadł na werandzie, jeszcze mokry, bo nawet nie zdjął z siebie kąpielówek.

Myślał o wszystkim, co się dzisiaj zdarzyło, ale nic inspirującego nie mógł sobie przypomnieć.

Po godzinie się poddał. Ciemność, nic więcej. Dawniej wystarczyło mu trochę się skupić i w głowie pojawiała się to, czego potrzebował. Dawniej, to znaczy kiedy? – zadał sobie pytanie. Ano wtedy, kiedy był trochę młodszy,

Montalbà – innej odpowiedzi nie mógł się spodziewać.

Zdecydował się jednak coś zjeść. I zaraz przypomniał sobie, że Adriana prosiła go, by postawił drugi talerz, jak gdyby dla niej... Gotów był to zrobić, ale ostatecznie uznał, że będzie to zbyt żalosne.

Nakrył tylko dla siebie, poszedł do kuchni, wyciągnął rękę w stronę uchwytu lodówki, wciąż myśląc o Adrianie, i poczuł, że łapie go prąd.

Dlaczego tak się stało? Lodówka najwidoczniej była popsuta, może nawet niebezpieczna, trzeba pomyśleć o nowej.

Ale przecież trzymał już rękę na uchwycie, a prąd przestał go łapać.

Wobec tego w grę nie wchodził tu żaden prąd elektryczny, tylko coś w nim samym, jakieś wyładowanie w jego głowie.

Zdarzyło się to w chwili, gdy myślał o Adrianie! Więc pewnie odnosiło się do czegoś, o czym mówiła dziewczyna!

Wrócił z powrotem na werandę. Apetyt znów mu całkiem minął. I nagle słowa Adrianę odżyły mu w myślach.

Zerwał się z ławki, chwycił papierosy, zszedł na plażę i ruszył w stronę morza.

Trzy godziny później paczka papierosów była wypalona, a nogi obolałe od długiego chodzenia. Wrócił do domu, popatrzył na zegarek. Była trzecia nad ranem. Umył się, ogolił, przyzwoicie ubrał i wypił resztkę wieczornej whisky. Za kwadrans czwarta wyszedł, wsiadł do samochodu i odjechał.

O tej porze mógł jechać w chłodzie. Po swojemu, nie spiesząc się, nie porywając się na wyścigi w stylu Galla.

Jechał w stronę nadziei. Tak nikłej, tak ulotnej, że wystarczyłoby jakieś tak lub jakieś nie, żeby już było po niej. Jakby to wyrazić jaśniej – jechał w stronę pewnej szalonej myśli.

Przyjechał do Punta Raisi koło ósmej. Jazda zabrała mu tyle czasu, ile normalny kierowca traci na dojazd i powrót. Ale jechał spokojnie, nie męczył go upał i nie musiał współzawodniczyć z innymi kierowcami.

Zaparkował, wysiadł. Tutaj oddychało się lżej niż w Vigacie. Od razu wstąpił do baru na podwójne espresso. Potem poszedł do komisariatu na lotnisku.

– Nazywam się Montalbano. Zastałem doktora Capuano?

Ilekcroć pojawiał się na lotnisku z okazji przyjazdu czy odjazdu Livii, wstępował go odwiedzić.

– Przed chwilą przyszedł. Może pan wejść do niego.

Zapukał, wszedł.

– Montalbano! Czekasz na swoją ukochaną?

– Nie. Przyjechałem do ciebie. Chcę cię prosić o pomoc.

– Jestem do twojej dyspozycji. O co chodzi? Montalbano opowiedział, jakie myśli chodzą mu po głowie.

– To wymaga trochę czasu. Mam tu jednak człowieka, który ci pomoże.

I zawołał:

– Cammarota!

Wszedł trzydziestoletni policjant, czarny jak tusz, z oczami, z których biła inteligencja.

– Będziesz do dyspozycji doktora Montalbano, który jest moim przyjacielem. Możecie siedzieć tutaj i używać mojego komputera, ja i tak zaraz wychodzę na spotkanie z komendantem.

Przesiedzieli zamknięci w pokoju Capuany aż do południa, wypili po dwie kawy i dwie butelki piwa. Cammarota okazał się człowiekiem sprawnym i kompetentnym, umiał się skontaktować z ministerstwami, lotniskami, kompaniami lotniczymi. Tak że w końcu Montalbano dowiedział się tego wszystkiego, co chciał wiedzieć.

Kiedy ruszył z powrotem, zaczął w aucie kichać, co było spóźnionym efektem oddychania klimatyzowanym powietrzem.

W połowie drogi zobaczył traktiernię, przed którą stały trzy wielkie ciężarówki, niezawodny znak, że tutaj można dobrze zjeść. Zamówił danie i podszedł do telefonu.

– Adriana? To ja, Montalbano.

– Robisz mi wspaniałą niespodziankę! Zdecydowałeś się poddać mnie przesłuchaniu trzeciego stopnia?

– Muszę się z tobą spotkać.

– Kiedy?

– Dziś wieczór, koło dziewiątej, w Marinelli. Zjemy w domu.

– Mam nadzieję, że jakoś to zorganizuję. Na pewno jest coś nowego.

Domyśliła się. Ale w jaki sposób?

– Chyba tak.

– Kocham cię.

– Nie mów nikomu, że przyjedziesz do mnie.

– Chyba nie myślisz, że tego nie wiem.

A potem zadzwonił na komisariat i kazał Catarelli połączyć go natychmiast z Faziem.

– Panie komisarzu, gdzie pan się podziewa? Szukałem pana całe rano, bo...

– Powiesz mi o tym później. Teraz wracam z Palermo, muszę z tobą zaraz porozmawiać. Spotkamy się w komisariacie o piątej. Odlóż wszystkie inne zajęcia, to rozkaz.

W tej przydrożnej gospodzie był ogromny, umieszczony pod sufitem wentylator ze śmigłami, który się obracał i pozwalał jeść w przewiewie, tak, że koszula i bielizna nie przyklejały się do ciała. Jak przewidział, zjadł tu dobrze.

A wsiadając do samochodu, pomyślał, że kiedy jechał w tę stronę, nadzieja była cieniutka jak nitka, teraz, kiedy wracał, stała się gruba jak powróż. Jak powróż na szubienicy.

Zaczął śpiewać, strasznie fałszując, *O Lola z Rycerskości wieśniaczej*.

Po przyjeździe do Marinelli wziął prysznic, przebrał się i szybko odjechał na komisariat. Czuł się ożywiony, podniecony, niczym się nie przejmował.

– Panie komisarzu, oj, panie komisarzu! Tutaj telefonował...

– Pieprzę tego, kto tutaj telefonował. Przyslij do mnie natychmiast Fazio.

Włączył wentylatorek. Fazio już stał w drzwiach, bardzo ciekaw nowości.

– Wchodź, zamknij drzwi i usiądź wygodnie.

Fazio posłusznie usiadł na krawędzi krzesła z oczami wbitymi w komisarza. Wyglądał jak pies myśliwski.

– Wiesz, że wczoraj na lotnisku Punta Raisi był strajk i że odwołano większość lotów?

– Nie, nie wiedziałem.

– Usłyszałem o tym w naszej lokalnej telewizji.

Było to kłamstwo wymyślone ad hoc, bo nie chciał powiedzieć, że usłyszał o tym od Adriany.

– No i co z tego, panie komisarzu, że był tam strajk? Kto dzisiaj nie strajkuje. Ale co to ma wspólnego z nami?

– Nie uwierzysz, ile ma wspólnego. Na pewno nie uwierzysz.

– Zrozumiałem, panie komisarzu. Wybrał pan okreźną drogę, bo chce mnie pan przypiekać na wolnym ogniu.

– A ile razy ty mnie tak przypiekałeś?

– No dobrze, ale teraz, kiedy już się pan odegrał, proszę mi coś opowiedzieć.

– Już mówię. Usłyszałem o tym strajku i nic mnie to nie obeszło. Ale po chwili coraz wyraźniej zacząłem dostrzegać pewną możliwość. Zastanowiłem się nad tym i nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Wręcz oślepiająco jasne. Dlatego wczesnym rankiem pojechałem do Punta Raisi. Musiałem sprawdzić, czy to moje wstępne przypuszczenie się potwierdzi.

– I potwierdziło się?

– Jak byś zgadł. Potwierdziło się w pełni.

– No i co?

– No i to, że znam nazwisko zabójcy Riny.

– Spitaleri – powiedział bardzo spokojnie Fazio.

18

– No nie! – rozzłościł się Montalbano. – Musiałeś mi spaprać końcowy efekt! Tak się nie robi! To ja miałem wymienić nazwisko! Musisz mieć trochę więcej szacunku dla przełożonego!

– Już milczę – obiecał Fazio.

Montalbano uspokoił się, ale Fazio i tak nie rozumiał, czy złościł się dla żartu, czy na poważnie.

– Jak na to wpadłeś?

– Panie komisarzu, pan pojechał do Punta Raisi poszukać jakiegoś potwierdzenia. O ile nic się nie zmieniło, Punta Raisi to lotnisko. A kto spośród podejrzanych korzystał z samolotu? Spitaleri. Angelo Speciale i jego pasierb Ralf pojechali pociągiem. Zgadza się?

– Zgadza się. Więc kiedy usłyszałem o strajku, uprzytomniłem sobie, że zawsze uznawaliśmy alibi Spitaleriego za wiarygodne. A też dowiedzieliśmy się, że nasi koledzy z Fiakki, którzy zajmowali się sprawą zaginionej dziewczyny, swego czasu dokładnie przesłuchali Spitaleriego. Tyle że on się im wykręcił dzięki tej swojej rzekomej podróży do Bangkoku. Myślałem, że i tę rzecz dokładnie sprawdzili. To dlatego nigdy nie żądaliśmy od Spitaleriego dowodu, że tego konkretnego dnia rzeczywiście odleciał do Bangkoku.

– Jednak, panie komisarzu, potwierdzenie tego, chociaż nie wprost dał nam Dipasquale i sekretarka, bo odebrali od niego telefon z jakiegoś lotniska po drodze. A jestem przekonany, że ten telefon rzeczywiście odebrali.

– Kto jednak powiedział, że to był telefon z jakiegoś lotniska? Jeżeli zadzwonisz do mnie z telefonu publicznego czy komórki, nie będzie wiadomo, skąd do mnie dzwonicz. Możesz mi wmówić, że właśnie jesteś w Ambaradamie czy w Arktyce pod kołem podbiegunowym, a ja nie mam

jak tego podważyć i muszę ci uwierzyć.

– To prawda.

– I dlatego pojechałem do komisariatu na Punta Raisi. Byli dla mnie niezwykle życzliwi. Sprawdzenie zabrało nam cztery godziny, ale wyszło na to, że trafiłem w dziesiątkę. Dwunastego października była środa. Samolot linii Thai startuje z rzymskiego Fiumicino o czternastej piętnaście. Spitaleri wyjechał do Punta Raisi, żeby zdążyć na lot z Palermo na Fiumicino i tam przesiąść się na samolot do Bangkoku. Tymczasem w Punta Raisi dowiedział się, że samolot, którym miał się dostać do Rzymu, wystartuje z przyczyn technicznych z dwugodzinnym opóźnieniem. To znaczyło, że nie zdąży na samolot do Bangkoku. I wskutek tego siłą rzeczy musiał zatrzymać się w Punta Raisi. Udało mu się zamienić bilet na następny dzień. Niczym nie ryzykował, lot czwartkowy linii Thai zaczyna się o tej samej porze. Aż do tego miejsca, mamy pewność.

– W jakim sensie?

– W takim, że możemy potwierdzić dokumentami to wszystko, co ci powiedziałem. A reszty musimy się już tylko domyślać. Czegoś takiego chociażby, że Spitaleri, nie mając nic do roboty w Palermo, wrócił do Vigaty. Przyjąłem, że jechał szosą na Trapani, która po drodze, zaprowadziła go do Montereale. I wtedy postanowił sprawdzić, czy prace w Pizzo zostały ukończone. Przypominam ci, że decyzję o ostatecznym zasypaniu dolnej kondygnacji podjął Dipasquale dopiero następnego dnia, więc Spitaleri nic o tym nie wiedział. Przyjeżdża, na miejscu nie zastaje już nikogo, ani murarzy, ani pana Speciale z Ralfem. Widzi jednak, że niższe piętro nie jest jeszcze zasypane, że można zejść na dół. I w takiej chwili – a jest to założenie najbardziej niepewne ze wszystkich, jakie rozważam – przypadek sprawia, że w pobliżu willi dostrzega Rinę. I nagle zdaje sobie sprawę, że on, Spitaleri, w tym momencie i w tym miejscu nie istnieje.

– Jak to, nie istnieje?

– Zastanów się. W Pizzo o tej porze Spitaleri nie może się znajdować, bo rzekomo leci do Bangkoku, a do Vigaty jeszcze nie dotarł, więc nikt nie wie, że wcale nie odleciał. Wtedy z komórki telefonuje do biura. I tym sposobem

zapewnia sobie alibi. Wydaje mu się, że wspomniał mu się to wszystko ułożyło, ale popełnia poważny błąd.

– Jaki?

– Błędem jest właśnie telefon. Świadczy o tym, że Spitaleri co najmniej od trzech miesięcy nie latał do Bangkoku i nie wie, że od lipca loty linii Thai są już bezpośrednio, nie mają żadnego międzylądowania po drodze.

– Rozumiem, a co nastąpiło potem, pana zdaniem?

– Musisz ciągle pamiętać, że ja tu tylko zongluję hipotezami. Więc Spitaleri, kiedy poczuł się bezpieczny, zaczepia Rinę, a widząc, że dziewczyna mu się opiera, wyciąga nóż, który ma zawsze przy sobie – wyciągał go także, by odpędzić Ralfa, jak nam mówiła Adriana – i zmusza Rinę, by zeszła z nim do tego podziemnego mieszkania. Resztę możesz sobie wyobrazić.

– Nie – odpowiedział Fazio. – Reszty nie chcę sobie wyobrazać.

– Ta hipoteza tłumaczy także sprawę umowy.

– Tej z panem Speciale?

– A jakiej by innej? Oczywiście, że tej z panem Speciale na ostateczne uporządkowanie sytuacji w willi po jej zatwierdzeniu. Było w tej umowie coś, co mi dało do myślenia – Speciale miał w niej zakaz zwracania się o podjęcie tej pracy do innych firm budowlanych. Musiało to znaczyć jedno: Spitaleri chciał mieć stuprocentową pewność, że to on usunie ziemię wokół willi, i odsłoni nielegalne piętro, dzięki czemu będzie miał możliwość pozbycia się kufra ze zwłokami dziewczyny. Pomysł z umową przyszedł mu do głowy, kiedy był za granicą, i dlatego zaraz po powrocie popędził do pana Speciale, mając nadzieję, że jeszcze zastanie go w Vigacie. Czy to wszystko, twoim zdaniem, układa się logicznie?

– Tak, to jest logiczne.

– I co teraz? Jak mi radzisz postąpić?

– Jak to, jak pan ma postąpić? Jutro rano pójdzie pan do prokuratora Tommaseo, opowie mu pan o wszystkim i...

– ...i tym samym wsadzę sobie to wszystko tam, gdzie wiesz.

– Dlaczego?

– Dlatego, że skoro wchodzi tu w grę ulubieniec wszystkich, technik budowlany Spitaleri, Tommaseo będzie się ślizgał i wyślizgiwał. Zaczepić Spitaleriego to rozdrażnić zbyt wielu ludzi: mafię, posłów, burmistrzów. Gęsto wokół niego od tych, co się przy nim nieźle obławiają.

– Panie komisarzu, Tommaseo może traci głowę, kiedy widzi kobietę, ale jeśli chodzi o uczciwość...

– Dajmy na to. Tylko że z nim łatwo sobie poradzą! Jeśli chcesz, mogę ci z góry przedstawić linię obrony Spitaleriego:

– *Ależ rano dwunastego października wyleciał z Punta Raisi wcześniejszym samolotem, bo wiedział, że ten jego ma jakieś kłopoty techniczne.*

– *Jednak na liście pasażerów tego wcześniejszego lotu nie ma nazwiska Spitaleriego.*

– *Ale jest na niej Rossi.*

– *A kto to taki, ten Rossi?*

– *Pasazer, który zrezygnował z lotu. To pozwoliło Spitaleriemu na wcześniejszy odlot i dzięki temu zdążył na lot do Bangkoku.*

– Mogę teraz zagrać rolę Tommasea? – spytał Fazio.

– Czemu nie, graj.

– *A jak można wytłumaczyć ten telefon z jakiegoś lotniska po drodze, skoro samolot nigdzie nie lądował?*

Zadał to pytanie i popatrzył na komisarza triumfalnie. Montalbano zaśmiał mu się prosto w twarz.

– Wiesz, co by ci odpowiedział adwokat? Mogę go zastąpić:

– *Przecież mój klient telefonował z Rzymu! Samolot linii Thai wystartował tamtego dnia o osiemnastej trzydzieści, a nie o czternastej piętnaście!*

– To prawda, że wystartował później?

– Prawda. Tyle tylko, że Spitaleri nie wiedział, że takie opóźnienie może nastąpić. Wyobrażał sobie, że o tej godzinie samolot już jest w powietrzu i leci do Bangkoku.

Fazio już nie był tak pewien swego.

– Jeśli sprawy rzeczywiście tak się ułożyły...

– ...to mam rację – prawda? Ryzykujemy, że nie poradzimy sobie po raz drugi, jak z tym arabskim murarzem.

– No to co robić?

– Musimy koniecznie wymusić na Spitalerim, żeby się przyznał.

– Łatwo powiedzieć!

– W dodatku wcale nie jest pewne, że mając jego przyznanie się do winy, wpakujemy go do więzienia. Powie, że wyciągnęliśmy je z niego przemocą, torturami, biciem. Powiedzmy, że je uzyskamy – i co z tego? Znacznie, ale to znacznie trudniej będzie go postawić przed sądem.

– Oczywiście. Ale zacznijmy od przyznania się, jak je uzyskać?

– Chodzi mi już po głowie pewien pomysł.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Ale na razie nie chcę jeszcze nic o tym mówić. Możemy się spotkać w Marinelli koło wpół do jedenastej?

Przyjechał do Marinelli o ósmej i od razu wyszedł na werandę. Nie wyczuł nawet śladu jakiegoś przewiewu, powietrze było ciężkie, jak gruby płaszcz rzucony na całą ziemię. Gorąco wchłonięte w ciągu dnia przez piasek dopiero teraz zaczynało parować, a to tylko wzmagало skwar i wilgoć. Morze wyglądało jak zamarłe, biała piana przy brzegu przypominała ślinę.

Był zdenerwowany, bo miała przyjechać Adriana, którą musiał o coś wypytać. Pewnie to powodowało, że było mu gorąco jak w saunie.

Rozebrał się, w samych bokserkach podszedł do lodówki. Kiedy ją otworzył, nie wierzył własnym oczom. Przypomniął sobie, że nie zaglądał do niej, od kiedy Adelina powiedziała mu, że przygotowuje mu jedzenie na dwa dni.

To nie była lodówka, tylko witryna wykwintnego sklepu z gotowymi daniami. Wszystkiego było dużo i wszystko było świeże.

Nakrył na werandzie. Zaniósł na stół oliwki, świeże figi, kapary, owczy ser

i sześć miseczek, jedną z anchois, jedną z kalmarami, jedną z ośmiorniczkami, jedną z mątwą, jedną z tuńczykiem i jedną z morskimi ślimakami. Każde z dań było przyprawione inaczej. A w lodówce prócz tego stało jeszcze wiele innych przysmaków.

Potem wykąpał się, przebrał i postanowił zadzwonić do Livii, bo czuł, że tego potrzebuje. Chciał przynajmniej usłyszeć jej głos. Może po to, żeby dodać sobie odwagi przed przyjazdem Adriany? Odpowiedziało mu jak zwykle nagranie: kobiecy głos oznajmiał, że telefon poszukiwanej osoby jest poza zasięgiem i że ta osoba jest nieosiągalna.

Nieosiągalna! Cóż to do cholery miało znaczyć!

Dlaczego Livia wymykała mu się właśnie w takiej chwili, kiedy jej tak bardzo potrzebował? Czyżby nie słyszała tego niemego SOS, które jej wysyłał? Może była zbyt roztargniona przez wesoły nastrój na żagłowie, a ściślej przez te łaskotki, którymi ją zabawiał kuzyn Massimiliano?

Czuł, że staje się coraz bardziej rozdrażniony i zaczął się zastanawiać, czy wpłynęło na to nagłe ukłucie zazdrości, czy zadraśnięcie jego honoru. Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi. Wolałby nie otwierać, więc nie podchodził. Ktoś zadzwonił po raz drugi, dzwonił długo.

Wreszcie musiał ruszyć do drzwi. Ale szedł jakimś osobliwym krokiem, który po części przypominał krok skazańca prowadzonego na krzesło elektryczne, a po części krok piętnastoletniego wyrostka, który idzie na swoje pierwsze miłosne spotkanie obłany potem.

Adriana w dżinsach i bluzeczce pocałowała go na progu delikatnie w usta, jakby ich łączyła długa zażyłość i weszła do domu, ocierając się o niego.

Jak to się działo, że mimo straszego upału od tej dziewczyny zawsze tchnęło świeżością?

– Trudno mi było się uwolnić, ale wreszcie się udało. Przyznam ci się, że jestem trochę wzruszona. Od razu pokazuj!

– Ale co?

– Swoje mieszkanie.

Obejrzała je skrupulatnie, pokój po pokoju, jakby je miała kupić.

- Po której stronie śpisz? – spytała go przy łóżku.
- Tam. A dlaczego pytasz?
- Tak sobie. Z ciekawości. Jak ma na imię twoja narzeczona?
- Livia.
- Skąd jest?
- Z Genui.
- Pokaż mi zdjęcie.
- Czyje?
- Twojej narzeczonej. A czyje?
- Nie mam jej zdjęcia.
- Pokaż, nie zjem ci go.
- Naprawdę nie mam.
- Jak to możliwe?
- Czy ja wiem?
- Gdzie ona teraz jest?
- Jest nieosiągalna.

To mu się wyrwało. Adriana popatrzyła na niego zaskoczona.

- Jest na żaglówce z przyjaciółmi.

Dlaczego nie powiedział jej prawdy?

- Przygotowałem kolację na werandzie, idziemy? – rzucił, żeby czym prędzej pozbyć się tego nieprzyjemnego tematu.

Na widok nakrytego stolika, Adriana trochę się wystraszyła.

- Oczywiście, lubię jeść, ale taka mnogość... Boże, jak tu jest pięknie!
- Siadajmy, nie ma na co czekać.

Adriana usiadła na ławce, przesuwając się na środek, tak że Montalbano, chcąc usiąść obok niej, musiał właściwie do niej przylgnąć.

- Nie podoba mi się – powiedziała Adriana.
- Co ci się nie podoba?
- Siedzieć tutaj.

– Masz rację, tu nam za ciasno. Ale jeśli się trochę przesuniesz...

– Nic nie rozumiesz. Nie podoba mi się, że mam jeść i nie patrzeć na ciebie.

Montalbano poszedł po krzesło i usiadł po drugiej stronie stołu, naprzeciw Adriany.

Zaraz lepiej się poczuł, kiedy nie musiał siedzieć przy niej.

Ale dlaczego pomimo późnej nocy ciągle trwał tak wielki skwar?

– Należesz mi trochę wina?

Przygotował wino białe, mocne i schłodzone. Piło się je zachłannie, było wspaniałe. W lodówce miał w zapasie dwie następne butelki.

– Zanim zaczniemy jeść, muszę cię o coś spytać, bo nie daje mi to spokoju – powiedział Montalbano.

– Nie jestem niczyją narzeczoną. I jak na razie nie związałam się bliżej z nikim.

Komisarz się zmieszał.

– To nie o to chciałem... nie zamierzałem... Czy znasz osobiście Spitaleriego?

– Tego technika budowlanego, który uratował Rinę, kiedy ją napastował Ralf? Nie, nie znam go.

– Jak to możliwe? Przecież wy obie, i ty, i twoja siostra, mieszkaliście parę metrów od jego budowy.

– To prawda. Ale widzisz, w tamtym okresie więcej siedziałam u krewnych w Montelusie niż z rodzicami w Pizzo. Dlatego nigdy go nie spotkałam.

– Jesteś tego pewna?

– Oczywiście.

– A potem? Kiedy szukaliście Riny?

– Krewni zabrali mnie od razu do siebie, do Montelusy. Rodzice bardzo przeżywali te poszukiwania, nie spali, nie jedli. Krewni chcieli mnie wyrwać z tej atmosfery.

– A ostatnio?

– Nie, ostatnio też go nie widziałam. Nie poszłam na pogrzeb, uniknęłam wywiadów telewizyjnych, tylko w jednej gazecie napisali, że Rina miała siostrę, ale już nie podali, że byłyśmy bliźniaczkami.

– Może zaczniemy jeść?

– Dobrze. A dlaczego spytałeś mnie o Spitaleriego?

– Później ci powiem.

– Wspominałeś mi, że są nowości?

– O nich też ci powiem później.

Jedli w milczeniu, od czasu do czasu patrzyli sobie w oczy, kiedy w pewnej chwili Montalbano poczuł, że kolano Adriany wciska się między jego kolana. Trochę je rozsunął, a dziewczyna korzystając z tego, jakby uwięziła je pod stołem, mocno ściskając.

Tylko cudem komisarz nie zakrztusił się winem. Ale szybko się opanował.

Adriana wskazała na ślimaki morskie.

– Jak to się je?

– Trzeba wydestawać ślimaka ze skorupy tą szpilą, którą dodałem ci do sztućców.

Adriana spróbowała poradzić sobie z tym, ale nie potrafiła.

– Pomogę ci.

Montalbano, sprawnie manewrując szpilą, wydestał ślimaka, ona otworzyła usta i pozwoliła się karmić jak dziecko.

– Dobry. Chcę jeszcze.

Za każdym razem, kiedy otwierała usta, czekając na ślimaka, Montalbano odczuwał coś w rodzaju zawrotu głowy.

Butelkę wina opróżnili nie wiadomo kiedy.

– Idę po drugą.

– Nie – powiedziała Adriana, ściskając mocniej jego uwięzione kolano. Ale zaraz spostrzegła, że komisarz jest zakłopotany.

– Dobrze, idź i przynieś – powiedziała, uwalniając go.

Montalbano wrócił z otwartą butelką, i już nie usiadł na krześle, tylko obok Adriany.

Skończyli jeść i komisarz sprzątnął nakrycia, zostawiając tylko butelkę wina i kieliszki. Kiedy usiadł, Adriana wzięła go pod rękę i oparła głowę na jego ramieniu.

– Dlaczego mi się wymykasz? – spytała.

Czy już nadeszła właściwa chwila, żeby zacząć poważną rozmowę? Może najlepiej od razu stawić czoło tej sprawie?

– Adriana, musisz mi uwierzyć, wcale nie miałbym ochoty wymykać ci się. Podobasz mi się, jak rzadko w życiu mi się to zdarzało. Ale czy zdajesz sobie sprawę, że między nami jest trzydzieści lat różnicy?

– Przecież nie chcę wychodzić za ciebie za mąż.

– Naturalnie, ale to nic nie zmienia. Ja zaczynam być niemal zabytkiem z antykwariatu i chyba to niestosowne, żebym... Ktoś inny, ktoś w odpowiednim wieku, to...

– A kto to miałby być, ten w odpowiednim wieku? Jakiś dwudziestopięciolatek? Jakiś trzydziestolatek? Masz z takimi do czynienia? Słyszałeś, jak rozmawiają? Wiesz, jak się zachowują? Tacy nawet nie wiedzą, co to takiego kobieta!

– Widzisz, dla ciebie jestem tylko zabawką, a sam ryzykuję, że ty staniesz się dla mnie kimś całkiem innym. A w moim wieku...

– Dość z tym wiekiem! I nie myśl sobie, że ja mam na ciebie taką ochotę jak na rozek lodów. A nawiasem mówiąc, masz lody?

– Lody? Tak, mam.

Wydostał lody z zamrażarki, ale nie mógł ich odkroić, tak były twarde. Zaniósł je na werandę.

– Śmietankowe i czekoladowe, mogą być? – spytał Montalbano, siadając na tym samym miejscu, co przedtem.

A ona tak samo wzięła go pod rękę i oparła głowę na jego ramieniu.

Po pięciu minutach lody były już miękkie. Adriana zjadła je w milczeniu, nie zmieniając pozycji.

Potem, kiedy Montalbano odsuwał od niej pusty talerzyk, spostrzegł, że dziewczyna płacze. Serce mu się ścisnęło. Chciał unieść jej głowę ze swojego ramienia, żeby popatrzeć jej w oczy, ale ona mu na to nie pozwoliła.

– Jest jeszcze coś, co musisz, Adriano, wiedzieć. Że ja już od lat jestem z kobietą, którą kocham. I że zawsze starałem się jak mogłem, żeby być wiernym Livii, która jest...

– Nieosiągalna – powiedziała Adriana, unosząc głowę i patrząc mu wymownie w oczy.

Musiało nastąpić coś takiego, co zdarzało się w dawnych wiekach w obleganych zamkach. Długo opierały się napastnikom, znosząc głód i pragnienie, oblewały wrzącą oliwą tych, którzy wspinali się na mury obronne i zdawało się, że są nie do zdobycia. Nagle jeden pocisk z katapulty, precyzyjnie wymierzony, celny, trafiał w żelazną bramę, rozbijał ją i oblegający wdzierali się do środka, nie napotykając już na opór obleganych.

„Nieosiągalna” – tak brzmiało to najistotniejsze słowo, którego Adriana użyła. Co wyczuła w tym słowie, kiedy komisarz je wypowiedział? Jego złość? Jego zazdrość? Jego słabość? Jego samotność?

Montalbano objął ją i pocałował. Jej usta miały smak śmietanki i czekolady. I było to, jak zanurzenie się w wielkim sierpniowym żarze.

Potem Adriana powiedziała:

– Wejdźmy do domu.

Podnieśli się objęci, ale w tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi.

– Kto to może być? – spytała Adriana.

– To... to Fazio. Kazałem mu przyjść i całkiem o tym zapomniałem.

Adriana bez słowa odeszła i zamknęła się w łazience.

Kiedy obaj wyszli na werandę, Fazio spostrzegł dwa kieliszki i dwa talerzyki po lodach. Spytał:

– Ktoś jest u ciebie?

- Tak, Adriana.
- I już wychodzi?
- Nie.
- Aha.
- Chcesz kieliszek wina?
- Nie, dziękuję.
- A trochę lodów?
- Nie, nie, dziękuję.

Najwyraźniej był poirytowany tym, że dziewczyna jest u komisarza.

19

Już od dwóch godzin siedzieli na werandzie. Noc była coraz późniejsza, a ochłodzenia wciąż nie było. Co więcej, zdawało się, że upał się wzmógł, jakby na niebie nie było księżyca, tylko mocne, pionowo świecące słońce.

Montalbano właśnie skończył mówić i popatrzył pytająco na Fazia.

– Co o tym myślisz?

– Chciałby pan wezwać Spitaleriego do komisariatu, zrobić mu jedno z tych przesłuchań, które trwają dzień i noc, a kiedy już zamieni się w szmatę do wycierania podłogi, ukazać mu nagle pannę Adrianę, której w życiu nie widział. Tak miałyby to wyglądać?

– Z grubsza tak.

– I myśli pan, że osobnik tego pokroju co on, widząc przed sobą bliźniaczkę dziewczyny, którą zamordował, natychmiast złamie się i wszystko wyzna?

– Mam przynajmniej taką nadzieję.

Fazio się skrzywił.

– Nie dasz się przekonać?

– Panie komisarzu, przecież to jest przestępca. Jest odporny i twardy. A kiedy dostanie wezwanie na komisariat, przygotuje się, zabezpieczy, podeprze ze wszystkich stron. Być może widok panny Adriany nawet nim wstrząśnie, ale jestem pewien, że nie da tego po sobie poznać.

– Słowem, myślisz, że taka niespodzianka z Adrianą nic nie da?

– Przeciwnie, myślę, że taka niespodzianka może się nam dobrze przysłużyć, ale jestem zdania, że nie powinno się to rozegrać w komisariacie.

Adriana, która do tej chwili nie odzywała się, zabrała głos.

– Zgadzam się z Faziem. To niedobre miejsce.

– A jakie miejsce byłoby dobre, twoim zdaniem?

– Coś wam wyjaśnię. W tych dniach uprzytomniłam sobie, że w tej willi niedługo ktoś zamieszka. I wydało mi się to nie w porządku, żeby w salonie, gdzie Rinie podcięto gardło, ktoś potem, czy ja wiem, śpiewał, żartował...

Zaszlochała. Montalbano odruchowo położył rękę na jej ręce. Fazio się zdziwił, ale nie okazał tego.

– Postanowiłam porozmawiać z tatą.

– I co mu powiesz?

– Chcę mu zaproponować, żeby sprzedał nasz stary dom w Pizzo i kupił willę. Dzięki temu w tym mieszkaniu na dole nie będzie nikt mieszkał, pozostawimy je puste i będzie tylko znakiem pamięci o mojej siostrze.

– I co to da teraz? Co chcesz przez to uzyskać?

– Przed chwilą wspomniałeś nam o tej dziwnej umowie ze Spitalerim na dokończenie prac w odsłoniętej z ziemi willi. Więc jutro rano pójdę do agencji i powiem temu panu, który nazywa się...

– Callara.

– Powiem Callarze, że chcemy kupić willę od razu, zanim zostanie zatwierdzona. Załatwianie i koszty tej sprawy weźmiemy na siebie, za wszystko zapłacimy. Wyjaśnię mu nasze powody, dam mu do zrozumienia, że gotowi jesteśmy dać dobrą cenę za willę. I skłonię go do sprzedaży, jestem tego pewna. Poproszę, żeby dał mi klucze do mieszkania na parterze i żeby mi polecił kogoś, kto odsłoni i dokończy mieszkanie na dole. A wtedy Callara z całą pewnością wskaże Spitaleriego. Wezmę jego numer telefonu i potem...

– Chwileczkę. A jeśli Callara zechce tam pojechać razem z tobą?

– Nie zrobi tego, jeśli nie podam mu dokładnej daty, kiedy się tam wybiorę. Nie może być całymi dniami do mojej dyspozycji. A poza tym wielkim plusem jest to, że nasz dom stoi kilka metrów od willi.

– I co potem?

– Potem zadzwonię do Spitaleriego i umówię się z nim w Pizzo. Jeżeli urządzę to tak, żeby zastał mnie pod ziemią, w salonie, gdzie zamordował

Rinę, i on właśnie tam zobaczy mnie po raz pierwszy w życiu...

– Nie możesz się tam znaleźć sama ze Spitalerim!

– Nie będę sama, jeśli ty ukryjesz się za tymi opakowanymi oknami...

– Skąd pani wie, że w salonie stoją opakowane okna? – spytał przytomnie Fazio, z którego zawsze wyłaził czujny policjant, nawet w domu przyjaciół.

– To ja jej o tym powiedziałem – wtrącił Montalbano.

Zapadło milczenie.

– Jeśli wszystko dobrze zabezpieczymy – powiedział po namyśle komisarz – to takie rozwiązanie możemy chyba wziąć pod uwagę...

– Panie komisarzu, mogę coś powiedzieć szczerze i otwarcie? – spytał Fazio.

– Oczywiście.

– Ten pomysł, z całym szacunkiem dla panny Adriany, wcale mi się nie podoba.

– Dlaczego? – spytała Adriana.

– Bo to jest bardzo niebezpieczne, panno Adriano. Spitaleri zawsze nosi nóż w kieszeni, a jest typem zdolnym do wszystkiego.

– Ale jeżeli będzie tam także Salvo, to myślę, że...

Fazio nie okazał, że zaskakuje go to zażyłe „Salvo”.

– Mimo to nie podoba mi się ta idea. Nie powinniśmy pani narażać.

Dyskutowali do późnej nocy. Na koniec Montalbano jednak zdecydował:

– Zróbmy tak, jak proponuje Adriana. Dla większego bezpieczeństwa w pobliżu będziesz także ty, Fazio, i może jeszcze któryś z naszych agentów.

– Będzie, jak pan sobie życzy – powiedział poddając się Fazio.

Wstał, pożegnał się z Adrianą i poszedł w stronę drzwi, odprowadzany przez komisarza. Ale zanim wyszedł z domu, popatrzył mu w oczy.

– Panie komisarzu, proszę jeszcze dobrze wszystko przemyśleć, zanim pan ostatecznie na to się zgodzi.

– Usiądź – powiedziała Adriana, kiedy wrócił.

– Jestem trochę zmęczony – odpowiedział Montalbano.

Coś się już zmieniło i dziewczyna dobrze to zrozumiała.

W łóżku, samotny, mokry z upału, Montalbano spędził przykrą noc, czasami wymyślając sobie od niepoprawnych głupców, a czasami czując się jak święty Ludwik Gonzaga czy święty Alfons Liguori, słowem jak jeden z tych niezłomnych.

Pierwszy telefon Adriany do komisariatu był o piątej po południu.

– Już jutro da mi klucze. Jest zachwycony, że tak gładko sprzeda willę. Musi być sknerą, bo kiedy usłyszał, że weźmiemy na siebie wszystkie koszty zatwierdzenia stanu faktycznego budowy, kłaniał mi się prawie do ziemi.

– Powiedział ci o Spitalerim?

– Nawet pokazał mi tę umowę podpisaną przez pana Speciale. Dał mi też numer komórki Spitaleriego.

– Zadzwoiłaś do niego?

– Zadzwoiłam. Rozmawiałam z nim. Umówiliśmy się na spotkanie w willi jutro o siódmej. A my gdzie się spotkamy?

Po raz drugi Adriana zadzwoniła już do Marinelli. Była dziesiąta wieczór.

– Przyszła pielęgniarka. Posiedzi przy mamie całą noc. Mogę przyjść do ciebie?

Co to miało znaczyć? Że chce spędzić noc u niego w Marinelli? Wiadomo, jak to będzie wyglądać. Bo on już nie potrafi grać roli świętego Antoniego kuszzonego przez demony.

– Wiesz co, Adriana, ja...

– Jestem bardzo zdenerwowana, potrzebuję kogoś obok siebie.

– Doskonale cię rozumiem, ja także się denerwuję.

– Przyjadę tylko po to, żebyśmy razem popływali nocą w morzu. Zgódź się.

– Dlaczego nie położysz się spać? Jutro czeka nas ciężki dzień.

Usłyszał jej pogodny śmiech.

– Możesz być spokojny, przywiozę ze sobą kostium kąpielowy.

– No dobrze.

Dlaczego jej ustąpił? Ze zmęczenia? Z upału, który całkiem zagłuszał w nim wolę? Czy po prostu dlatego, że miał ochotę, i to wielką, zaraz ją zobaczyć?

Dziewczyna pływała jak delfin. A Montalbano doświadczał nieznanego mu dotąd przyjemności, mając obok siebie to młode ciało, powtarzające te same ruchy, co on. Jakby już do tego wspólnego pływania od dawna przywykli.

Poza tym Adriana była tak wytrzymała, że mogliby dopłynąć aż do Malty. W pewnej chwili Montalbano poczuł się jednak zmęczony i położył nieruchomo na plecach. Adriana zawróciła i położyła się tuż przy nim.

– Gdzie się nauczyłaś tak dobrze pływać?

– Od dziecka brałam lekcje pływania. Kiedy jesteśmy w lecie tutaj, całe dnie siedzę w morzu. W Palermo chodzę na basen dwa razy w tygodniu.

– Dużo zajmujesz się sportem?

– Chodzę na siłownię. Umiem także strzelać.

– Naprawdę?

– Tak, miałam pewnego... nazwijmy to narzeczonego, który był entuzjastą strzelania. Zawoził mnie na strzelnicę.

Coś go jednak ukłuło. Może nie tyle zazdrość, co myśl o tym chłopcu, tym jej niedoszłym narzeczonem, z którym mogła obcować, nie kłopotząc się o różnicę wieku.

– Wracamy? – spytała Adriana.

Wracali powoli. Nikt z nich dwojga nie chciał za szybko zakończyć tej osobliwej wspólnoty ciał, które nie widziały się w ciemności, ale tym lepiej wyczuwały się nawzajem dzięki oddechom i przypadkowym dotknięciom.

Dwa lub trzy metry od brzegu, gdzie woda sięgała tylko do pasa, Adriana, która szła, trzymając Montalbana za rękę, potknęła się na żelaznym kanistrze, wrzuconym przez jakiegoś łajdaka do morza. Upadła twarzą do przodu.

Montalbano odruchowo chwycił ją za ramiona, ale także stracił równowagę i po prostu upadł na dziewczynę.

Wynurzyli się objęci jak po długiej walce, zdyszani jak po długim nurkowaniu pod wodą. Adriana znowu upadła i oboje raz jeszcze znaleźli się w wodzie, mocno objęci. Kiedy się podnieśli, objęli się jeszcze mocniej. A potem zatonęli na dobre w tym bezkresnym morzu.

Kiedy znacznie później Adriana już odeszła, Montalbano zaczął aż do wyczerpującego znużenia pływać w innym morzu, na które składały się wszystkie jego niepokoje, wątpliwości, cała zgoda i niezgoda na to, co się stało, i całe odzywające się w nim, pewnie chwilowe, zobojętnienie.

To przez ten upał, na pewno. I oczywiście z poczucia winy. Ale także trochę ze wstydu. A na dodatek trochę sobą gardził. No i odzywały się w nim resztki wyrzutów sumienia.

Ale przede wszystkim dopadła go melancholia, wywołana pytaniem, jakie sobie nagle zadał: „Gdybyś nie miał pięćdziesięciu pięciu lat, umiałbyś odmówić? Nie Adrianie, ale sobie samemu?”. Odpowiedź była tylko jedna: tak, umiałbym sobie powiedzieć „nie”. Ale przecież wszystko i tak już się stało.

„Warto jednak wiedzieć, dlaczego dopuściłeś do głosu tę część siebie, którą zawsze trzymałeś pod kontrolą?”.

„Dlatego, że nie jestem już tak silny, jak dawniej. Dobrze o tym wiedziałem. W takim razie dopiero kiedy uświadomiłeś sobie, że zbliża się starość, okazałeś się słaby w zetknięciu z młodością, z promienną urodą Adriany”.

Musiał zgodzić się z tą gorzką prawdą.

- Panie komisarzu, co się stało panu komisarzowi?
- Dlaczego pytasz?
- Bo ma pan jakiś taki wyraz na twarzy. Nie czuje się pan dobrze, panie komisarzu?

– Źle spałem, Catarè. Przyślij do mnie Fazio.

Także Fazio nie miał twarzy wypoczętej.

– Panie komisarzu, w nocy nie zmrużyłem oka. Czy jest pan przekonany o słuszności tego, co robimy?

– O niczym nie jestem przekonany. Ale to jedyne wyjście.

Fazio rozłożył ręce.

– Poślij już teraz kogoś do pilnowania willi. Nie chciałbym, żeby jakiś przypadkowy idiota wpakował nam się do dolnego mieszkania i zburzył wszystkie nasze plany. Zwolnij chłopca o piątej, bo wtedy już my tam dojedziemy. Poza tym przeciągnij kabel, około dwudziestometrowy z zakończeniem na trzy wtyczki. Zabierz trzy lampy, takie dla warsztatów samochodowych, z żelazną siatką ochronną.

– Wiem jakie. Ale po co nam to wszystko?

– Podłączymy prąd z gniazdka przy drzwiach i doprowadzimy do dolnego piętra, jak to zrobił Callara, kiedy tam przyjechał z technikiem Paladinem. Do kabla podłączymy trzy lampy, z tego dwie w salonie. Przynajmniej będzie tam dość jasno.

– Ale kiedy Spitaleri zobaczy całe to urządzenie, może zacznie coś podejrzewać?

– Adriana w razie czego odpowie mu, że tak jej doradził Callara. Kogo weźmiesz ze sobą?

– Galluzza.

Nie był zdolny do żadnej aktywności, nie odbierał telefonów, nie podpisywał dokumentów. Siedział z głową przy wentylatorce. Od czasu do czasu powracały do niego obrazy jego i Adriany, jak płynęli daleko w morze, ale starał się je od siebie odsuwać. Chciał skupić się na tym, co może nastąpić przy spotkaniu ze Spitalerim, ale z tym także sobie nie radził. Poza tym tego dnia żar lejący się z nieba zdolny był upiec jaszczurki. Był jak pokaz sztucznych ogni, podczas którego na zakończenie wyrzuca się w niebo race jeszcze barwniejsze, rozpryskujące się jeszcze mocniejszym światłem.

Podobnie sierpień w swoich ostatnich chwilach zrzucił z nieba dnie coraz bardziej gorące, coraz mocniej palące żarem. Montalbano nie umiałby powiedzieć, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy wszedł Fazio i powiedział mu, że już zgromadził cały materiał.

– Panie komisarzu, na dworze można skonać.

Umówili się, że o piątej spotkają się w willi.

Nie miał ochoty wychodzić z biura, by pójść coś zjeść. Zresztą nie miał apetytu.

– Catarella, nie łącz mnie z nikim i nie pozwól nikomu do mnie wchodzić.

Zamknął drzwi na klucz, jak kiedyś, rozebrał się, skierował wentylator na fotel, który przysunął do biurka, i rozsiadł się w nim. Potem na chwilę usnął. Zbudził się koło czwartej. Poszedł do łazienki, wykąpał się w nieprzyjemnej letniej wodzie, ubrał się, wyszedł, wsiadł do samochodu i odjechał do Pizzo.

Przed willą stały już samochody Adriany i Fazio. Zanim wysiadł, otworzył skrytkę, wyjął z niej pistolet, i włożył go sobie do tylnej kieszeni spodni.

Tamci byli w salonie. Adriana uśmiechnęła się do niego i podała mu rękę, tym razem zaskakująco chłodną, jakby chciała mu pomóc w upale.

Zachowywała się tak oficjalnie dlatego, że był tu także Galluzzo?

– Fazio, przywiozłeś materiał?

– Tak, komisarzu.

– Od razu podłączcie światło.

Fazio z Galluzzem zabrali się do roboty. Adriana nawet nie zaczekała, aż wyjdą za drzwi, zaraz objęła Montalbana.

– Kocham cię jeszcze bardziej.

I pocałowała go. On lekko się opierał, nawet gotów był ją odsunąć.

– Adriano, musisz mnie zrozumieć. Chcę być przytomny.

Dziewczyna poczuła się trochę urażona, wyszła na taras. Komisarz poszedł do kuchni, na szczęście w lodówce była butelka zimnej wody. Żeby uniknąć

kontakty z Adrianą, już się z kuchni nie ruszył. Po chwili usłyszał, że woła go Galluzzo.

– Panie komisarzu, przyjdzie pan zobaczyć?

Wyszedł na taras.

– Chodź ze mną – powiedział do Adriany.

Fazio umieścił jedną lampę zaraz za podziemną łazienką, a dwie w salonie. Światła jednak wystarczało zaledwie na tyle, żeby było widać, gdzie stawia się nogę, natomiast twarze wyglądały jak prymitywne maski, oczy znikwały, usta zmieniały się w czarne otwory, a cienie na ścianach stawały się gigantyczne. Istna sceneria z filmu grozy. Tu, pod ziemią, powietrze było duszne, trudno się nim oddychało. Jakby się przebywało w łodzi podwodnej zanurzonej od dawna.

– W porządku – powiedział Montalbano. – Wychodzimy.

A kiedy już byli na zewnątrz, zarządził:

– Musimy zaraz usunąć samochody sprzed willi. Ma zostać tylko auto panny Adriany. Adriana, daj mi klucze do twojego domu.

Wziął je od niej i podał Faziowi. Kluczyki od jego samochodu wziął Galluzzo.

– Przejeźdź moim. Zaparkujcie samochody za domem panny Adriany w taki sposób, żeby nie było ich widać z drogi. Potem wejdziecie do domu i będziecie czuwać przy dwu różnych oknach, żeby nie przegapić, jak będzie nadjeżdżał Spitaleri. Kiedy się pojawi, ty, Fazio, zawiadomisz mnie o tym sygnałem na komórkę. Już tak robiliśmy. Kiedy Spitaleri zejdzie na dół, wy musicie czym prędzej tutaj przybiec i tak się ulokować, żeby nie mógł nam uciec, cokolwiek się wydarzy. To też chyba jasne?

– Jasne, jak najbardziej – odpowiedział Fazio.

Przesiedzieli może godzinę na kanapie, objęci, ale nie odezwali się do siebie ani słowem.

Nie dlatego, że nie mieli sobie nic do powiedzenia, ale dlatego, że tak było o wiele lepiej. W pewnej chwili komisarz popatrzył na zegarek.

– Jeszcze dziesięć minut. Może trzeba już zejść na dół?

Adriana wzięła swoją wielką, miękką torbę, w której miała dokumenty dotyczące willi, i zawiesiła ją sobie przez głowę na ukos na ramieniu.

Kiedy znaleźli się w salonie, Montalbano spróbował, czy może się schować między opakowane okna a ścianę. Było za mało miejsca, okna stały zbyt pionowo. Męcząc się i pocąc, zdołał zmienić ich nachylenie. Raz jeszcze spróbował ukryć się za nimi, i tym razem to mu się udało, można było tam się wcisnąć i w dość wygodnej pozycji czekać.

– Nie widać mnie? – spytał Adrianę.

Nie odpowiedziała. Wysunął głowę i zobaczył, jak przechadza się środkiem salonu tam i z powrotem. Zrozumiał, że Adrianę ogarnął w ostatniej chwili paniczny lęk. Podbiegł do niej i ją objął, oboje drżeli.

– Boję się, bardzo się boję.

Była roztrzęsiona. Montalbano uznał, że okazał się idiotą, bo nie wziął pod uwagę, jak bardzo samo przebywanie w tym pomieszczeniu wpływa na nerwy dziewczyny.

– Dajmy temu wszystkiemu spokój, chodźmy stąd!

– Nie – powiedziała Adriana. – Poczekaj.

Z nadzwyczajnym wysiłkiem, wprost z bólem starała się opanować, co było widoczne jak na dłoni.

– Daj mi... Daj mi swój pistolet.

– Dlaczego?

– Będę go mieć przy sobie. Poczuję się pewniejsza. Włożę do torby.

Montalbano wyjął broń z kieszeni, ale nie podał jej od razu Adrianie. Nie mógł się zdecydować.

– Adriano, zdajesz sobie sprawę...

I w tym momencie usłyszeli z dość bliska głos Spitaleriego.

– Panno Morreale, jest pani tutaj?

Musiał wołać przez okno łazienki, jak to się stało, że komórka komisarza nie odezwała się wcześniej? Może pod ziemią nie było zasięgu? Nagłym ruchem Adriana wyrwała mu pistolet z ręki i wrzuciła go sobie do torby.

– Jestem tutaj, panie Spitaleri – powiedziała nadspodziewanie spokojnym i niemal radosnym głosem.

Montalbano ledwo zdążył schować się za okna.

Usłyszał kroki Spitaleriego, który już wchodził do salonu. A potem głos Adriany, tym razem bardzo śpiewny, srebrzysty, jak głos młodziutkiej, niedorosłej dziewczyny, którą przecież była.

– Chodź, Michele!

Skąd wiedziała, że Spitaleri tak ma na imię? Przeczytała w tych dokumentach, które jej przekazał Callara? I dlaczego zwracała się do niego po imieniu?

Zapadła cisza. Co się działo? Nagle usłyszał jakiś dziwny śmiech, jakby rozbity na kawałki, na wiele odłamków szkła spadających na ziemię. To na pewno Adriana tak się śmiała. A potem wreszcie odezwał się Spitaleri.

– Ty... ty nie jesteś...

– Chcesz tego samego ze mną, co? Spróbuj, Michele! Popatrz, jak wyglądam!

Usłyszał szelest rozdieranego płótna. Matko święta, co Adriana teraz robi? I zaraz rozległ się krzyk Spitaleriego:

– Ciebie też zabiję, ty suko! Jesteś gorszą kurwą niż twoja siostra!

Montalbano wyskoczył z za okien. Adriana rozerwała na sobie bluzkę, miała odsłonięte piersi. Spitaleri trzymał w ręce nóż i szedł w jej stronę. Szedł sztywno, wyglądał jak mechanicznie nakręcana kukła.

– Nie ruszaj się! – zawołał komisarz.

Ale Spitaleri chyba go nie usłyszał, dalej szedł przed siebie. Wtedy Adriana strzeliła do niego. Jeden jedyny raz. W samo serce, jak nauczyła się tego na strzelnicy. Kiedy Spitaleri zwał się na kufer, Montalbano podbiegł do Adriany i wyrwał jej pistolet z ręki. Popatrzyli na siebie z bardzo bliska. I Montalbano, czując, że ziemia usuwa mu się spod nóg, wreszcie zrozumiał.

Wbiegli Fazio i Galluzzo z bronią w ręku i zatrzymali się.

– Do niej także chciał się dobrać – powiedział komisarz, a Adriana próbowała jakoś zakryć rozerwaną bluzką nagie piersi. – Musiałem do niego

strzelić. Jak widzicie, ma jeszcze nóż w ręku.

Rzucił pistolet na posadzkę i wyszedł z salonu, a kiedy już znalazł się na dworze, zaczął biec, jakby go ktoś ścigał. Zbiegł schodkami na dół, przeskakując po dwa stopnie i znalazł się na plaży nad morzem. Rozebrał się do naga, nie zwracając uwagi na jakąś parę obok, która patrzyła na niego oburzona, i rzucił się do wody.

Płynął i płakał. Z wściekłości, z upodlenia, ze wstydu, z rozczarowania, ze zranionej dumy.

Nic wcześniej nie wyczuł. Nie zrozumiał, że Adriana posłużyła się nim, żeby dopiąć celu, jaki sobie wyznaczyła, bo chciała własnymi rękami zabić tego, który poderzwał gardło jej siostrze.

Udawała zakochanie, udawała namiętność, udawała oczarowanie, i w ten sposób powoli, krok za krokiem, zdążyła tam, gdzie chciała dojść. Był marionetką w jej rękach.

Wszystko było grą, wszystko było inscenizowane.

A on, stary chłop, zaślepiony jej pięknnością, zwiedziony i zamroczony jej młodością, całkiem się zagubił. Dał się nabrać jak chłopak, mimo że ukończył pięćdziesiąt pięć lat.

Płynął i płakał.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące utwory
Andrei Camilleriego:

KSZTAŁT WODY

2007

PIES Z TERAKOTY

2007

ZŁODZIEJ KANAPEK

2007

ZNIKNIĘCIE PATÒ

2004

GŁOS SKRZYPIEC

2008

MIESIĄC Z KOMISARZEM MONTALBANO

2008

POMARAŃCZKI KOMISARZA MONTALBANO

2009

WYCIECZKA DO TINDARI

2007

ZAPACH NOCY

2008

PIWOWAR Z PRESTON

2008

OBIETNICA KOMISARZA MONTALBANO

2009

KOLOR SŁOŃCA

2009

CIERPLIWOŚĆ PAJĄKA

2010

PENSJONAT „EWA”

2010

PAPIEROWY KSIĘŻYC

2011

SZARY KOSTIUM

2011

SIERPNIOWY ŻAR

2012

SKRZYDŁA SFINKSA

2013

SEZON ŁOWIECKI

2014

POLE GARNCARZA

2014

WIEK WĄTPLIWOŚCI

2015

ŚMIERĆ NA OTWARTYM MORZU

2015